

SKRZYNI Z ŁEMKOWSKIEJ SKRZYNI



część pierwsza

Opowieści z Ługów i okolic

Redakcja: Magdalena Szyszko-Graban

Agnieszka Szyszko

ks. Artur Graban

Łamanie, korekta oraz opracowanie graficzne:

„Nasza Zahoroda”

Projekt okładki i stron tytułowych: Dawid Kwoka

Zbierający wywiady:

Monika Siwiec, Beata Staszak, Iweta Siwiec, Magdalena Filak, Irmina

Siwiec, Daria Tutko, Iga Siwiec, Natalia Kuszvara, Anna Sywiec,

Michał Filak, Katarzyna Gmaj, Agnieszka Kaczmarek, Anna Krynicka,

Książka ukazała się dzięki finansowemu wsparciu

Fundacji Wspierania Wsi

oraz

Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży



Wydawca: Lemko Tower

© Copyright by wydawnictwo Lemko Tower

Strzelce Krajeńskie 2003

Druk: Drukarnia JAS-POL Poligrafia w Krynicy-Zdroju

ISBN 83-910742-8-5

Z ŁEMKOWSKIEJ SKRZYNI

Część pierwsza

Opowieści z Ługów i okolic

*„Myślę, że dzieci powinny wypytywać starszych,
jeżeli ich opowieści są ciekawe...”*

Opowieści, które znalazły się w tej książce, zebrały dzieci z Ługów i okolic. W ciągu dwóch tygodni letnich warsztatów wypytywały o przeszłość najstarszych łemkowskich mieszkańców powiatu strzelecko-drezdeneckiego, a także swoich rodziców, sąsiadów, zbierały zdjęcia, rysowały drzewa genealogiczne. W naturalny sposób materiały te podzieliły się na trzy grupy: wspomnienia najstarszych Łemków, pamiętających życie w górach, wysiedlonych głównie ze wsi Mochnaczka w 1947 roku, pokolenia średniego, dla którego nostalgia za Łemkowyną jest przede wszystkim tęsknotą ich rodziców i najmłodszego pokolenia - nazywającego Łemkowszczyznę, za tytułem jednego z programów edukacyjno-kulturowych, prowadzonego przez parafię pw. Zaśnięcia Przenajświętszej Bogarodzicy w Ługach „korzennym domem” - mitycznym, utraconym, ale poznawanym bardziej z zainteresowaniem niż nostalgią.

Jak przyjechaliśmy, ludzie tutaj nie wiedzieli kim są Łemkowie – opowiadała jedna ze starszych Łemkiń. W tej książce wszystkie opowieści podpisane są imieniem i nazwiskiem, nasi Łemkowie to konkretne osoby. Różne cuda opowiadali...

Zespół Redakcyjny

HISTORIA WSI I KOŚCIOŁA

Historia wsi

Pierwsza historyczna wzmianka o wsi Ługi pochodzi z 1337 r., kiedy to w księdze ziemskiej wymienione jest 12-łanowe lenno rycerskie, należąca do Diderikow de Bornym (czyli do Dietricha von dem Borne). Metryka Ługów jest jednak wcześniejsza i sięgająca co najmniej XIII w., a jej nazwa (pierwotnie Llockstede) wywodzi się od saksońskich rycerzy Lauchstadt. Po 1341 r. wieś przeszła w posiadanie Ostenów, a następnie Bornstedtów, wymienianych w 1499 r.

W 1571 r. Bornstedtowie - oprócz połowy Ługów - posiadali też Wołogoszcz, Ogardy i Gilów. Druga połowa Ługów wraz z połową Długiego, po Kerstenis Von Bornstedt, należała do rodziny Natzer (Natzmerow).

W 1608 r. wg relacji S. Puchnera w Ługach były 3 siedziby rycerskie: jedna należała do Hansa i Felixa von Natzmer, na drugiej Asmus von Bornstedt z Długiego trzymał swojego wójta, trzecią zajmowali bracia Wolf i Curt von Bornstedt z Wołogoszczy. W 1644 r. jedną z tych siedzib - może po Natzmerach - miał von Wreech.

W 1715 r. połowę Ługów miał generał lejtnant von Bornstadt z Magdeurga, drugą otrzymała w lenno rodzina von Brand. W 1718 r. obok generała występowała wdowa po pułkowniku von Bornstadt. W 1724 r. cała wieś była już w posiadaniu Bornstadtów. W 1786 r. majątek w Ługach kupił Chridtoph Friedrich von Sach, który wcześniej zakupił Danków. Na skutek małżeństwa jego córki, oba majątki przeszły w 1794 r. na kapitana Ludwiga Ernsta von Branda. Od 1813 r. majątkiem zarządzała wdowa po nim, a od 1828 r. - ich syn, szambelan dworu Adolf Ernst Paul von Brand. W połowie XIX w. należały do niego: Długie z Ługami, Fabicko, Danków, Chomętowo i Osiek - łącznie ponad 40 tys. mórg (czyli ca 10 400 ha) ziemi. W 1878 r. szambelan von Brand utworzył majorat obejmujący Ługi, Długie, Chomętowo i Osiek (łącznie 6 230 ha), który w roku następnym odziedziczył Paul von Brand, także szambelan dworu. Od 1904 r. Ługi były własnością rotmistrza Adolfa von Branda, którego zapewne można utożsamiać z dr Adolfem von Brand, wspomnianym w 1921 r.

Tworzenie majątku dworskiego w Ługach rozpoczął zapewne generał von Bornstadt. Spis łąnów z 1718 r. nie podaje ilości łąnów rycerskich, ale z rachunku wynika, że do dworu przyłączono 17 łąnów (z ogólnej liczby 43 łąnów realnych po 2 przypadają na 6 chłopów pełnych, po 1 łanie na tzw. półchłopów i po 1 łanie na 10 zagrodników). W połowie

XIX w. do majątku należał folwark, cegielnia, smolarnia. Całość obejmowała już 2 370 ha ziemi, w tym 577 ha gruntów ornych, 1370 ha lasów i tylko 7 ha łąk. W 1921 r. majątek obejmował 2704 ha, w tym 749 ha gruntów ornych, 1477 ha lasów i 108 ha łąk. Była tu gorzelnia, elektrownia i 2 pługi motorowe.

W 1337 r. wieś liczyła 53 łąny, w 1718- 50 łąnów metrykalnych prze-liczono na 43 realne, w 1809 r. - 21 łąnów. Na początku XIX w. we wsi było 10 chłopów i 10 zagrodników; 100 lat później - 6 pełnych chłopów, 4 półchłopów i 10 zagrodników oraz Pfarbauer (chłop uprawiający ziemię kościelną), 21 komorników, rybak, kowal i leśniczy. W 1939 r. spis wykazał 98 indywidualnych gospodarstw domowych. Do końca lat 20-tych XX w. wieś dzieliła się na gminę wiejską i obszar dworski; w 1919 r. do wsi należało tylko 97 osób, do dworu 345, z czego wynika, że mieszkańcy utrzymywali się głównie z pracy majątku. Domy: 1809 r. - 32, 1982 r. - 44. Ludność: 1809 r. - 299, 1919 r. - 442, 1925 r. - 377, 1939 r. - 367, 1949 r. - 209, 1970 r. - 360, 1978 r. - 303, 1988 r. - 290.

Historia kościoła

Kościół parafialny w Ługach istniał już w 1337 r., skoro księga ziem- ska podaje jego czterołanowe uposażenie. W świątyni tej znajdować się miał ołtarz św. Mikołaja, ufundowany przez Dietricha von dem Borne (zm. W 1341 r.). Wg innych źródeł, ołtarz ten został ufundowany po 1341 r. przez krewnych Dietricha von dem Borne dla uczczenia jego pamięci. Jeszcze inne dokumenty mówią, że w 1348 r. margrabia Ludwik prze- kazał kościołowi w Ługach 8 Frusten renty z jezior Linie i Słowa na utrzymanie ołtarza św. Mikołaja, który ufundował Betkin von der Osten dla swej rodziny w intencji zbawienia duszy.

Po Reformacji kościół w Ługach zachował status parafialny, jego filie znajdowały się w Długiem i Słonowie.

W XVI w. kościół w Ługach otrzymał dzwon o średnicy 60 cm z napisem wykonanym gotycką minuskułą. W 1654 r. giser Fr. Voillard z Frankfurtu n/O. odlał dla Ługów dzwon o średnicy 110 cm, a w 2 lata póź- niej- mniejszy dzwon o średnicy 75 cm. Wszystkie te dzwony przetrwały I wojnę światową i istniały jeszcze w 1920 r.

Od 1735 r. pastorem w Ługach był Michael Garber, wcześniej diakon w Dobiegniewie.

Najstarsze księgi kościelne padły ofiarą pożaru w 1765 r. Od 1766 r. prowadzone były nowe księgi chrztów, ślubów i zgonów, które przetrwały w komplecie do co najmniej 1900 r.

W 1811 r. pastorem był Karl Friedrich Koch, a w 1848 r. niejaki Dorry. Forma i konstrukcja pierwotnego kościoła w Ługach jest nieznana.

W 1899 r. - najpewniej w miejscu starego kościoła - zbudowano z granitu i cegieł nową świątynię. W 1911 r. wnętrze tego kościoła zostało pomalowane.

W latach 1945- 1952 kościół nie był użytkowany, mimo starań miejscowej społeczności wyznania prawosławnego, wywodzącej się w zdecydowanej większości ze wsi Mochnaczka oraz Krynicy-Zdroju. Dopiero 28. 08. 1952 roku kościół został poświęcony jako świątynia prawosławna p.w. Zaśnięcia Przenajświętszej Bogarodzicy.

Kolejnymi proboszczami byli: ks. Mikołaj Poleszczuk /1952- 58/, ks. Chryzont Jaworski /2. półrocze 1958 r./ i ks. Włodzimierz Kochan /od 11. 12 1958 r. do 26.02.1999/.

W okresie 1945- 1952 z obiektu zabrano część wyposażenia ruchomego do innych świątyń katolickich, a część uległa dewastacji (zniszczona została m.in. Ozdobna posadzka i organy). Z prospektu organowego wykonany został ikonostas, a obrazy do niego wykonał malarz Borys Urusow z Żyrardowa. Ławki przywiezione zostały z kościoła w Machorach k. Strzelec Krajeńskich. W okresie powojennym wnętrze obiektu było dwukrotnie odmalowane. Na początku lat 90-tych przełożono pokrycie dachu korpusu nawowego i wieży.

Obecnie proboszczem parafii prawosławnej p.w. Zaśnięcia Przenajświętszej Bogarodzicy jest ks. Artur Graban /od 1999 r./. W 2002 roku został przeprowadzony remont kościoła polegający na odmalowaniu wnętrza i położeniu nowego pokrycia /dachówki/. Budynek kościoła został też oświetlony od zewnątrz.



Do szkoły trzeba chodzić

Nasza wioska była długa: Wyżna Mochnaczka i Niżna. Wyżna miała swojego sołtysa i Niżna. Wyżna miała swoją szkołę i Niżna miała swoją szkołę. U nas, w Niżnej, była piętrowa, piękna, murowana. Cztery sale przeznaczone do nauki, a reszta, na końcu korytarzy, dla nauczycieli na mieszkania.

Uczyliśmy się języka łemkowskiego. Przed wojną na mapach nawet napisane było „Łemkowyna”. U nas język łemkowski był jako pierwszy. Hymn łemkowski żeśmy śpiewali, którego nas Durkot Stefania nauczyła. W szkole dobre było przede wszystkim to, że mieliśmy scenę i wystawialiśmy różne przedstawienia: czy na imieniny prezydenta, czy na Dzień Matki. To były wielkie święta.

W klasie było nas trzydzieścioro dwoje. Pierwsza i druga klasy razem, trzecia i czwarta. Dwoje dzieci było polskiego pochodzenia, one nie miały słuchu i nie śpiewały, a reszta wszyscy śpiewali, od pierwszej klasy, nawet na dwa głosy. Kiedyś Dzień Matki przypadł w niedzielę, ludzie z cerkwi wyszli - a szkoła była koło cerkwi - przyszły mamy. Ja byłam bardzo mała, pani mnie postawiła na krześle. Mówiłam wierszyk, w rękę trzymałam dwa bukiety: jeden do wręczenia, a drugi, żeby rzucić pod nogi. *Pocitunkamy wytajemo..* I wszyscy żeśmy biegle wręczać kwiatki i obcałowywać mamy. A potem *Mnohaja lita zaśpiwajmo*. I śpiewaliśmy trzy razy. Potem *Kińmo kwitoczky pid nohy*. I wszystkim mamom pod nogi kwiatki żeśmy rzucali. A potem *Szczastia prosim u Bozi, naj Wam w żytiu radost bude... dajże Boziu naszym mamom mnohych, dolhich, szczasnych lit*. Dokładnie nie pamiętam. Polska nauczycielka też nas uczyła po łemkowsku. Jej ojciec namalował piękny obraz „Chrzest Rusi”, przed samą wojną. Jak przyszła wojna, przyszli ukraińscy nauczyciele. Pamiętam jak dzisiaj, mieliśmy lekcje, pani nam tłumaczyła, że trzeba swoje szanować. I weszła taka Stefania Nehrebecka, otworzyła drzwi i powiedziała: *Proszę opuścić salę, mam nakaz tu uczyć*. My wszyscy w płacz. I Durkot Stefania odeszła. My też przestaliśmy chodzić do szkoły, bo nam mówili, że jak nie będziemy chodzić, to i Nehrebecka odejdzie. A mój najstarszy brat powiedział: *Ty smarkata, taki czy taki nauczyciel, do szkoły trzeba chodzić*. I zaczęliśmy chodzić. Ukraińskiego żeśmy się uczyli, niemieckiego dwa lata - potem się przydało. Chociaż uczyć się nie chciało, bo to był okupant i nie było miło. Niedużo, ale coś tam w głowie zostało. Jak się człowiek z chęcią uczy, to inaczej do głowy wchodzi.

Ojciec Stefani Durkot był księdzem i zginął w pierwszej wojnie światowej, w Talerhoffie, podobnie jak ojciec księdza Wenhrynowycza, też ksiądz. Potem przyszedł nauczyciel Josyf Sydir, Ukrainiec. Jakby mógł, to by tym dzieciom nakładł: *Będziesz ty kiedyś żałował, jak się nie będziesz uczył.*

Byli w klasie i chuligani, taki Mikołaj Andrasz i inni jeszcze. A na lekcjach religii wszyscy do tyłu ręce, ksiądz coś tam czytał, i potem trzeba było odpowiadać na wyrywki. Jak ktoś nie wiedział - to książką po uszach. A jak ksiądz zobaczył, że ktoś na lekcjach gadał, to miał taki kostur zakręcony i szturchał. I na kolanach klęczeli, przeważnie chłopcy. I za uszy wytargał.

Cerkiew w Mochnacze Niżnej

W Mochnacze Wyżnej nie było cerkwi. Była tylko u nas, w Niżnej, grekokatolicka. W środku drewniane ikony. I przepiękny obraz - „Chrystus Rusi”, namalowany przez ojca nauczycielki, pani Bogdałskiej. Na górze chór i organy. Jak byłem wtedy w górach to wszystko było po staremu - ikonostas, nic nie ruszane. Nawet napis cyrylicą był. Tylko tamtego obrazu nie było. Po lewej stronie wisiał...

Frajla

W Mochnacze mieszkali Szymon i Kajla Berman. Jedną córkę mieli - Frajlę. W soboty nie pracowali. Na co dzień zajmowali się rolnictwem i tylko oni nosili do Krynicy Żydom mleko i co tam potrzebowali, bo Żydzi od byle kogo nie brali. Do cerkwi nie chodzili, ale do szkoły i na religię Frajla chodziła. Wysoka była i bardzo ładna. Ze mną w ławce siedziała. Rysowałem za nią, bo z rysunku była słaba. A potem, na koniec roku pani mówi: *Frajla, masz piątki z góry na dół, tylko z jednego przedmiotu słabiej, wiesz z którego.* Frajla się popłakała i mówi: *Z rysunku. - Ale tak naprawdę to i ty powinnaś mieć dwójkę i Siwcową - za to, że ci rysuje.* Któregoś razu Frajla pogniwała się na mnie i siedziała gdzie indziej. Jakiś list z Melanią Gerberową napisały do Stefana Porucznika. Ten już list bierze, ale ksiądz zauważył: *Stefan, daj mi ten list.* A tam było napisane: „Za stodołą na koniczynie leży Stefan na dziewczynie.” I ksiądz mówi do Stefana: *O, to ty taki.* On mówi: *Ja nie wiem nic.* Melania, że Frajla jej dyktowała. - *Frajla, już do domu - wygonił ją. I więcej na religię nie przyszła. A do Melanii mówi tak - bo ona była nieślubnym dzieckiem - Skończysz szkołę, to przyjdiesz do mnie na służbę.* Bo ksiądz wszystkie sieroty brał do siebie na służbę.

Miał dwa łany ziemi. Najwięcej w Mochnacze. 100 metrów od banickiej granicy i od krynickiej granicy. I tyle samo w Mochnacze Niżnej. Ludzie najpierw jego ziemię musieli obrobić, a dopiero później swoją. A on tylko przez lornetkę patrzył i później, jak wrócili do domu, mówił: *Ty się oglądałaś, ty z tamtą rozmawiałaś.* W domu też miał służbę, pracowali za jedzenie i mieszkanie. Krowy musieli doić, obornik wyrzucać i w domu u niego posprzątać i ugotować. Jegomość był najbogatszy w wiosce.

Stroje

Latem kobiety ubierały się w spódnice w kwiaty, gorset i haftowane bluzki. Na nogach kierpce. Był to strój raczej odświętny, na ważne okazje, tzw. strój krakowski.

Zimą zaś nosiły krótkie lub długie wełniane kożuchy, haftowane u dołu, do tego długie wełniane spódnice. Na plecach i na głowie duże, wełniane chustki. Chustka na głowę to tak zwana tebetka. Mężatka musiała obowiązkowo nosić tebetkę.

Mężczyźni niezależnie od pory roku nosili spodnie z sukna - „chołośnie” i bluzę też z sukna - „hulkę”. Sami produkowali sukno, szczególnie wieczorami, a potem z niego szyli. Mężczyźni zawsze nosili kapelusze.

Okupacja

Podczas okupacji pracowałam w Krynicy jako pomoc kuchenna. Do Krynicy mieliśmy tam bliżej niż tu do Osieka - przez górę tylko. Codziennie tam byliśmy.

Krynica była wtedy „zapełniona” dziećmi niemieckimi, bo na kolonię tu przyjeżdżały. Byli też z frontu ranni, poodmrażani żołnierze niemieccy. Oni zawsze narzekali, że my im podjadamy, że dostają słabe jedzenie. A jak przyjechały do Krynicy matki niemieckie swoje dzieci odwiedzić - tydzień były - to poczuły ten głód i mówiły, że to nieprawda, że my tu mamy skarb w tych górach.

Pierwsze dni w Chomętowie

Mochnaczka była już trochę przygotowana do wysiedlenia, bo okoliczne wioski wysiedlali. A jeszcze taką bujdy puszczali, że Mochnaczka nie pójdzie. I nasi ludzie wszystkie pola poobsiewali. Ale

pomału się szykowali. Dostaliśmy dwie godziny. Nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy wysłani. To były trudne lata, dwa lata po wojnie, nic nie było pewne. A najmniej to, czy przeżyjemy...

Braliśmy ze sobą podstawowe rzeczy: pościel, jedzenie oraz zwierzęta. Każdy mógł wziąć jeden wóz. Jeśli ktoś nie miał konia - wóz ciągnęły krowy. Wioskę musieli opuścić wszyscy, z wyjątkiem Polaków. A że nasza wioska była duża, opuszczano ją w trzech grupach.

Uciekać nikt nie próbował. Wiedzieliśmy, że to nie ma sensu, bo by nas złapano i wysłano do obozów koncentracyjnych lub do pracy. Wojsko nie pomagało nam w pakowaniu, czy przenoszeniu dobytku. Ponaglali nas. Nie używali jednak broni, ani przemocy, nic nie niszczyli, nie kradli, nie palili.

My jechaliśmy w trzeciej turze. Załadowano nas z inwentarzem do pociągu towarowego. Wiem, że drugi transport zatrzymał się w Legnicy, a pierwszy i trzeci – skierowano na tereny gorzowskie. Warunki były ciężkie: jechaliśmy długo, razem ze zwierzętami, sianem, paszą... W wagonie było ciasno. I nie było mowy, żebyśmy sami wychodzili. Czasem podczas postoju dawano nam zupę. Gdy postoje wypadły na łąkach, żołnierze wypuszczali mężczyzn, żeby wzięli paszę dla zwierząt.

Większe postoje były w Jaworznie, Oświęcimiu, Wrocławiu, Opolu. Podczas postojów nikt nie próbował uciekać, bo dobrze wiedział, że gdyby został złapany, trafiłby do obozu. Cała podróż trwała dwa tygodnie. Jechało z nami kilka rodzin, ale pamiętam tylko Durniaków i Kluków. Rodzin raczej nie rozdzielano.

Podczas postoju w Jaworznie brano ludzi na przesłuchania, głównie mężczyzn i księży grekokatolickich. Przesłuchania miały na celu stwierdzenie, czy nie pracujemy dla UPA. Jeśli ksiądz grekokatolicki nie zgodził się odprawić mszę w kościele rzymskokatolickim, był zatrzymywany lub zabijany. W Jaworznie zginęło wielu niewinnych ludzi...

Przyjechaliśmy do Kurowa, wyładowali nas i: *Róbcie, co chcecie*. Była tam wielka stodoła i nocowaliśmy w niej dwa tygodnie. Krowy się pasły, a chłopcy chodzili i szukali, gdzie można się osiedlić.

W Chomętowie spodobał im się urodzaj, bo gospodarz patrzy na urodzaj. Wszystkie Siwce osiedlili się w Chomętowie. Mieszkało nas tam, Łemków, dziesięć rodzin. Dopiero potem rozeszli się do Ługów. Ale wesoło było. Śpiewało się do rana na podwórku, kołędowało, a rano do cerkwi przez lód, bo był bardzo gruby. Polacy też przychodzili, kołędowali z nami, nauczyli się nawet nasze piosenki śpiewać.

Do kościoła chodziliśmy w Chomętowie. Jacenik nas nauczył pięknie śpiewać polskie pieśni i kołędy. I był taki ksiądz Nowak, który nas chwalił:

Idźcie do Chomętowa, tam jak w operze śpiewają. A drugi raz mówił, że: Ci, co się trzy razy żegnają nóż za cholewą noszą i won z kościoła!

Ktoregoś razu przyszedł po kolędzie ksiądz katolicki, jak już nasza parafia była i pyta: *Czemu do kościoła nie chodzimy?* A ja mówię, że ksiądz krzycał, że *nóż za cholewą nosimy*. I jak to, między ludzi taką kość rzucić? Żeby ksiądz taki przykład dawał. To przecież namiestnik Chrystusa, powinien miłości uczyć.

Jak był pogrzeb Gerbery z Zagajów to taki szum był na cmentarzu. A innym razem przyszedł do księdza Poleszczuka jeden Polak z Dobiegniewa i ostrzegł go, żeby się przygotować, bo już się szykują w Dobiegniewie. Ksiądz Nowak samochodem podjechał. I jak zobaczył, że orszak pogrzebowy idzie, zawrócił, dzwonił, żeby się wszyscy zeszli, nawet nauczyciele. Zeszli się i nas nie puszczała. Nie dali pochować Gabriela Siwca. Ale UB już było przyszykowane i zdjęcia robili. Potem sąd był, wszyscy byli wzywani, i ksiądz Nowak poszedł siedzieć.

Pokaż mi pan taki kraj, gdzie nie ma mniejszości narodowych

W Mochnacze mieszkali nie tylko nasi, ale także Polacy, Cyganie, Żydzi. Stosunki między nimi panowały bardzo dobre. Wszyscy sobie pomagali, bez względu na narodowość, czy wyznanie. Cygan, który prowadził rzemiosło, był bardzo lubiany we wsi. Wszystkie narodowości były równe i wszyscy żyli w zgodzie.

Kiedyś płaciłam za energię elektryczną. Jeden pan pokazuje mi ręką i mówi: - *O, Cyganka*. - *Cyganka* - ja mu odpowiadam - *i co z tego? Każdy ma prawo. Pokaż mi pan taki kraj, gdzie nie ma mniejszości narodowych*. A on mówi: - *Ano nie ma*.

Zresztą to nie była Cyganka, tylko zwykła kobieta.

My z dziećmi mówiliśmy po łemkowsku. Moje dzieci umieją, ale wnuki to już nie bardzo. Wstydzą się, towarzystwa krępują, czy co. Ja tam się nie krępuję, co się będę wstydziła, jak jestem wyrzucona ze swojego gniazda. Ja mówię: Żyd po swojemu gada, Niemiec przyjdzie - po swojemu gada, dlaczego ja mam się wstydzić? Nie ma takiego państwa nigdzie, żeby nie było mniejszości narodowej. To nie jest żaden wybryk, tak jest od Boga dane. Na przykład mam brata w Gdańsku, ma dwoje dzieci, syna i córkę. Jak ona powiedziała, że ma ojca Łemka to tak jej zazdrościli...

W Krynicy

Byłam w Krynicy na grobie naszego księdza, który był z nami, uczył nas religii – tam jest krzyż trzyramienny. Ale co mi się nie spodobało

- jak ludzie do Rosji wyjechali, ten ksiądz zostawił naszą wioskę, poszedł do Limanowej do polskiego kościoła, katolickiego. Nazywał się Wenhrynowycz, a jego ojciec też był księdzem. Może się bał, ale myślę, że pasterz nie powinien swoich owieczek zostawiać. Pochowany jest w Krynicy na cmentarzu, obok Nikifora Drowniaka, tego malarza, też Łemka.

Żeby do gór wrócić, do tych kochanych gór

Jak przyjechaliśmy na zachód, myślami byłam tylko tam - w górach. W górach to jest zdrowie, bardzo tęskniliśmy za górami. Dostaliśmy pożyczkę bezzwrotną, żeby się budować. Ale było powiedziane, że kto weźmie pożyczkę, to w góry nie wróci. Mało kto więc wziął, żeby do gór wrócić, do tych kochanych gór. Inni, którzy pojechali do Ameryki i zarobili pieniądze - bo tam można było zarobić - przyjeżdżali, żeby kupić kawałek ziemi w tych kochanych górach.

Po przyjeździe tutaj raz tylko byłam w górach. Tu mieliśmy gospodarstwo, nie było możliwości wyjechać. Zawsze szykowałam się, że na „Watę” w Żduni pojedziemy. Córka mówiła: *Koniecznie pojedziecie!* Planowała, że pojedziemy obydwój z mężem. Ale mąż zmarł. A tak bym z chęcią pojechała... Teraz już nie pojadę, zdrowia nie mam. A wrócić w góry? Do naszych okolic kiedyś nie puszczali, tam gdzieś Grybów, to puszczali więcej, i wielu wróciło, ale na nasze tereny nie puszczali nikogo. W tym, że przyjechaliśmy tu już na zawsze, upewniłam się, jak już dom tu mieliśmy, zaczęliśmy gospodarzyć i siał. Teraz już nie ma do czego wracać. Wszystko pozarastane. A nasi ludzie kiedyś obrabiali tam każdy skraweczek ziemi...

Część moich bliskich pochowanych już tutaj, w Dobiegniewie, mąż - w Strzelcach. Ja nie lubię miasta, tutaj się dobrze czuję, tu jest wszystko moje, ludzie znajomi i jakby nie było żyję tu już ponad pięćdziesiąt lat.

Ojczyzna jest wtedy, gdy ktoś ma do niej szacunek

Ojczyzna jest wtedy, gdy ktoś się rodzi w tej ojczyźnie i ma do niej szacunek. Dam taki przykład. Mam brata w Rosji, już nie żyje. Miał dwie córki: jedna wyszła za mąż za Brazylijczyka. W Brazylii mówią po portugalsku i on we Lwowie portugalskiego uczył, a jego żona - córka brata - angielskiego. No i Ruscy przyszli do niego, żeby szkalił tę swoją Brazylię. On mówi: *Ja nie mogę. Jak mogę szkalić, kiedy to mój ojczysty*

kraj, w którym się urodziłem. Nie mogę. I został represjonowany. Tak samo ja też powiem: Polska to mój rodzinny kraj z dziada pradziada. Miodów nie było, były rozmaite chwile: dobre i złe, ale tu się człowiek urodził. Mam córkę w Ameryce. Jej mąż pojechał wcześniej, najpierw był cztery lata, potem wrócił, potem znowu pojechał na cztery lata i sprowadził ją. Są tam, ale do kraju ich ciągnie. I wróca, bo tu jest rodzinny kraj i koniec.

Śpiew i miłość

Ja bym chciała, żeby śpiew był taki, jak w domu kiedyś. Śpiew i miłość - to są dwie rzeczy najważniejsze, bo jak śpiew ładny i jak będzie jeden drugiego miłował, to będzie dobrze, nieprawda? O!

Melania Jacenik

Stary nauczyciel

Pięć lat miałam, kiedy poszłam do szkoły. Miałam koleżankę dwa lata starszą, ale jak ona poszła, to mnie nie przyjęli. Bardzo mamie płakałam: do szkoły i do szkoły. Pamiętam, jak mnie mama ubrała, wzięła za rękę i zaprowadziła do klasy. Nauczyciel nigdy mnie nie wyczytywał, w dzienniku nie było mojego nazwiska, ale przechodziłam tak przez lato. Zimą już nie. A potem i tak musiałam zacząć od początku.

Mieliśmy rachunki, polski, historię, geografę, wszystko jak teraz. Pisaliśmy po łemkowsku, tylko się nazywało, że to ruski. Durkot Stefania nas uczyła. Znały też łemkowski Bogdańska Maria i Adamiak Helena. I Husak był - Ukrainiec, stary nauczyciel. Nazywał nas „głupi Łemko”, „durny Łemko”. Ale mądry człowiek był.

Ksiądz Wenhrynowycz

W każdy piątek była godzina religii. Trzeba było znać całą Biblię i cały katechizm. Ksiądz Wenhrynowycz był bardzo wymagający. Jak przyszedł adwent - to wszystkich kołęd, a jak post wielkanocny - postnych pieśni trzeba było się uczyć. Ksiądz zauważył, że dobrze śpiewam, usiadł na ławkę, po głowie mnie pogłaskał: *No, teraz będziemy śpiewać.* I trzeba było śpiewać wszystko, jedno za drugim, co się znało.

Jak przyszedł dzień komunii, ksiądz zebrał nas w szkole. Wcześniej przygotował nas, jak się spowiadać. Pamiętam do dziś, co trzeba było mówić. Ze szkoły poszliśmy do cerkwi, a z cerkwi do domu. I tyle. Żadnych przyjęć nie było. I żadnych strojów – byliśmy ubrani tak, jak się chodziło do szkoły.

Emilian Wenhrynowycz miał żonę Zofię i troje dzieci. Teodor skończył szkołę morską. Był kapitanem, pływał po Kanale Sueskim. Zginął na morzu. Nie było co chować...

Potem przyszedł ksiądz Sandowicz. Łobuz okropny, za dziewczynami chodził. Ożenił się z Polką. Ona go zostawiła w Krakowie. Potem mieszkał w Krynicy. Mieli córkę Marysię, ona poszła do SS w 1944. Tylko ona ze wsi poszła, a z Krynicy - Marysia Krynicka i nasza Nadia. Mówię nasza, bo to rodzina taty z Ukrainy - Leszczyszaki.

Dziewczyny w Niemczech w łągrach były. Krynickiego Andrzeja brat - Wanio też był w Niemczech, na robotach. Jak się wojna skończyła, szedł któregoś razu z kolegą z Mochnaczki Wyżnej drogą, koło wielkiego obozu dla dziewcząt. I usłyszeli apel: *Wenhrynowycz Maria - wystap!* To przecież córka księdza - skojarzyli! I pomału, pomału - nie wiem jaką drogą - skontaktowali się z tą Marysią, Nadią i drugą Marysią.

Chodzili tam nocami, rzucali kamienie z przywiązany do nich kartkami i pod murem wykopali dziurę. W końcu zabrali je stamtąd. Potem Marysia Krynicka wyjechała do Ameryki Północnej, Nadia – do Australii, a córka księdza Wenhrynowicza – do Ameryki Południowej. Nigdy już stamtąd nie wrócili.

Za co był internowany ksiądz Wenhrynowycz tego się nikt nigdy nie dowiedział. Trzy lata był w Kielcach. Nie tylko on, wzięli więcej księży i wszystkich mądrzejszych ludzi. Jacenik raz na dwa tygodnie donosił im chleb suchy, masło, co było można.

A potem przyszedli inni księża na parafię: Dziobak, Liwczuk - Hucul, Orszak... Jak wyjeżdżaliśmy, polski ksiądz przyszedł na parafię. Nie pamiętam jak się nazywał.

Kawalerowie

- Pamięta pani pierwszego chłopaka?
- Swojego?
- Tak. Jak panią podrywał?
- Miałam pewnie siedemnaście lat. A może i wcześniej, siedemnaście miałam, jak się Jacenik zjawił. Ale o chłopakach nie będziemy gadać.

- Nie lubi pani takich tematów.
- Dużo ich było. Byłam młoda, pięknie śpiewałam, byłam otwarta, tak że nie miałam z tym kłopotów. Chłopaków nie brakowało. Bili się.

A potem przyjechał Jacenik do Mochnaczki

Czasy międzywojenne bardzo dobrze pamiętam. Człowiek był młody to wszystko było dobre, wesołe. Najważniejsze były spotkania i śpiew. Latem co wieczór spotykało się cztery, pięć dziewcząt, dołączali chłopcy i się śpiewało. Ja młode lata dobrze wspominam. A potem przyjechał Jacenik do Mochnaczki. Nie wiem, miałam chyba dziesięć lat, a może mniej. On zajmował się kulturą łemkowską, prowadził chór świecki - należała do niego moja starsza siostra - i cerkiewny.

Jacenik urodził się 25 grudnia 1915 roku. Ojciec nieznan, mama - Anna Jacenik, babci było na imię Maria. Wcześniej mieszkali w Polanach. Jego mama zmarła, kiedy miał 12 lat, ale że był z dobrej rodziny, ktoś się nim zajął, kształcił go. Skończył gimnazjum w Krynicy. Uczył się na psalmistę, a później, już tutaj, był na kursie księgowego.

Przygotowywał przedstawienia. Każdej zimy musiało być przedstawienie. Pamiętam do dziś: *Pamiętajcie chrestyjanie, szto sia z wamy potim stane. Żena naj chlib pecze, dity rodyt, ale wece naj fej nycz ne obchodyt! A de jaka polityka, oho! Taj uż nosa naj ne wtykat!* itd. Scena była w nowej szkole. Była tam też czytelnia, gdzie się wszyscy zbierali.

Jacenik różne piosenki układał. Jedną pamiętam, dostałam potem za nią burę w domu. Bo było przedstawienie, a później chór śpiewał. No i on odłożył piosenkę i zapowiedział: *Teraz zaśpiewamy piosenkę, którą dedykuję swojej dziewczynie, Melanii.* No i śpiewaliśmy: *Melaniu, Melaniu...* Przepiękne żeśmy piosenki śpiewali, sentymentalne takie.

Ślub braliśmy w cerkwi w Mochnaczce w 1946 roku, w lutym. Dawał go nam polski ksiądz, po katolicku. Jacenik nas przeciwczył, więc po polsku śpiewaliśmy całą mszę świętą. Dużo Polaków przyszło. Suknię miałam białą, welon, Izidor w garniturze. Wesele było z muzykantami, dużo by opowiadać... Dzieci też chrzciliśmy w polskim kościele.

Potem, jak powstała cerkiew w Ługach, Jacenik poszedł na diaka. Chodziliśmy do Ługów pieszo, pływaliśmy łódką, rozmaicie. Potem także rowerem: Jacenik brał jedno dziecko z przodu, drugie do tyłu, a ja za nimi, przez most na dole, w lesie. Całe życie do czynienia z księżmi, więc jak przychodził nowy, to niejednego organistę, czy księdza poduczył śpiewać.

Jaceniak był w pegeerze księgowym, to był za Pana Boga. Rządził wszystkim, słuchali go jak nie wiem.

Po śmierci męża ja już się światem nie interesowałam. Mało nie straciłam rozumu, tak przeżywałam – wtedy córka mnie brała do Krynicy, do gór, do swoich stron – i tam mi przechodziło.

Jak się wojna zaczęła i skończyła

Nie pamiętam dokładnie, jak się wojna zaczęła. Ale Niemcy przyjechali do wsi później, jak już trwała.

Stefan Porucznik, pierwszy chłopak, który się koło mnie kręcił, handlował mięsem. Zamknęli go w areszcie w Muszynie. W Krynicy był Urząd Miasta, tam go Niemcy osadzili. Dostał wyrok śmierci. Załadowali ich na samochód i wywieźli. Dużo ludzi pociągiem pojechało zobaczyć egzekucję.

Porządku we wsi pilnowała wtedy policja ukraińska. Do szkoły też więcej nauczycieli ukraińskich przyszło. Ale książki były polskie. A niemieckiego nie pamiętam, czy zaczęli uczyć. Do szkoły chodziłam na Słotwiny. Nie pamiętam dokładnie nazwy, chyba jakaś sadownicza to była. Wielu Łemków wtedy w Krynicy do ukraińskich szkół chodziło. W 1945 Łemkowie zaczęli wyjeżdżać do Rosji. Z Mochnaczką też wyjeżdżali. Namawiali się nawzajem, zachęcali: *Jedziemy do Rosji, do swoich*. No i poszli do swoich...

Niektórzy wracali, ale na przykład mój wujek, Brunarski, nie wrócił. 70 hektarów ziemi miał w Tyliczu. A tam poszedł z pięciorgiem dzieci i chałupę dostał murowaną. Przyjeżdżał potem parę razy, kiedyś był u mnie całe lato, ale wrócić - nie wrócił. Dzieci tam wykształcił: dwóch synów na wikarego, córki na nauczycielki.

W Muszynie też nie było Łemków. Jak kończyła się wojna, wszyscy nauczyciele Ukraińcy uciekli na Słowację. Mój tato miał dużo rodziny na wschodzie. Nazywali się Leszczyszak, byli wykształceni: jeden wujek skończył prawo, drugi był profesorem w gimnazjum, a trzeci - księdzem. Ten ksiądz - nie mogłam tego zrozumieć całe życie - coś tam przewinił, uciekł do Leluchowa za Muszyną i targnął się na swoje życie.

Niemcy w czasie wojny dużo ludzi na roboty zabrali, ale prawie wszyscy wrócili. A jak skończyła się wojna, przyszła polska władza i policja.

Wysiedlenie

Pamiętam, jakby to było dzisiaj. Jaceniak wtedy chodził do szkoły, skończył gimnazjum w Krynicy, miał zdawać egzamin. To był czerwiec.

Wszyscy szykowali paczki. A my planowaliśmy odebrać zaświadczenie od dyrektora szkoły, że Izidor musi skończyć szkołę, żeby nie wyjeżdżał. Wieczorem przyszedli sąsiedzi, bracia: *Sama zostaniesz?* Przez noc zbili skrzynki i co mieliśmy, to żeśmy zabrali. Rano przyjechały fury i do widzenia. Cały dorobek, jaki mieliśmy, zabrała siostra Heła do Tylicza. Ona wyszła za Polaka, to jej nie wyganiali.

Najpierw wywieźli nas do Florynki. Byliśmy tam bardzo długo, może i dwa tygodnie, bo nie było transportu. Na łące się leżało, albo jak ja z dzieckiem - to w pustych domach. A potem przyszedł transport, załadowali nas w Grybowie razem z końmi, krowami. Lidia miała wtedy cztery miesiące. Jechaliśmy dwa tygodnie, pociąg co raz się zatrzymywał i żołnierze prowadzili nas gdzie były kopy siana, chłopcy siano brali i karmili zwierzęta.

Przyjechaliśmy do Niegosławia, koło Drezdenka. Tam nas rozładowali, i tam się osiedliliśmy. Ładny domek dostaliśmy. Ale ja zaczęłam płakać, bo rodzice poszli tam, ja zostałam tutaj, nie było miejsca tyle, żebyśmy razem byli. Jednych wyładowali w Dobiegniewie, drugich tutaj. Potem chodzili i szukali, gdzie są swoi. W tym majątku, tutaj, było nas dziewięć rodzin. Każdy po kąciku miał. To była ruina, ale pomieszczenia duże. My byśmy nie brali, ale Janek wcześniej zajął i przyszliśmy na gotowe. Były problemy z jedzeniem, ale człowiek był młody.

Rodzice to rozpaczali, moja mama mówiła: *Ani niebo już nie moje, ani ziemia*. Mnie też ta ziemia była obca. To nas tylko trzymało że młyn był taki i zbieraliśmy się wszyscy, ilu nas było, jak przychodził wieczór, na schodach i łemkowskie piosenki śpiewaliśmy. Jak zaczęliśmy śpiewać, to się głos po lesie roznosił. A cała wieś wołała: *Chodźcie słuchać, bo Łemkowie śpiewają!* A później polska młodzież też zaczęła przychodzić i nauczyli się łemkowskie piosenki z nami śpiewać. Nie czuliśmy żadnej nienawiści. Nawet do kościoła żeśmy chodzili w Chomętowie i w Dobiegniewie.

Jaceniak zaraz nas przeszkolił na Polaków, poprzekręcał nami i całą mszę po polsku się śpiewało. Był taki ksiądz Nowak, bardzo Jaceniakowi dziękował i na kazaniu mówił: *Idźcie do Chomętowa posłuchać jak śpiewają. Tam jedna kobieta śpiewa jak w operze*. Ale nie byli nic zgrani, bo naród był nieśpiewający. Gdyby był śpiewający, to by się połapał.

Ksiądz Siemaszek

Był też taki polski ksiądz, Siemaszek. Przyjeżdżał do nas kilkanaście razy, nocował. Biedny był, pieniądze zbierał na plebanię, ale tylko po

znajomych. Myśmy też dawali. I wybudował piękną plebanię. Później, jak tam pojechaliśmy, już był nowy, młody ksiądz i on nie pozwolił na plebanię wstąpić, ani do cerkwi. A biedny Siemaszek w jednym pokoiku został, nic nie miał do powiedzenia. Za dwa, czy trzy lata, już tylko jego opuszczony grób znalazłam, pomniczek taki prosty... Tak mi było przykro, że stałam nad grobem i płakałam.

Teraz cerkiew jest zamieniona na kościół. A Siemaszek sam odprawiał nam nasze święta grekokatolickie, bo myśmy byli grekokatolikami. Jak przyszło Boże Narodzenie, czy Wielkanoc, to on odprawiał po łacinie, a myśmy śpiewali po naszymu: *Bóg się rodzi to Boh się raždajet*. Bardzo dobry był człowiek. Ile razy ja tutaj na mszę dawałam za niego...

Łemkowyna

Dla mnie Łemkowszczyzna to bardzo drogie miejsce, ponieważ tam się urodziłam, tam moja młodość przeszła. Tam było strasznie wesoło... biednie – bo Łemkowszczyzna to góry, słaby urodzaj, ale wesoło. Może dlatego, że byłam młoda.

Kiedyś często odwiedzałam Łemkowynę, bo miałam tam siostrę. Teraz już nie byłam z dziesięć lat. Rodzina siostry powyjeżdżała do Kanady. Ona miała męża pijaka, ciężko jej było żyć, miała siedmioro dzieci, ale każde studia skończyło i po jednym wyjeżdżali do Kanady - tam jest ich pięcioro, czy sześcioro. Jedna została w Warszawie, na uniwersytecie, męża ma wojskowego, jest na emeryturze, ale pracuje dalej. Dzieci wykształciła: syna ma na medycynie, specjalizację robił w Kanadzie, bardzo dobrze zarabia. Jak idziemy do niej do domu to jak do swojego, tam nasze pokoje czekają.

Jak byłam młodsza to było dobrze, wszędzie mogłam pójść: i na Jaworzynę i wszędzie na te góry. Dla mnie tylko góry są ważne. Tak jak górale bez gór nie mogą żyć, tak i Łemkowie. Był taki moment, że mogłam z mężem wrócić do Krynicy. Nie wróciliśmy jednak, bo byliśmy już tutaj związani. Trzeba było coś sobie kupić, ale nam brakowało pieniędzy. Nikomu z rodziny nie udało się odzyskać ziemi. A i jak się w góry pojechało, to jeszcze kamieniami za nami przez drogę tłukli... Nie było łatwo, nie. Bali się, że wrócimy. A my już się przyzwyczailiśmy. Tutaj nam nikt krzywdy nie robi, nikt się nie kłóci. A tam trzeba było oglądać się, z której strony kamień leci.

Groby rodzinne tam są. Kto jedzie z rodziny – to wszyscy idą na grób, trochę go oczyszczą, posprzątaj. Przedtem, jak był tam jeszcze siostry

zięć, to oni chodzili sprzątać. Teraz wszyscy wyjechali do Kanady... Jak postawiłam kiedyś lampki, to do teraz leżały poprzewracane. Okna domu deskami zabite... Teraz już mnie nawet tam nie ciągnie. Do Krynicy jeszcze mnie kiedyś ciągnęło... Nie ma tam domu, którego bym nie znała. Mieliśmy tam swoją Matkę Boską. Tam się zawsze chodziliśmy modlić obydwój z mężem, jeszcze w narzeczeństwie. Ale spotykaliśmy się w ukryciu, bo ja pochodziłam z bogatej rodziny, a on był sierotą...

Kiedy myślę o cmentarzach, cerkwiach, kapliczkach, które tam zostały, czuję radość, że jeszcze są. Ale ile razy się napłaczę, jak tam pójde, jak małe dziecko płaczę. Dużo tam zostało z rodziny: wujkowie, dziadkowie. Gdzie był pomnik, to trafię, ale gdzie nie było - to już nie poznam. Córka mówi: *Mamo, to nie wiesz, nie pamiętasz?* No nie pamiętam. Dla mnie to wszystko już obce. Tam gdzie mieszkałam, tego już nie ma. Córka pyta: *Mamo, gdzie jest twój dom?* A ja nie mogłam poznać - z jednej strony co innego, z drugiej... *Tu, w tym kierunku* - mówię, ale nie wiem. Się pozmieniało. Kto by przewidział kiedyś, że się tak świat zmieni... że nas wygonią jak zbrodniarzy. Co to się podziało, że nas tak strasznie skrzywdzili? *Zasiane, zaorane, wszystko na polu ludzie mieli...* Jak dzisiaj opowiadam, to nie mogę uwierzyć, że tak można było postąpić. Dużo grobów polikwidowali. To przykre. Każdy ma rodziców, rodzinę, a jak przyjdzie, to nie masz nic, nawet nie wiesz, gdzie jest ich grób... Co prawda tak już jest, że po iluś latach likwidują cmentarze, ale słyszałam też, że ta ziemia była sprzedawana jako rolna. Jak jeździliśmy z córką cały miesiąc po Łemkowszczyźnie - bo ona chce wszystko o Łemkowszczyźnie wiedzieć – to Łemkowie, którzy tam jeszcze są, nam opowiadali. Tam wszędzie, nawet jeśli człowiek nie był za młodu, ta ziemia jest droga. A na nas tak krzywo patrzą, jak przyjeździemy. Trzeba się pilnować, żeby nie postawić byle gdzie samochodu, bo by szyby powybijali. Albo wody ze studni nie pozwolą się napić. Zobaczą rejestrację i zaraz dają cynk jedni drugim, jakby jakiś wróg przyjechał. Moja córka bardzo się interesuje łemkowskimi cerkwiemi, więc jeździmy od wioski do wioski i ona fotografuje. Raz chciała wejść do starej cerkwi, gdzie my kiedyś często chórem śpiewaliśmy. Poprosiła klucze – nie pozwolili. Dla niej tak drogie są te cerkwie... że ja nie wiem. Ma jakiś sentyment.

Łemkowski naród jest bardzo śpiewuszy

Tam się śpiewa tak, że ochrypnąć można. Łemkowski naród jest bardzo „śpiewuszy”. Z rodu w ród wszystko śpiewa, całe pokolenia. Pięknie śpiewają.

Po przyjeździe na ziemię zachodnie było nas kilka młodych dziewczyn, a ja niby byłam mężatka, ale razem z dziewczynami. Jak tylko pograjka – muzyka była zaraz wszyscy szliśmy, jak się żeśmy rozśpiewali... Dożynki były w Ogardach. Mąż szybciotko pozbierał nas dziewczyny – całe dożynki żeśmy odśpiewali.

Nie czuliśmy żadnego upokorzenia, bo tak powiem po prawdzie: myśmy byli przodem, myśmy prowadzili, bo nie było w wiosce takich, żeby nie śpiewali.

W kościele żeśmy pierwsi tu na zachodzie śpiewali. Całą mszę, po łacinie. Miałam książki, nuty, które pisał mój mąż - cały kufer duży, ale zostawiłam wszystko siostrze, bo ona wyszła za Polaka i mogła to przewieźć.

Do dziś przychodzą do mnie ci, co chcą tworzyć coś łemkowskiego; a ja nic nie mam, bo jej zostawiłam wszystko na przechowanie. Podobnież ona nie mogła zabrać i zostawiła u sąsiada – tak mi się tłumaczy, ale nie wierzę w to. Męża miała nałogowego alkoholika i tak wszystko zginęło, cała praca. A teraz to by było takie wartościowe dla dzieci. Bo wszystko tam było, co mój mąż tworzył – i piosenka: „Melaniu, Melaniu”. Jedna Polka tutaj, po konserwatorium muzycznym, założyła chór – z samych Polaków, jeden tylko łemko był. I przepięknie śpiewali te piosenki, które mąż tworzył. Dłuższy czas przychodziła do mnie za tymi nutami – ale cóż z tego, nikt nie wie, co się z kufrem podziało.

Teraz już można przyznać się, że się jest łemkiem

W domu mówiłam zawsze po łemkowsku. Dzieci - jedno i drugie też po łemkowsku mówią przepięknie, i śpiewają. Po łemkowsku to było na co dzień i wszędzie, a po polsku - w urzędzie, do Krynicy jak się poszło. Tutaj, na ziemiach zachodnich, też jak się łemkowie zejdziemy, to po łemkowsku rozmawiamy. A już jak gdzieś wesele, czy jakaś uroczystość, to wszystko się śpiewa po łemkowsku, córki syn po łemkowsku nie rozmawia. Syna dzieci to umieją: śpiewają i rozmawiają, może nie tak czyściutko, ale umieją. Bo ich matka też łemkini. Ale spotkałam się tydzień temu z rodziną synowej - nikt po łemkowsku jednego słowa. Posiedziałam, posiedziałam, później nie miałam z nimi co rozmawiać. Ja po polsku umiem, ale mnie jakoś było przykro, że tak się wszystko odwróciło. I moim zdaniem wszystko się wynarodowi.

W Krynicy jest szkoła łemkowska, dzieci uczą się po łemkowsku... Czytałam też w takiej gazecie, jak łemkowie dochodzą do siebie, dużo się teraz pisze. Jest więcej luzu.

Mój mąż pięćdziesiąt lat służył cerkwi i kościołowi. Na jego grobie po polsku napisane, że pięćdziesiąt lat służył. Nie przyszło mi do głowy, że mogłam po łemkowsku napisać. Gdybym tak zrobiła, to jestem w stu procentach pewna, że nawet tydzień pomnik by nie powstał, bo rozwaliby go jakiś zbir. Trzeba było się przystosować, jak to się mówi: tańczyć jak grali. Teraz już można przyznać się, że się jest łemkiem. Wykształconych jest bardzo dużo łemków, bo się wszyscy teraz uczą.

Paraskiewia Garbera

Na początku ludzie nie wiedzieli, kim są łemkowie

Jak przyjechaliśmy, ludzie tutaj nie wiedzieli, kim są łemkowie. Nawet moja synowa nie rozróżniała: Ukraińcy czy łemkowie. Jej ojciec jest nauczycielem i mówił: *Ja takiego plemienia nie znam*. Jak to, nie uczyliście się historii, geografii? Trzeba im było tłumaczyć, a i tak cały czas mówili na nas „Ukraińcy”. Nie uważali nas przed wojną. Jak przyjechaliśmy, cała wioska przyszła na podwórko i patrzyli na nas jak na zbrodniarzy. A później, jak się okazało, że w wiosce są też zza Buga, to się przyzwyczaili i razem chodziliśmy do szkoły, zaczęliśmy się kolegować. Po polsku mówić się nauczyliśmy. To już była przyjaźń i przestali nas wytykać palcami. Na dożynki, na chór razem chodziliśmy. Wujek Jacenik, tak go nazywałam, uczył nas wszystkiego i żyliśmy w przyjaźni.

Jak było dobrze

Jak przyjechaliśmy na Zachód, byliśmy jeszcze dziećmi. Do pałacu w Chomętowie nie można było wejść, zarośnięte wszystko było, porozwalane, okna pozabijane deskami. Każdy bał się wejść. Mówiliśmy: *Niedługo wrócimy do domu*. Trzy miesiące tych rzeczy, które wzięliśmy ze sobą, w ogóle żeśmy nie ściągali i tak żeśmy spali. Na środku pałacu wykosiliśmy trawę, zrobiliśmy piec z cegieł, gdzieś blachę jakąś znaleźliśmy i tak żeśmy gotowali. Przyjemnie było, jak Cyganie, całe lato, dla dzieci to była frajda.

Nadeszła jesień i wszyscy myśleli: *My tu tylko na miesiąc, nas wezmą z powrotem do Mochnaczkii*. Ale zrobiło się zimno i każdy mówi: *Trzeba wchodzić do jakiejś budy, remontować coś i mieszkać*.

Całe lato chodziliśmy do wioski, do gospodarzy i zbieraliśmy kłoski po ziemi, bo nic nie było, ale nas ganiłi z pola – a w domu wszystko zasiane zostawiliśmy...

Jak dziś wspominam, ilu nas tam mieszkało - osiem rodzin, w każdym domu dzieci, nas było jak mrówek na podwórku. W mieszkaniu, gdzie teraz siostra mieszka, jest kuchnia i pokój, a my mieszkaliśmy tam: babcia, dziadek, rodzice i nas czworo. Później wyszłam za męża i jeszcze dwoje dzieci tam miałam. Dwunastu nas mieszkało i nie kłóciliśmy się. Teraz sobie nie wyobrażam, jak wszyscy na kupie żyliśmy. Dzisiaj to by się ludzie pozabijali. I piosenki się swoje śpiewało. Wieczorem Andrzej przychodził z harmonią na schody, grał, a my śpiewaliśmy. Zimą po kolędzie chodziliśmy, do polskich domów zachodziliśmy, a polscy kolędnicy do nas.

Chociaż była bieda, odzieży nie było, butów nie można było kupić, ale człowiek był wesoły, zadowolony. Przyszła sobota, to jaką tam sukienczynę kto miał, wyprał, założył czyściutką. Pamiętam, jak przyszliśmy, białe skarpety były modne. Takie buciki płócienne w Dobięgniowie się kupowało, trochę ładniejsze od tenisówek, jak się pobrudziły to się kredą wysmarowało. Żorzeta modna była, to się sukieneczki z niej poszyło i całe lato się chodziło. A na zabawy chodziliśmy do Ogardów osiem kilometrów pieszo, lasem. Ale dziewczyny same nie szły. Szli chłopaki, to się razem szło. Człowiek był młody, to by nie wiem gdzie poleciał. A potem jak już wyjdzie z tego gniazda...

Kto taką wodę widział?

Z początku byliśmy wystraszeni: Kto taką wodę widział? Takie jeziora, takie domy! W Mochnacze czegoś takiego nie było. A tych węży tyle, że się krowy do wody bały pójść, a my dzieci - tylko koło rodziców. I wszędzie zarośnięte powyżej człowieka. Potem żeśmy do Ługów przez to jezioro łódką pływali. I nikt się nie utopił. Jeden tylko, jak z rowerem szedł po lodzie. Ale my pilnowaliśmy dzieci i nic się stało. A jak dzieci podraستاły to już same rozumiały. I później nauczyły się pływać.

Wesela

Pierwsze wesela, jak tu przyjechaliśmy, wyglądały jak w Mochnacze. Druhny ubrane po krakowsku: spódnice ładne, zielone, gorsety, wstążki przywiązane do ramion, korale, bluzeczki - eleganckie, wyszywane. Warkocz jak która miała, to wkoło okręciła. Druhen było pięć, sześć, a nawet dziesięć. Młoda wszystkie koleżanki prosiła na wesele.

Drużbanci mieli kapelusze ładne. Stroje mieliśmy jeszcze z gór. Na weselach obowiązkowo grała orkiestra: huszle, basy, harmonia. A Jacenik grał wszędzie, zawsze był na weselu, bo potrafił przed weselem mowę elegancką powiedzieć. U nas, jak córkę wydawaliśmy za męża, też był. Mowę wygłosił taką, że płakali starzy i młodzi. Później na weselu, kiedy się „Ojczy nasz” mówiło i wszyscy śpiewali „Mnohaja lita”, też piękną mowę wygłaszał. A potem pomalutku, pomalutku wszystko zaczęło zanikać. Drużki przestały ubierać się w stroje ludowe, bo i znaleźć je było coraz trudniej. Już nie śpiewali tyle, bo jednemu się nie podoba, a drugi nie lubi ukraińskich. Niektórzy, jak śpiewaliśmy, patrzyli na nas krzywo: *O, już zaczynają swoje*. Ale chłopcy, jak sobie podpiłi, to i tak po swojemu zaczęli śpiewać i tańczyć. Siostra niedawno wydawała córkę za męża i chciała zrobić czysto łemkowskie wesele. Ślub był w Ługach. Ludzie pytali: *Jak ona Polaka przekręciła, że poszedł do cerkwi ślub brać?* A on poszedł. Przysięgę po polsku powtarzał. Orkiestra była z Ługów, ale więcej było naszych pieśni, bo wśród Polaków nie ma zwyczaju śpiewać, tylko „Sto lat, sto lat”... A że na weselu były starsze kobiety, to do rycharowej śpiewali nasze pieśni. Teraz już wszystko zanika. Z początku jeszcze organizowali dwa wesela: u młodej i u młodego, jak kiedyś w górach, a teraz tylko w sobotę po obiedzie pójdzie się na ślub na szóstą, potem przez noc zabawa i rano - do domu. Następnego dnia po obiedzie tylko poprawiny.

Podwójne święta

Zwyczaje świąteczne przetrwały wśród Łemków do dzisiaj. Jeszcze w Chomętowie mówili: *Ci tyle świąt święcą i wszystko w polu porobią i dają sobie radę, pieniądze mają, a my robimy, robimy i pieniędzy nie mamy*. Naszych świąt było dużo, ale polskich też. Nie mieliśmy problemów, żeby obchodzić nasze święta. Jak przyjechaliśmy w 1963 roku to robiliśmy tylko swoje, ale później także polskie. Mama i ojciec robili tak, żeby nie było krzywdy i do dzisiaj robimy dwa.

Nie mógł się człowiek świąt doczekać

Na święcone u nas w domu piekło się naczynki, takie białe ciasto jak teraz z blaszki, z cukrem waniliowym, z jajkami. Albo warkocze z tego ciasta splatali, makiem obsypali. Jak szli do święcenia, cały kosz nakładzone wszystkiego, a na plecach pascha - taki chleb, babcia go niosła w płachcie. Co roku wspominam wnukom, jak babcia niosła ten

chleb, a ja, jeszcze mała byłam, kosz tachałam. Później zamawialiśmy paschy u piekarza w Krynicy, takie razowe, fajne. Wnuki zawsze pytają: *Co żeście tam kładli do tego koszyka, że taki ciężki ciągałaś?*, bo teraz to im daję mały. Jajek bardzo dużo się kładło i swoją kielbasę, jak ktoś gdzieś świnkę uchował, bo w czasie wojny nie wolno było trzymać, ale czasem się udało, pod żłobami u krów. Jak się zawinęło tej kielbasy w koszu, to tyle żeby było przez trzy dni co jeść. I masła miskę się do kosza włożyło. Takiego jedzenia nie było cały rok. Nie tak jak dzisiaj, że masz wszystko. W górach tego nie było. Człowiek nie mógł się doczekać świąt. Pleskanki - taki okrągły ser się robiło. Dawało się ser do gazy, wydusiło dobrze z mleka, żeby odcedzić wszystko ładnie, na deskę się położyło i na to jeszcze kamień, żeby się ser uformował. A na końcu babcia jeszcze jajko wymieszała, wkoło ładnie wytarła i wsadziła do pieca, żeby się podgrzał trochę i był błyszczący. Dzisiaj też bym zjadła, aż palce lizać. Wnuki mówią: *To zrób babciu tego sera, jak tyle opowiadasz o nim. Z początku robiłam, takie małe, ale teraz już mówię: Nie mam krów. Z kupnego też zrobiliby się, ale już nie robię.*

Jak zbliżała się Wielkanoc, cały tydzień żeśmy jajka malowali, a później zbijali - jak to dzieci. Starsze kobiety śliczne pisanki robiły. My gotowaliśmy cebulę i w tej wodzie farbowaliśmy jajka. Kto tam kiedyś miał farbki, jak dzisiaj! A jakie ładne jajka z tej cebulowej wody były. Pamiętam jak w święta wszystkie dzieci wносиły je na łąkę i rzucaliśmy do góry, kto wyżej. Jeśli na trawę spadło - to się nie stukło, a jak czasem spadło i się zbiło - to jadłam to jajko i płakałam: *Oni mają, a ja nie*. I biegłam do domu po drugie. Mama nieraz nie chciała więcej dawać: *Wyniesiesz wszystkie, a jutro co będziemy jeść na śniadanie?* W święta nosiło się też święconkę do rodziny i sąsiadów, a oni znowu dawali coś innego, taka wymiana była.

Różne cuda ludzie gadali

Najwięcej ludzie słuchali sołtysa, do niego szli. Byli też i tacy, co więcej pamiętali i umieli historię przekazać. Jak się poschodzili, dzieci siadały koło nich i słuchały, jak opowiadali. Dzisiaj to ja sama bym słuchała i pytała takiego, co ma 90 lat. O wszystkim opowiadali: o strachach, jak ktoś coś przeżył, był na froncie, czy za granicą. I się słuchało. Moje wnuki jak były małe, to przed spaniem, zawsze kazały mi opowiadać o Mochnacze: *Babciu, a jak krowy pasłaś, jak się uczyłaś?* Tylko, że ja miałam 12 lat, jak wyjechaliśmy z Mochnaczki, to dużo nie pamiętam. Starsi opowiadali o czarownicach, co krowy zaklinały, że

mleko było niedobre, bosorki je nazywali. Albo że Niemiec straszy, a tam się światełko zaświeciło, a to krzakami ruszało. Różne cuda gadali, a to tam nie chodź, a to się przeżegnaj - różne były przestrogi. A dzisiaj to chociaż powiesz, to ludzie nie rozumieją, nie chcą słuchać.

Mamuś, upiecz mi tego chleba

Młodszy syn chleba takiego pieczonego, jak babcia robiła, chciał i mówi: *Ja nie chcę chleba ze sklepu, ja takiego nie będę jadł, bo ten chleb niedobry, chcę takiego, jak babcia piekla*. Miał wtedy trzy lata. Tak przeżywa: chleba i chleba. Ja nie miałam gdzie upiec, bo jak przyjechaliśmy mróz był, pieca nie było, no gdzie upiekę ten chleb? Później, w styczniu siostra przyjechała i przywiozła całą blachę chleba upieczonego przez babcie. Jak on się cieszył! Chyba z miesiąc ten chleb trzymałam, zawiązałam, nie mógł się najeść tego chleba. Przyszła wiosna, mróz ustąpił, postawiliśmy piec i piekłam już chleb. Początkowo na liściach kapusty. Do środka dawałam trochę gotowanych ziemniaków, nie tartych, bo w Mochnacze, pamiętam, babcia dawała surowe ziemniaki, ale mi się nie podobały, bo sobie wywnioskowałam, że chleb był przez to twardszy. Brałam trochę maślanki na rozczyn i dawałam, żeby ten chlebek zakisł całą noc. Rano gotowałam kartofle, zmielone dodawałam do chleba, wsypywałam resztę mąki. Zarobiłam ciasto, żeby urosło, a później na kapustę i do koszyków. Pod spodem takie pyszne było. Potem już w blaszkach piekłam, a jeszcze później, jak było za dużo roboty, bo człowiek i gospodarkę miał, i do sklepu do pracy poszłam, to co ja będę chleb piekla, jak jest w sklepie. Nie było czasu, Marian miał sześć miesięcy... Dobrze, że mama przy mnie była. W 1989 roku, jak zboże poszło w górę, to znowu piekłam ten chlebek. Teraz czasem syn prosi: *Mamuś, upiecz mi tego chleba*. - *No - mówię - synuś nie mam mąki i najwyżej upiekę ci w piecyku elektrycznym, bo już na sześć blaszek nie wyrobię, ręce mnie bolą, a to trzeba godzinę chlebek wyrabiać*. Żeby był dobry, ciasto musi odstawać od ręki, aż zostanie sucha. Potem chleb musi wyrosnąć raz w dużej misce i potem drugi raz, gdy się go wysypuje. Kiedyś posypywali jeszcze z wierzchu makiem w znak krzyża, a do środka kminek dawali.

Babciu, a ty nie umiesz inaczej rozmawiać?

Moje dzieci mówią po łemkowsku. Syn który jest w Kanadzie, historię Łemków zna lepiej od męża, z książek się nauczył. Na cmentarzu

w Krynicy o wszystkich wie, kto gdzie pochowany, z dziada pradiada - taki „zawzięty” Łemko. W Kanadzie też chodzi do cerkwi. On się urodził już tutaj i ochrzcił się go w kościele, choć starszy syn i córka chrzczeni w Ługach, przez księdza Poleszczuka. Pacierza czyły ich babcia i prababcia. Młodszy syn do pierwszej komunii i do bierzmowania poszedł do kościoła. I początkowo był bardzo wierny. Potem, jak poznał swoje towarzystwo, nie poszedł już jednak do kościoła ani razu - tylko do cerkwi w Brzozie i w Ługach.

Drugi syn natomiast żonę ma Polkę, ale teraz z powrotem w Zielonej Górze z Łemkami się spotkał. Oni się tam spotykają. Syn swój zakład ma, zaprosili go raz i drugi, to okna im dał, bo swoim trzeba pomagać. I teraz, widzę, ciągnie do swoich. Nikt go za to nie przesładuje. A kiedyś moje dzieci bały się mówić na ulicy po swojemu.

Tylko zięcia mam takiego, że go mama nie nauczyła. Wnukom mówię, że im się język łemkowski przyda, ale nie chcą się uczyć. - *Babciu, a ty nie umiesz inaczej rozmawiać?* - pytają. - *No nie.*

Anna Świątkowska

Wigilia to zawsze musiała być tradycyjna

Najważniejsze były grzyby. U nas w domu gotowało się gulasz grzybowy. Najpierw pomaleńku, bo jak się szybko grzyby gotuje, to traci aromat. Do tego listek laurowy i czosnek. A potem jeszcze cebulkę trzeba podsmażyć na oleju. Olej w górach był lniany, innego żeśmy nie znali. W wiosce była olejarnia, więc robiło się go na miejscu. Ten olej to była jedyna okrasa w Wielkim Poście, czy przed świętami, na Rizdwo. Jak dziecko skończyło siedem lat, to mleka już w poście nie widziało.

Na wigilię obowiązkowo gotowało się groch. I kyselicyę trzeba było zakisnąć. U nas z owsianej mąki się ją robiło. Owies trzeba było w żarnach przemielić, ości odsiać i zakisnąć. Kyselicya to jak polski żur z kielbasą, tylko u nas - postne.

Robiło się też pierogi ze śliwkami. Tata śliwki przywoził z Grybowa czy Nowego Sącza, i zawsze trzeba było trochę schować, żeby było na wigilię. U nas w Mochnacze nie mieli swoich. Tam dalej, cztery kilometry od nas, było już inaczej - gruszki i jabłka fajne. A u nas jakiś klimat taki był.

Wesele nieraz tydzień się ciągnęło

Na wesela ciasto robiło się takie jak teraz, z kruszonką, tylko u nas bez kruszonki, ale ładnie upieczone. Gospodyni jajko rozbełtała i z wierzchu smarowała, żeby ładny kolor był.

Bawili się kilka dni. Wesela nie odbywały się w sobotę, tylko w niedzielę. Goście z daleka końmi przyjeżdżali, zimą sankami. Najczęściej jednak pieszo do cerkwi szli. Drużbanci i drużki, starosta i starościna byli ubrani w stroje ludowe. Drużbanci mieli kapelusze z czerwoną wstążką i piórkiem po lewej stronie. Te piórka druhnny robiły. A druhnny nosiły spódnicę (kabat), przeważnie czerwoną albo zieloną, w kwiaty. Do tego fartuszek z naszytymi wążutkami wstążeczkami, gorset z koralikami i różnokolorowe wstążki (basamunki) spięte na lewym ramieniu. Do tego wianuszki na głowie i korale, ale nie jeden sznurek, różne kolory musiały być - błyszczące, eleganckie! Do dzisiaj mam jeszcze taki strój. Druhen musiało być dużo. Nieraz nawet, jak młoda miała dużo koleżanek, to z rodziny nie prosiła, tylko koleżanki. Bo jak którejs za druhnę nie poprosiła, to ona wcale na wesele nie szła.

Młoda miała białą sukienkę i wianuszek na głowie, prawie jak teraz.

Jak wracali z cerkwi, z przodu szedł starosta z ryścią i śpiewał. Najpierw szli do panny młodej. Wesele urządzali w domu, w świetlicy. Stoły po bokach były poustawiane i jakoś ludzie się mieścili. O dwunastej była rychtarowa - czyli taniec z panną młodą. Kiedyś nie było tak, że z młodą tańczyli tylko mężczyźni, a z młodym - kobiety, wszystkich musiała panna młoda obtańczyć. I wtedy się jej zostawiało prezenty. Jak się ludzie trochę pogościli, wracali do domów, wesele nie trwało do rana, jak dzisiaj. Następnego dnia, w poniedziałek, były poprawiny u pana młodego. Młodą przebierali w sukienkę, czy w spódniczkę i bluzkę, na co kogo było stać. Jak miała warkocz - to himlę, taki kok, robili. I chustkę do tyłu zawiązywali. Śpiewali, że teraz to już nie panna młoda, ale kobieta. Oczepiny robiły swaszki, one najwięcej przyśpiewek znały. We wtorek starosta ze starościna robili gościnę u siebie, a następnego dnia jeszcze drużbanci - to się wesele nieraz tydzień ciągnęło.

Jak młoda szła na inną wioskę, to w wianie dostawała pieniądze. A jak w swojej wiosce zostawała - to ziemia wchodziła w ruch. Nie było zaręczyn jak dzisiaj - chłopak przychodził do rodziców pytać, czy dadzą mu córkę. I dogadywali się z ojcem dziewczyny: *A co jej dacie? Ile ziemi?* Jak który miał ziemię, to nie żałował córce, zwłaszcza kiedy widział, że gospodarka tam, gdzie ona idzie, jest w porządku. Trochę się targowali: jedni mówili,

że za dużo, drudzy, że za mało. Ale się godzili. Rodzice panny młodej zawsze jednak musieli sami wesele zrobić i jeszcze dać trochę pieniędzy na wesele u młodego. W skrzyni dla młodej musiała być chustka wełniana, barankowa ją nazywali, chustki wełniane w kwiaty, spódnica. Teraz już tego nie ma. Jak się młodzi mają do siebie...

Nasi Cyganie

Cyganie zawsze na weselach grali. Bardzo ładnie grali, co im kto zaśpiewał - wszystko Cygan potrafił. Nut nie znali, tylko tak ze słuchu.

U nas Cyganie mówili po lemkowsku. Ale takiej Cyganki jak tutaj na Zachodzie, to ja w górach nigdy nie widziałam. Jak zobaczyłam ją na naszym podwórku, tak się wystraszyłam, że wydawało mi się, że biegnę, a ja w miejscu stałam. Mieszkały w górach Cyganki, ale nie tak ubrane. Wróżyły, ale jak ktoś z wioski chciał im coś dać, to bez wróżenia dawał. Pamiętam, jak mama mówiła: *Ja nie chcę twój wróżenia, co mam to ci dam. Na co mi to wróżenie, co Pan Bóg przeznaczył to będzie.*

„Lekarze”

Były takie babki do porodu. We wsi poważane były. I dobrze było, nigdy żadnych problemów. Ludzie zioła zbierali i się leczyli. A jak ząb bolał, to się nie szło do dentysty, tylko taki jeden we wsi wyrwał. I ten, co się pozbył dziadostwa - płacił. Pamiętam, jak mnie ząb bolał, mama do dentysty do Krynicy ze mną poszła. To było przed samą wigilią i u tego dentysty w domu tak pachniało ciastem. Jak wyrwał mi ząb, jego żona powiedziała: *Nie płacz, dam ci ciastka, tylko nie jedz od razu, mama ci powie, kiedy będzie wolno.* Od razu przestałam płakać.

Do Krynicy chciałam chodzić co rano, mama z siostrą chodziły z mlekiem prawie codziennie. Szłyśmy od razu do swoich „miejsc” w domach zdrojowych i nie trzeba było nigdzie stać.

Imiona

Imiona kiedyś nadawało się od świętych: Piotr, Paweł, Anna, Maria, Szymon, Wasyl. Zwierząt nie można było nazwać ludzkim imieniem. Psy nazywali: Azor, As, Burek, konie: Kasztan, zaś krowy: Breza, Krasula, Kwitula.

Jakoś wesoło było

Dawniej ludzie sobie pomagali. Czasem, jak ktoś nie mógł sobie poradzić - brał sługę. Jak było małżeństwo, co dzieci nie miało, to

brali sługę z biedniejszej rodziny, tam gdzie nie mogli wyżywić dzieci. Utrzymanie takie dziecko miało i pieniądze.

U nas też, jak mama i siostra były chore, ja byłam jeszcze mała, to mama musiała wziąć kucharkę. Różnie było, nie było rozkoszy, ale ludzie weselej żyli niż teraz. Śpiewaliśmy, tańczyliśmy. Jak tylko w parku ktoś na skrzypkach zagrał, my już tańczyliśmy. Chodziliśmy po asfalcie, bo samochodów wtedy tyle nie jeździło, i śpiewaliśmy. Tato mówi: *Nie śpiewajcie, bo się to może ludziom nie podoba.* A my mówimy: *My nikomu nie przeszkadzamy, nie śpiewamy tak, że nie można spać.* I nikt do nas nigdy pretensji nie miał o to, że chodzimy i śpiewamy. Teraz już tego nie ma, młodzież nie śpiewa wcale, bo albo telewizor, albo komórka, do klubu, pod sklep i piwo. A kiedyś śpiewali, opowiadali sobie różne cuda, bo telewizorów nie było. I wesoło było.

Helena i Szymon Błaszczak

Mała wioska z potokiem prosto z wysokich gór

Urodziliśmy się i wychowaliśmy w małej wiosce - w Czertyżnym, niedaleko granicy słowackiej. Oboje byliśmy tam chrzczeni. Tam dorastaliśmy i uczyliśmy się wartości życia.

Każdy mieszkaniec Czertyżnego był bardzo z nim związany. Choć mieszkało tam tylko trzydzieści sześć rodzin, wszyscy odnosili się do siebie z wielkim szacunkiem i sympatią. Każda rodzina miała własny dom, gospodarstwo i ziemię. W Czertyżnym przeważyły domy drewniane, wyjątkiem była szkoła. Wokół naszej wioski wznosiły się góry i lasy. Widok był przepiękny - teraz nawet w telewizji takich nie pokazują. Przez Czertyżne płynął potok prosto z wysokich gór.

Cerkiew

Byliśmy bardzo zadowoleni z naszego życia. Szczególnie z tego, że mieliśmy własną cerkiew. Nie każda wioska ją miała. Czasem ludzie, aby się pomodlić, musieli przejść kilkanaście kilometrów. Cerkiew w Czertyżnym była piękna, drewniana. Miała dużą dzwonnice i trzy dzwony. Przed cerkwią stał duży, żelazny krzyż. W środku znajdowały

się przepiękne ikony oraz kolorowe chorągwie. Piękny był również drewniany ołtarz. Przed 1947 rokiem przyszedł do cerkwi ksiądz grekokatolicki, Rebeniuk. To był bardzo dobry człowiek, każdy go lubił i liczył się z jego zdaniem.

W naszej wsi było inaczej niż w innych miejscowościach, ponieważ cmentarz mieścił się nie w pobliżu cerkwi, lecz na końcu wsi. Nie był duży, ale zawsze dbaliśmy o wszystkie groby.

Szkoła

Szkoła została zbudowana przed 1935 rokiem. Na początku była drewniana, parterowa. W 1938 roku została przebudowana. Jak na tamte czasy była bardzo nowoczesna: z cegły, dach pokryty dachówką ceramiczną. Była parterowa, bo w naszej wsi nie potrzebowaliśmy dużej szkoły. Miała pięć sal, z których jedna, wraz z kuchnią, przeznaczona była dla nauczyciela i jego rodziny. Mieliśmy bardzo dobrą nauczycielkę, którą wszyscy lubili – panią Pochorecką. Choć była Ukrainką, świetnie uczyła języka łemkowskiego, polskiego, niemieckiego i matematyki, a także recytacji i śpiewu. Przed nią nauczycielem był pan Kłańsko. Uczył głównie łemkowskiego i polskiego. Bardzo wcześnie wywieziono go do obozu. Nikt z nas nie wiedział z jakiego powodu. Byliśmy w szoku i przerażeni...

Rodzice byli bardzo zadowoleni ze szkoły, z poziomu nauczania, z nauczycieli, ale najbardziej z tego, że w szkole była świetlica dla uczniów. Zabawy i zajęcia organizowała pani Pochorecka, która miała niesamowite podejście do dzieci. Razem przygotowaliśmy występy dla rodziców z okazji świąt. Do szkoły musiały uczęszczać wszystkie dzieci, nie tylko łemkowskie, przychodziły więc i polskie, i żydowskie.

Łemkowskie wychowanie

Oprócz szkoły i cerkwi, w Czertyżnym był sklep. Znajdował się w pobliżu cmentarza. Na sklepie widniał szyld „Do Mojsia”. Kierownikiem był Żyd, który tam mieszkał. To był sklep spożywczo-przemysłowy, gdzie można było dostać wszystko. Żyd był bardzo dobrym człowiekiem, każdemu pomagał. Można było w jego sklepie brać artykuły „na kreskę”.

W naszej wiosce mieszkał również Polak, który ożenił się z Łemkinią. Jednak w dużej przewadze w Czertyżnym mieszkali Łemkowie. Relacje między mieszkańcami były bardzo dobre. Każdy pomagał drugiemu, jak się dało. Gdy było trzeba, dzielono się jedzeniem. W Czertyżnym było

lepiej niż tutaj, na zachodzie. Tam każdy był tolerancyjny i odnosił się do innych z szacunkiem. W szczególności młodzież łemkowska. Byliśmy tak wychowani, tacy jesteśmy do tej pory. Zawsze umieliśmy się zachować, byliśmy kulturalni i grzeczni. A teraz młodzież nie ma szacunku do niczego i nikogo.

Koszule i kożuszki

Nie było nam łatwo w Czertyżnym. Musieliśmy bardzo ciężko pracować, abyśmy mieli co zjeść i co na siebie włożyć. Kobiety szyły ubrania ze lnu: koszule i spódnice. Nosiły je na co dzień. Do tego chusty w kwiaty. Panienki musiały nosić specjalne gorsety wyszywane cekinami i koralikami. To był przepiękny strój – odświętny, tzw. krakowski. Latem mężczyźni nosili także lniane koszule i spodnie. Zimą mężczyźni i kobiety nosili kożuchy i kurtki z owczej wełny w stylu góralskim. W niedzielę ubierało się odświętne garnitury. Kobiety bardzo lubiły zimę, ponieważ mogły wtedy nosić krótkie haftowane kożuszki. Czasem szyły sobie specjalne stroje - wręcz kreacje - na święta, które były dla nas bardzo ważne.

Święta

Najważniejszymi świętami były Zielone Świątki, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Jednak najwspanialszymi i najmilej przez nas wspomnianymi są święta Bożego Narodzenia. To był czas cudowny. Do domu wnoszono wtedy snop siana, który stał całą Wigilię. Następnego dnia każdy wycinał z tego snopu odrobinę i tym kawałeczkiem owijaliśmy drzewka owocowe. Miało to ochronić je przed mrozem. Odrobinę siana kładliśmy też pod obrus.

W naszym życiu dużą rolę odgrywały zwierzęta, dlatego też w wigilijny wieczór do specjalnego naczynia odkładaliśmy trochę jedzenia z wieczerzy i dawaliśmy im. Miło wspominałyśmy również poranek pierwszego dnia świąt. Szliśmy nad rzekę, moczyliśmy ręce z miedzianymi pieniądzmi i obmywaliśmy nimi twarze. Dzięki temu mieliśmy być bogatsi. W odróżnieniu od ludzi mieszkających tu, na zachodzie, nie dzieliliśmy się opłatkiem, lecz prosforą.

Andrzejkowa wróżba

Wróżby Andrzejkowe zawsze nas fascynowały i każdy chciał w nich brać udział. Najciekawszą była chyba ta z kłuskami. Polegała ona na

tym, że młode panny piekły ze specjalnego ciasta po jednej dużej klusce. Następnie wszystkie kluski układano na stołeczku, który stał w pustej izbie. Do izby wpuszczano psa i którą kluskę pies pierwszą zjadł - ta pierwsza wyjdzie za męża.

Praca i handel

Spotykaliśmy się wieczorami w jednej izbie i śpiewaliśmy do późnej nocy. To było cudowne. W dzień nikt jednak nie leżał na łóżku i nie odpoczywał po długiej nocy, tylko szedł do ciężkiej pracy. Na naszych terenach zajmowano się głównie rolnictwem. Każdy miał ziemię i z niej żył. Ja miałem 9 hektarów, z czego 8 użytkowałem. Hodowaliśmy krowy, konie, owce, kozy, byki i woły. Mieliśmy wielkie, silne woły, niektóre z nich ważyły nawet tonę. Chcieliśmy się dorobić, tak jak i wszyscy teraz. To nie były lekkie czasy, ale nikt nie narzekał, ludzie wspierali się wzajemnie.

Nasza wioska słynęła z hodowli bydła. Bydło sprzedawaliśmy Żydom. Oni je potem prowadzili przez góry do Austrii i tam sprzedawali. Mężczyźni, oprócz uprawy ziemi, zajmowali się wyrobem gontu. Kobiety, oprócz szycia - handlem. Kobiety były bardzo sprytnie. Chodziły po mniejszych wioskach i kupowały wszystko tańsze: ser, jajka, a potem szły do dużej miejscowości, jak np. Krynica, i tam sprzedawały swoje produkty, ale o wiele drożej.

10 maja 1947 roku

W 1939 roku, kiedy Niemcy napadły na Polskę, wycięto bardzo dużo lasów. Niemcy zakładali własne tartaki i budowali okopy. Do pracy zaciągano jeńców z obozów.

Rok 1947 okazał się dla nas tragiczny. W marcu dowiedzieliśmy się, że mają być wysiedlone jakieś tereny w Polsce. Nikt jednak nie wiedział o jakie tereny chodzi, a tym bardziej nikt się nie spodziewał, że to może być nasza ziemia - Łemkowna.

W tamtym czasie wszyscy jakby stanęli przeciwko nam: Niemcy, a po drugiej stronie rząd polski. Byliśmy podejrzani o współpracę z Ukraińską Powstańczą Armią. Poza tym oskarżono nas o zamordowanie polskiego generała - Karola Świerczewskiego. Mówiono o nas straszne rzeczy, same kłamstwa. Mówiono, że Łemkowie w swoich wioskach chronią członków UPA. W Czertyżnym nikt nie współpracował z UPA, a przyjęto to jako powód wysiedlenia. Było nas dużo i byliśmy silni, choć nie byliśmy narodem i chyba tego najbardziej się obawiano - naszej siły. Kochaliśmy

Łemkownę, dbaliśmy o nią, ciężko pracowaliśmy, poświęciliśmy się, aby przeżyć. Nigdy nie stwarzaliśmy kłopotów Polakom, a oni nas wysiedlili z naszej ukochanej ziemi... To było straszne. Czuliśmy się jak jeńcy, którzy otrzymali rozkaz do wykonania. Nikt z nas się temu oficjalnie nie sprzeciwiał, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Każdy bał się o życie swoje i bliskich.

Kilka dni przed wysiedleniem nad naszym terenem rozrzucano z samolotów ulotki nawołujące abyśmy bez sprzeciwów opuścili swoją wioskę. Byliśmy przerażeni, nikt z nas nie chciał w to uwierzyć. Przekonaliśmy się, gdy do Czertyżnego, kilka dni później wkroczyło Wojsko Polskie. Kazali nam się spakować w dwie godziny.

Mogliśmy zabrać zwierzęta, ale tylko tyle ile kto sam zdołał. Moja rodzina wzięła trzy krowy, trzy kozy i trzy owce. Zabieraliśmy tylko podstawowe rzeczy. Wolno było załadować jeden wóz, dlatego zabieraliśmy głównie ubrania, jedzenie, koce itp. Pakowaliśmy się w wielkim pośpiechu. Wojsko nam nie pomagało, ale nic nie palili, nie niszczyli. Zwykli żołnierze, czyli służba czynna, dobrze nas traktowali, odnosili się do nas z szacunkiem.

Zupełnie inaczej zachowywali się oficerowie. Szczególnie pamiętam jednego. Bardzo pił, a potem wyżywał się na nas. Kilku mężczyzn mocno pobił. Wszyscy się go bali. Jakikolwiek sprzeciw mógł skończyć się pobiciem, a nawet aresztem w obozie pracy. Dlatego nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby uciekać. Każdemu zależało na tym, żeby jak najwięcej spakować i ...wierzyć, że przeżyjemy. A tego, tak naprawdę, nikt tego nie był pewny, bo nawet nie wiedzieliśmy, gdzie pojedziemy. 10 maja 1947 roku Czertyżne opuścili wszyscy Łemkowie z wyjątkiem Łemkini, która miała męża Polaka. Pękało nam serce z żalu i tęsknoty za ciężkim, ale jakże szczęśliwym życiem... Opuściliśmy swoje ziemie, lasy, góry i wspomnienia. Zabrano nam coś o wiele cenniejszego niż godność, honor i dobre imię - zabrano nam dom i ziemię, jak największym przestępcom.

Pociąg na Zachód

Około 30 kilometrów jechaliśmy do stacji, gdzie mieliśmy załadować się na pociąg. Nie każdy mógł jechać na wozie, bo niektóre były tak zapakowane, że w ogóle nie było na nich miejsca i te 30 kilometrów ludzie musieli przejść pieszo. Zdziwiło nas, że przed wejściem do pociągu każdy musiał się podpisać na specjalnej karcie. Karta została widocznie wcześniej przygotowana przez gminę. To było jak koszmar, z którego

każdy chciał się obudzić. Czuliśmy się okropnie... Pociąg był bardzo długi, ale nie jechały nim całe wioski, tylko ludzi podzielono na trzy grupy. Każda z tur jechała w innym czasie. My jechaliśmy w drugiej turze. Do wagonów wsiadaliśmy rodzinami - wojsko raczej rodzin nie rozdzielalo. Jeśli chodzi o podróż, to jeśli można tu w ogóle mówić o jakichś przyzwoitych warunkach, to nam się akurat udało. Jeśli dla jakiejś rodziny zabrakło pustego wagonu, dawano im wagon, gdzie była już jedna lub dwie rodziny, więc lekko nie mieli. Ale to i tak było lepsze niż podróż w wagonie ze zwierzętami. Jechaliśmy ponad dwa tygodnie. W wagonach dla zwierząt wojsko wcześniej przygotowało siano i paszę, ale w naszych nie było zupełnie nic. Okrywaliśmy się czym mogliśmy: kocami, poduszkami... Podczas podróży mieliśmy kilka postojów w większych miastach: Gorlicach, Jaworznie, Oświęcimiu i Wrocławiu. Najbardziej obawialiśmy się postoju w Oświęcimiu, myśleliśmy, że zostaliśmy wywiezieni do obozu koncentracyjnego. Po pewnym czasie jednak ruszyliśmy dalej. Najgorszy był postój w Jaworznie. Doszło tam do wielkiej tragedii. Z pociągu zabrano na przesłuchanie wielu mężczyzn i księży, w związku z naszą rzekomą współpracą z UPA. Z naszego wagonu wzięto siedmiu mężczyzn: Jana, Józefa i Teodora Czyrniańskich, Szymona Kopyściańskiego, Wasyla i Andrzeja Błaszczaków, a także Aleksandra Sycza. Byliśmy przerażeni. Obawialiśmy się, że już nigdy nie zobaczymy naszych bliskich, że zostaną zabici - tak naprawdę za nic. Najgorsze było to, że nic nie mogliśmy zrobić. Każdy dobrze wiedział, że gdybyśmy się zbuntowali, to też byśmy trafili na przesłuchanie. Panowała cisza spowodowana smutkiem, żalem, przerażeniem i bezradnością. Nawet nie mieliśmy nadziei, że jeszcze ich kiedyś zobaczymy, bo wiedzieliśmy, że Jaworzno słynie z brutalności, bicia i katowania. Nasi bliscy też byli bici, kaleczeni, a nawet głodzeni. Jedli tylko to, co udało im się ukraść, najczęściej ziemniaki i buraki cukrowe. Głód czasem był tak silny, że jedli surowe liście buraków... Najbardziej z naszych bliskich pobili Jana Czyrniańskiego. Straszne było także to, że jego mały, około trzynastoletni syn, Teodor, musiał być przy tym i patrzeć, jak katują tatę. Teodor musiał ojca myć i polewać zimną wodą. Dla każdego byłoby to straszne przeżycie, a dla małego chłopca tym bardziej. Obaj stracili wszelką nadzieję na odzyskanie wolności. Jan kazał synowi uciekać z obozu. Nie było to łatwe, bo obóz ogrodzony był wielkim płotem z drutu kolczastego. Nasz pociąg stał w tym czasie w Jaworznie, na coś widocznie czekano. Teodor cudem uciekł z obozu przez ogrodzenie i ukrył się w naszym pociągu, w wagonie z krowami. Przesiedział tam do późna. Pokazał się dopiero, gdy jego mama przyszła do krów. Był zmęczony,

głodny, i do tego opowiadał o wszystkim, co się działo w obozie. Byliśmy z jednej strony szczęśliwi - bo wrócił Teodor, a z drugiej zrozpaczeni i załamani - bo jego tata zginął. Nie wiemy do tej pory jak to się stało, ale inni nasi bliscy, choć pobici i zagłodzeni, po dziewięciu miesiącach zostali wypuszczeni. Dostali się do pociągu jadącego na zachód i pojechali na poszukiwanie nas - rodziny.

Za Jaworzniem odczuliśmy ulgę, a jednocześnie jeszcze większy strach i obawę co będzie dalej. Nasza podróż trwała jeszcze długo, więc postoje zdarzały się nie tylko w miastach, lecz także na polach. Wojsko wypuszczało wtedy kilku mężczyzn po siano i paszę dla zwierząt. Nikt jednak nie uciekał, bo wiedzieli, czym to się może skończyć. Jedynym plusem w całej tragedii był fakt, że nikt nie chorował i że nie brakowało nam jedzenia. Czasem nawet żołnierze dawali nam zupę, chleb i kawę.

W Strzelcach Krajeńskich

24 maja 1947 roku wysiedliśmy na stacji Stare Kurowo. Załadowaliśmy dobytek na wozy i furmanki i, kierowani przez wojsko, ruszyliśmy do Strzelec Krajeńskich. 24 godziny przestaliśmy na ulicy Mickiewicza, skąd skierowano nas na ulicę Północną 6, gdzie mieszkaliśmy potem około 20 lat. Czuliśmy się wtedy niepewnie. Nie wiedzieliśmy jak długo zostaniemy w Strzelcach. Obawialiśmy się, że będą nas chcieli wywieźć jeszcze dalej. Trochę nam jednak ulżyło, gdy otrzymaliśmy już „swój” kąt.

Kiedy przybyliśmy do Strzelec, miasto było całkowicie zrujnowane. Wszędzie mnóstwo gruzu, kamieni, zniszczone domy i bloki. Widok był straszny. No i przez to byliśmy jeszcze bardziej niepewni. Dom, który otrzymaliśmy, jak na tamte okoliczności, był w bardzo dobrym stanie, nawet nie musieliśmy nic remontować. Należał do magistratu, a ten podlegał burmistrzowi. Zamieszkaliśmy z naszymi najbliższymi, czyli rodziny: Czyrniańscy, Błaszczakowie i Kopyściańscy. Mieliśmy piec kaflowy, szyby i starą szafę. W każdym domu mieszkały po trzy, cztery, a nawet pięć rodzin. Nam się udało, ale inne domy były w takim stanie, że nawet remont niewiele dawał. Strach i obawa towarzyszyły nam jeszcze długo. Poza tym martwiliśmy się o tę część rodziny, z którą musieliśmy się rozstać na stacji w Starym Kurowie. Wojsko skierowało ich w inną stronę.

Szymon Sycz wraz ze swymi bliskimi zostali wywiezieni do Dobiegniewa. Konstantyn Choma zamieszkał w starym młynie, też w Dobiegniewie. Duża część rodziny została wywieziona do Międzyrzecza,

m.in. rodziny Madzelańców, Michniewiczów, Korobczaków, jeden z Syczów i Kopyściańskich. Do Zielomyśla wywieziona została Maria Górka i Demko Sycz.

Odkąd znaleźliśmy się w Strzelcach, nigdy nie byliśmy odizolowani od reszty mieszkańców. Bardzo pomógł nam zadomowić się burmistrz - pan Marczyński. Dzięki niemu mieliśmy prawo do korzystania z darmowych posiłków w kuchni magistrackiej. To było dla nas bardzo ważne, szczególnie na początku. Urząd przez rok dawał zapomogi w wysokości 1.500 złotych. Moja rodzina otrzymała taką zapomogę 14 czerwca 1947 roku. Bardzo nam też pomógł ksiądz Siekierka. Organizował zbiórki odzieży i butów dla nas. Dzięki dobroci księdza mogliśmy również uczestniczyć we mszach. Między sobą mówiliśmy nadal po łemkowsku, a w kościele i służbowo - po polsku. Z dziećmi rozmawialiśmy jednak po polsku, aby łatwiej było im się nauczyć.

W tamtym czasie nie było oficjalnych zakazów używania języka łemkowskiego. 1 maja 1948 roku miało jednak miejsce pewne zajście, podczas którego interweniowało ORMO. Śpiewaliśmy swoje łemkowskie piosenki i w pewnej chwili wkroczyło ORMO, które zabroniło nam śpiewać po swojemu. Musieliśmy ich posłuchać, bo nie chcieliśmy mieć kłopotów.

Na początku było ciężko. Nie dlatego, że trafiliśmy do zrujnowanego miasta, ale dlatego, że jego mieszkańcy byli przeciwko nam. Wyzywano nas od Ukraińców. Jednak nie trwało to długo. Ludzie przekonali się do nas, zobaczyli, że jesteśmy tacy sami, jak oni. Zaczęli chętniej składać w kościele dary, które były przeznaczone dla nas. Zaprzyjaźniliśmy się. Pomagali nam. Nam jednak była potrzebna praca, aby utrzymać rodzinę. A pracy nie było. Miasto było zrujnowane i zniszczone, dlatego najpierw pomagaliśmy je odgruzowywać. W 1949 roku zacząłem pracę w pegeerze w Strzelcach Klasztornych. Mieliśmy dobrego kierownika - pana Kosińskiego. Długo tam jednak nie pracowałem, ponieważ przyuczyłem się do zawodu dekarza i zacząłem pracować przy kryciu dachów.

Taki już los Łemka

Nie ma co ukrywać - każdy niby już się zadomowił, ale bardzo tęskniliśmy za domem, ziemią i górami. Niektórzy podejmowali starania o powrót na południe, ale nie zawsze było to możliwe. Gdy do władzy w Polsce doszedł Gierek, stało się to bardziej realne. Łemkowie, którzy chcieli wrócić na dawne ziemie, najpierw musieli utracone tereny odkupić, gdyż przez ten czas zostały już zajęte - głównie przez górali.

Szymon Sycz, który mieszkał w Dobiegniewie, zdołał odkupić swe ziemie w Ropkach i wrócił w góry. Także Andrzej i Wasyl Błaszczakowie

chcieli opuścić Strzelce, ale nie otrzymali pozwolenia i musieli zostać. Poza nimi nikt nie chciał wyjeżdżać, bo każdy już się zadomowił, zobaczył, że nie jest tu źle.

Na pytanie czy żałujemy, że nie wróciliśmy w góry, ciężko jest odpowiedzieć. Trudno mówić o żalu. Tu pobraliśmy się, tu urodziły się i wychowały nasze dzieci. To tak, jakbyśmy się tu urodzili. W maju minie 55 lat od tego wydarzenia, tego się nie da zapomnieć, ale trzeba po prostu żyć.

Pogodziliśmy się już z myślą, że jesteśmy trochę innymi Łemkami, ale nadal nimi jesteśmy i wysiedlenie tego nie zmieniło. Czas upływa bardzo szybko, umarło już wielu wspaniałych ludzi, którzy na ten temat wiedzieli o wiele więcej. W pewien sposób uczestniczyliśmy w historii. Byliśmy osądzeni, szydzono z nas, wyzywano, ale my nadal jesteśmy i będziemy, bo taki już los Łemka... trochę tułaczy i nielekki, ale prawdziwy i piękny, jak w górach - niełatwo, ale pięknie.

Szymon Siwiec

Mochnaczką

Nas w Mochnacze Niżnej było siedmiu braci i pięć siostr.

Konstanty

Najstarszy- Konstanty- przed wybuchem wojny został powołany z rezerwy do wojska. Przyszła policja, pokazał im wezwanie i zaraz zabrał go do wojska. Poszedł do Nowego Sącza. Potem gnali go na wschód, bo trzeba było uciekać przed Niemcami razem z Wojskiem Polskim. Była taka ulica Zawada w Sączu. Mówili, że to niemiecka. Tam w blokach dużo Niemców mieszkało. I z tych domów strzelano do żołnierzy polskich. To niemieccy cywile strzelali do wojska. Zaczęło i wojsko strzelać po oknach, kto się tylko pokazał, bo kilku żołnierzy zginęło. Poszedł na wschód, przebrali się w cywilne ubrania i wrócili. Konstanty zmarł w Mochnacze w czasie wojny, jak wrócił brat Piotr z Niemiec. Przywiózł wódkę, jakąś zatrutą. Ja też piłem i myślałem, że się wykończę potem. Ale piłem dużo wody, płukałem żołądek. A Konstanty nie. I Michała ojca brat też się zatrzał i zmarł. Hojniak, Piotra ojciec, też wypił i chory był. Brat Piotr pił, ale jemu nic nie było.

Piotr

Brat Piotr był w czasie wojny w wojsku. Wcześniej zajmowali Zaolzie, jak Niemiec na Czecha uderzył. Później tak uciekali przed Niemcami, że aż na Ukrainie się zatrzymali. Z Ukrainy wracali tak, że nocami szli, a w dzień spali po jakichś dziurach, żeby ich Niemcy nie zauważyli. Piotr był potem na robotach w Niemczech.

Jan

Na początku wojny tak się trafiło, że brat Jan był na forszpanie na Hucie. Tak było ustalone, że zawsze jeden ze wsi- z parą koni i wozem- 24 godziny musiał tam stacjonować. Jan przesiedział te 24 godziny i wtedy przyszedł rozkaz, żeby jechać: uciekali z Tylicza z gminy razem z całą dokumentacją na wschód. A on ich musiał wieźć, bo już napierali Niemcy. I wioził te dokumenty aż na wschód razem z dwoma jeszcze chłopami. Później miał problemy, żeby ze wschodu wrócić. Był potem na robotach w Niemczech. Jan pracował u takiej starszej Niemki, która ich biła. Złapał ją za rękę i odepchnął, a ona zaraz zadzwoniła po gestapo i zabrali go do obozu koncentracyjnego, gdzie zginął. My żeśmy nawet w domu w okupację nie spali. Bo strach było, że na roboty wezmą. Nawet przychodzili w nocy kontrolować, czy w stajni jest bydło kolczykowane. Ale zawsze jeden drugiemu dał znać, że chodzą, to się niekolczykowane chowało.

Andrzej i Dmytro

Młodszy Andrzej, a potem Dmytro, byli za młodzi, więc na wojnę nie poszli.

Wzięli nas na przeszkolenie

W lutym 1945r. wojska radzieckie zajęły Mochnaczkę, doszli do cerkwi, tam teren zaminowali i czekali na oddziały, które dotarły z terenów Słowacji przez Tylicz.. Po kilku dniach przyszedł oficer radziecki najpierw do gminy, a później do sołtysa Kolaria i zrobił zebranie, na którym powiedział, żeby do wojska się zapisywali. Jak nie pójdzie nikt, to wioskę spalą. Tak postraszyli, że sołtysa syn się pierwszy zapisał. Zapisało się nas około trzydziestu z Mochnaczki. Wzięli nas na przeszkolenie do Nowego Sącza. Tam zorganizowany był taki punkt, gdzie nas spisali.

Z Sącza wysłali nas do Rabki. Mnie przyjęli na taki duży maszynowy karabin, automat, z okrągłym magazynkiem. Nazywali go kulomiot. Było przeprowadzone normalne szkolenie na strzelnicy i tam dzień w dzień chodziliśmy. Oficerowie przychodzili ze sztabu i nas obserwowali. I tak żeśmy się wyszkolili, a później- na front. Byłem właśnie na warcie. Podszedł do mnie oficer ze sztabu i mówi: *Nada joho zmienii!*. No i zmienił. Mnie dali na front, samochody już czekały, a w moje miejsce nowego wstawili. Zawieźli nas niedaleko frontu, w okolice Rybnika. Tam na moich oczach zestrzelono niemiecki samolot. Widziałem jak z tlącego się samolotu wyskoczyło na spadochronach dwóch mężczyzn i kobieta. Potem ich złapali i aresztowali. A samolot spadł do lasu i tam się spalił. Byliśmy w okolicach Rybnika około trzech dni. Po śniadaniu szliśmy cały dzień i całą noc w kierunku frontu. Niemcy się wtedy wycofywali, uciekali. Szliśmy po takich bagnach! Błota było po kolana. I piechota szła tak bardziej bokami, a samochody i wszystkie sprzęty- prosto- przez te bagna. Bardzo dużo tego wszystkiego było. Rano śniadanie żeśmy zjedli, a nie spaliśmy nic, poszliśmy trzy kilometry i Niemcy nam pierwszy opór stawili. Kierowaliśmy się na Czechy. Była to dywizja 258 pułk ń40. Były tam działa, moździerze- *minomioty*. Do obsługi takiego dużego karabinu było potrzebnych dwóch ludzi - karabin jest ciężki, ponad 32 kilo, do tego ciężkie magazynki. A ten, który miał nosić magazynki to uciekł. I szukajcie go, gdzie jest, tyle ludzi! I mówię do dowódcy: *To jak? Ja sam nie będę wszystkiego nosić!*

Tutaj Niemcy są!

Byliśmy już na Czechach, jak szóstego maja zostałem rany. Podjechał do nas czołg niemiecki. Był od nas jakieś 36 metrów. Niemiecka piechota chciała nas zaskoczyć. Zaczęliśmy ich ostrzeliwać. Niektórzy popadali, bo ich trafiliśmy, inni się cofnęli. Ale potem nas zaskoczyli z drugiej strony. To z okrążenia wyszło nas trzech, a było ponad dwudziestu... Jak nas Niemcy okrążyli, to zaczęli najpierw moździerzami ostrzeliwać. Wszystko rwało- płoty... A my siedzieliśmy w takim zagłębieniu, po pas w wodzie. Ja tak wyglądałem z tego rowu, patrzyłem gdzie Niemcy. A oni byli bardzo blisko. Jeden trafił mnie w głowę - pocisk przebił hełm z przodu, głowę mi tylko lekko zranił, ale z tyłu hełmu była taka wyrwa, że by pięść włożył. Ramię też mi posiekał z karabinu. Leżałem ranny, udawałem nieżywego.

Przyszedł do nas jako goniec jeden kolega z Czynnej - Drab. Przyniósł rozkaz, żeby się nie wycofywać, tylko iść naprzód. To Niemiec mu

serią z karabinu przez brzuch przejechał. Jęczał tam później i prosił, żeby go dobić. Strasznie cierpiał. Przyszedł po śmierć do nas. Ja mówię: *Jak to? Jak już tutaj Niemcy są, popatrz!* Niemiec jeszcze rzucił granat, to straszny dym na nas zszedł. Aż nas nie było widać. Obawiałem się, że to jakiś gaz, albo coś w tym rodzaju. Oddychałem przez mokrą chusteczkę. Taki posmak był, jakby mi ktoś popiołu nasypał. Ale pomału ten dym przeszedł. I wtedy przyszli Niemcy. Leżałem cicho, jak nieżywy. Zobaczył krew, widział, że już dziura w głowie. Na dodatek odłamek granatu trafił mnie w nogę, przebił mi but, ale tego to już nawet nie czułem. Siedzieliśmy całą noc w tej wodzie. Nawet już zasnąłem, bo kilka nocy nie spałem. Ja się ruszam, a naokoło mnie sami nieżywi. Próbuje wyjść póki jest ciemno. Nagle zaczyna się ktoś ruszać - Makuch z Czymrej i jeden Rosjanin. Obaj byli ranni w nogi.

Wyszedłem sztachtetę wykręcić, żeby się dostać przez ogrodzenie do takiego domu obok. Drzwi były zamknięte, nie chciałem ich wylaamywać, żeby hałasu nie narobić. Chciałem wejść do piwnicy - tam byłoby ciepło. A wszystko to było z szóstego na siódmego maja. Rusczy mówili, że *Fryc strzela na Paschę*. Bo akurat były prawosławne święta Wielkanocne. Zauważyłem, że w rogu ogrodu jest taki okop zrobiony i tam razem z Makuchem się schowaliśmy. Leżał tam niemiecki płaszcz pokrwawiony, ale Niemca już się stamtąd zabrali. A Ruski się nie bał - dziurę zrobił w drzwiach, wszedł na piętro i czekał, obserwował nas. A my spaliśmy już. Dopiero rano krzyczy do nas: *Dawaj siuda!* My patrzymy - Niemcy uciekają, Rusczy za nimi. A on siedzi na oknie, nogę sobie wystawił tą ranną, owiniętą płótnem i się śmieje. Ale przyszli Rusczy i go ochrzaniłi. A my żeśmy daleko od okna byli, bo strach - ktoś by jeszcze do nas strzelił. Potem zabrali nas do polowego szpitala i stamtąd, po opatrzeniu ran, znowu na front...

Niektórzy wracali do swoich domów

Jak szliśmy frontem na zachód to bardzo dużo cywilnej ludności ginęło. Uciekali oni razem z niemieckim wojskiem. Dopiero jak żeśmy przechodzili było widać ile jest ofiar... Sporo Niemców nie uciekało przed frontem. Część tych, która uciekała, zaczynała wracać do swoich domów. Wracała taka panna z Niemiec, która była na robotach, prowadziła małe dziecko. Jeden żołnierz ją rozpoznał bo jako dziecko bawił się z nią na podwórku. Chciał ją nawet zabić i pyta: *Czy Fryc zdielał?* A ona mu tłumaczy, że nie. Ledwo żeśmy go odciągnęli.

Najsprawiedliwszy był Ruski naród

Armję Czerwoną dzieliłem na dwie grupy: Rosjan i w ogóle Słowian oraz Tatarów i Czeczeńców. To najsprawiedliwszy był Ruski naród. Nasz dowódca, Rosjanin, bardzo nas lubił. Było nas tam trzech - ja, Wołk z Krynicy i był jeszcze ze Słotwin Ciołek. To nas po ojcowsku traktował. Jak były zajęcia wojskowe, to brał nas do lasu i siedzieliśmy, rozmawialiśmy. I mówił: *Po co wam szkolenia, jak wy już szkołę przeszliście.*

Był w jednostce i taki Ukrainiec, który miał żonę i swoją rodzinę trzy kilometry od jednostki. Zwolnił go dowódca na noc do domu, pod warunkiem, że rano przyjdzie. I on przyszedł. Jego żona w porze obiadu przychodzi i mówi mu: "Nie przychodź więcej, bo banda była w nocy u nas i wypytywali dlaczego do Armii Czerwonej poszedłeś." I przestał chodzić do domu, tylko ona do niego przychodziła.

Był też w armii taki Czeczeniec. Jemu dużo jedzenia nie trzeba było. Ale chleb sobie odkładał. Nieraz to wszystko mu wyszło. A był też taki Wołkow. Chodził i cały czas był głodny. Dużo potrzebował, a zawsze mu było mało. Nieraz chodził na kuchnię po dokładkę. Przyszedł kiedyś z warty, zjadł obiad, ale było mu mało. Akurat Czeczena nie było, to mówi do nas: *Biorę sobie jedną kromkę*. Normalnie mówił, nie to, żeby ukradł. Jak wrócił Czeczen, policzył, że jednej kromki brakuje. My mówimy jak było, a on, że Wołkowa zabije. Jakoś się ledwo później dogadali.

Powrót

Do jednostki trzeba było pieszo zejść, a było daleko, parę dni szliśmy. Nasza jednostka była w lesie. Była nas duża grupa. Bardzo duża. Najpierw kierowaliśmy się w stronę Berlina, a później - bo już Berlin był zdobyty - na wschód. Piechotą przez całą Polskę aż na Ukrainę. Stacjonowaliśmy na Ukrainie w miejscowości Doliny, w namiotach i ziemiankach. Obiecali, jeszcze jak byliśmy w Polsce, że nas do domu puszcza. Później proponowali, że pójdziemy do polskiej armii, ale każdy wolał do domu. Pewnego dnia dowódca nas wezwał, zaprowadził na dworzec, pożegnał jak ojciec dali nam suchego prowiantu - suchary i konserwy - na trzy dni i pociągami - do domu. Dojechaliśmy takim wagonem, którym Polacy jechali na zachód, do granicy. Stamtąd do Sanoka. Tam przenocowaliśmy na poczekalni, gdzie była taka specjalna sala i tam każdy na podłodze spał. Potem, rano, pojechaliśmy do Nowego Sącza. Tunel był zawalony, żeby nie można było dalej pociągami jechać, to żeśmy takim towarowym samochodem pojechali do Mochnaczki. Całą drogę jechaliśmy w

mundurach Armii Czerwonej, bezpłatnie, aż dopiero w Nowym Sączu trzeba było za transport zapłacić. A nikt z nas nie miał pieniędzy, tylko ja miałem taki koc, to go w Sączu sprzedawałem i mieliśmy na samochód.

Natrafiliśmy na leśną chatę

To było już po wojnie. Jak stacjonowałem na Ukrainie. Pamiętam jak byliśmy przy granicy Słowackiej. Dali nam prowiantu na dwa dni. Szliśmy lasem jak front i tam natrafiliśmy na leśną chatę, leśniczówkę, na zielono wymalowaną, drewnianą. Ukraińska partyzantka w większości nam uciekła przez granice słowacką - była bardzo nieszczelna. W tym domku złapaliśmy kucharza. Był gruby jak niedźwiedź. A ile tam mieli jedzenia! Ile mięsa! Chleba! Kur! Złapaliśmy kucharza i jeszcze trzech. Oddaliśmy ich straży granicznej.

Ksiądz był najgorszy

Po przesiedleniu, w latach pięćdziesiątych, zmarł tu, na zachodzie ojciec mojej żony - Hawryło Sywec. Ksiądz katolicki krzyczał z ambony w kościele, że będzie taki pogrzeb i żeby się zejść i nie dopuścić do niego. Sam był ze wschodu, ale był bardzo zacięty. Zeszło się na cmentarz bardzo dużo ludzi. Nawet z Ługów. Poszliśmy z trumną do Dobiegniewa, a tam już dzwony dzwoniły i cały cmentarz pełny był Polaków. Przyjechała milicja ze Strzelca. Na cmentarzu nas ludzie zaatakowali, ksiądz Poleszczuka szarpali i popychali. Miejsce było wykopane. Milicja ludzi odganiała i jakoś trumnę opuściliśmy. A to ksiądz katolicki z krzyżem w ręku tym wszystkim dyrgował, on był najgorszy. Groził, że nie wolno tutaj ruskich chować. A nasz ksiądz mówił, że nie ma to znaczenia. Jak już żeśmy z cmentarza wracali, to minęła nas milicja, albo służba bezpieczeństwa z Zielonej Góry. Był jeszcze podobny pogrzeb Garbery. Mnie tam nie było, ale ludzie opowiadają, że było jeszcze gorzej. Po tych wydarzeniach ksiądz katolickiego aresztowano i spokój był.

Jak spędziłem tydzień od moich 20-tych urodzin do imienin

Każda kraina ze swoich tradycji słynna, a co kraj to inny obyczaj. W Polsce powszechnie i dość hucznie obchodzi się Dzień Imienin. W Niemczech natomiast uczy i przyjęcia robi się na Geburstag czyli w Dzień Urodzin.

W regionie Polski, gdzie ja się urodziłem i wychowałem, nie organizowano uroczystości ani urodzinowych, ani imieninowych. Obchodzono jedynie imieniny patronów kościoła czyli świętych, jak Cyryla i Metodego, Piotra i Pawła, Michała, Mikołaja, Marii Matki Bożej itd. Z tej okazji po krótkim nabożeństwie odbywały się spotkania rodzinne, czyli tzw. Gościna rodzinna.

Dzień moich urodzin to 8 czerwca, a 14 czerwca to dzień moich imienin. Nie było u nas zwyczaju uctowania z takich okazji. Dopiero w 1947 roku, gdy skończyłem dokładnie 20 lat, Rząd Polski Ludowej przeprowadził Akcję „W”, czyli Akcję „Wisła”. Moje 20- lecie urodzin i imienin to smutne wspomnienia z 1947 roku, które pozostały w pamięci ludności lemkowski i ukraińskiej wysiedlonej z Łemkowszczyzny.

Akcję „W” kojarzono z pojęciem wojskowej, wysiedleńczej a nie z Wisłą. Nie było żadnych informacji, ani oskarżeń wobec ludności. Do wsi przybyła drużyna żołnierzy. Zakwaterowali się, wieczorem odbyła się mała potańcówka, jako symbol więzi społecznej z wojskiem. Rano dwóch żołnierzy idąc wzdłuż wsi donośnym głosem oznajmiali, że jest wysiedlenie, że za dwie godziny każdy musi opuścić swoje domostwo. Tak rozpoczęła się akcja w Mochnacze. Był to dzień moich urodzin. Opuściliśmy swoje domostwa, nie wiedząc dokąd i dlaczego nas wypędzają.

W domu było nas 9 osób, mieliśmy gospodarstwo 8-hektarowe, trochę lasu, było kilka krów, owiec, jeden koń i narzędzia gospodarcze. Na dwa małe górskie wozy włożono najważniejsze przedmioty. Jeden wóz ciągnął koń, do drugiego zaprzężono dwie krowy. Tak więc ruszyliśmy do Grybowa.

Droga ta była zroszona łzami, bo ludzie bardzo płakali. Pierwszą noc spędziliśmy we Florynce pod gołym niebem, a drugą już na stacji w Grybowie. Podstawiono wagony. Były to stare odkryte węglarki, wśród nich było kilka wagonów towarowych krytych przeznaczonych dla ludzi.

Stara lokomotywa sapała, ciągnąc 50 wagonów boczną górską linią - transport z wypędzonymi przez Stary Sącz w kierunku Oświęcimia.

W Oświęcimiu spędzono ludzi do obozowego baraku, skąd wzywano niektóre osoby na przesłuchania. Stosowano metody hitlerowsko-stalinowskie, straszono i wmawiano, że wspierano i współpracowano z UPA. Nikogo jednak nie zatrzymano, nikogo też nie wywieziono do obozu w Jaworznie. Ludność łemkowska z nowosądeckiego nie miała pojęcia o żadnych akcjach UPA. Tu nie było nigdy żadnej partyzantki.

Osadnictwem na tych terenach od roku 1335 zajmowali się też biskupi krakowscy tacy jak Franciszek Krasieński, Piotr Myszkowski, Jerzy Radziwiłł, Bernard Maciejowski. Wtedy to powstała wieś Brunary. Potem powstawały kolejne wsie jak Szczawnik, Milik, Berest, Czarna, Kamianna, Mochnaczka, Słotwiny, Krynica Wieś. Patronat i władzę nad osadnikami miało duchowieństwo grekokatolickie. Wierni Bogu, posłuszni duchownym, tacy byli osadnicy, których nazywano najpierw Rusnakami, Rusinami, Łemkami, Ukraińcami. Nadrzędnym celem była mobilizacja sił do zdobywania środków potrzebnych do życia. Tworzyli własną kulturę. Łemkowszczyzna była ich ojczyzną. Łemkowie mieszkali w pięciu powiatach: sanockim, krośnieńskim, jasielskim, gorlickim, nowosądeckim. Ogółem to 300 wsi. Wysiedlenie ludności łemkowskiej i ukraińskiej z Łemkowszczyzny nastąpiło zaraz po tym jak zginął generał Karol Świerczewski. Mam wątpliwości co do interpretowania politycznego dwóch wydarzeń historycznych: katastrofy w Gibraltarze, gdzie zginął generał Sikorski i zasadzki w Bieszczadach gdzie zginął generał Karol Świerczewski. To byli dwaj mężowie stanu o wielkim autorytecie, którzy mieli własną konkretną wizję przyszłości Polski. Jeden nie ulegał dyktaturze mocarstw zachodu, drugi nie klękał się kulom, jak też nie klękał przed mocarzami ze wschodu.

Poruszam ten problem, bo miałem w życiu okazję spotkać dwóch byłych żołnierzy. Jeden z Armii Andersa, drugi WOP-ista w Bieszczadach. Obaj byli obecni w miejscach gdzie zginęli generałowie. Jeśli polityka zwycięża i sięga zenitu, to historia stoi w miejscu, lub cofa się. Chciałbym wiedzieć jaka jest prawda historyczna tych wydarzeń.

Wypędzoną ludność Łemkowszczyzny transportowano w nieznaną, na tereny Ziemi Odzyskanych, obwiniając ją o to, że dawała schronienie banderowcom. Społeczeństwo polskie było nastawione negatywnie do tych ludzi, bo w radiu i gazetach głoszono, że ludzie z tych terenów dawali schronienie tym, którzy dokonali zamachu na generała Świerczewskiego. Jedynie kolejarze, którzy nas transportowali okazali wiele życzliwości. Gdy przejeżdżaliśmy przez Opolszczyznę, jak przy torach były kupki z sianem lub hydranty z wodą, maszynista zwalniał, ludzie wyskakiwali z wagonów i brali po naręczu siana, czerpali do wiaderk wodę. Zaspokajano głód i pragnienie zwierząt i ludzi. Gdy wjechaliśmy na

tereny Ziemi Odzyskanych, zostawiano po kilka wagonów na stacjach we Wrocławiu, Wołowie, Legnicy, Lubiniu, Zielonej Górze. Nasze wagony transportowano dalej. W Poznaniu dano nam gorącą zupę i chleb, by ruszyć dalej - w nieznaną nam miejscę.

Po przejechaniu przez Krzyż i Drezdenko zatrzymaliśmy się w Starym Kurowie, gdzie kazano wyładować się z wagonów. Kierowano po kilka rodzin do różnych miejscowości powiatu Strzelce Krajeńskie, takich jak Trzebiecz, Ługi, Chomętowo, Wielisławice, Brzoza, Sokółsko, Bobrówko. My się osiedliliśmy w Górecku. Były tam zdemolowane budynki po jakimś niemieckim folwarku.

Tak spędzałem czas od moich 20-tych urodzin do imienin. Było lato 1947 roku. Chodziliśmy na zarobek do bogatych gospodarzy. Kosilem niemiecką kosą pół hektara żyta dziennie. Za dzień pracy dawano nam worek ziemniaków. Zarobiliśmy tyle, że mieliśmy zapasów żywności na cały rok.

Moje losy potoczyły się innym torem. Skończyłem szkołę i byłem nauczycielem. Wtedy co roku w dzień moich urodzin i w dzień moich imienin dzieci szkolne przynosiły kwiaty, wygłaszały wierszyki, składały serdeczne życzenia. Gdy założyłem rodzinę, żona z dziećmi zawsze organizowała wielką domową uroczystość z okazji moich urodzin i imienin. Zawsze odczuwałem niesamowite zadowolenie i radość z szacunku i szanowania godności mojej osoby. Lecz gdy kiedykolwiek przypomniałem sobie moje 20 urodziny i 20 imieniny w 1947 roku, ogarniał mnie strach, żal, bojaźń, nienawiść, że tak poniżono wtedy godność ludzką moją, mojej rodziny i wszystkich ludzi wysiedlonych.

ks. Włodzimierz Kochan

W 1942 zima była potworna

Jak wyjeżdżaliśmy na Wschód, jechały wioski: Polany, Berest, Huta, Mochnaczka, Perunka. Dojechaliśmy do Florynki i tam była remiza. Potem czekaliśmy tam na pociąg. Jedna czwarta Florynki do Rosji wyjechała, agitacja była - delegaci rosyjscy namawiali, żeby wyjechać. Jechali biedni i bogaci. Ze Słotwin, Krynicy, w 1942 roku jak wyjeżdżali, zima była potworna. Wozy na kołach były, a pod kołami płozy, bo ludzie nie wiedzieli jak długa zima będzie. Jak zima przechodziła - płozy

zdejmowali, a koła zostawały. Dzieci na sianie do góry, a krowy za nimi. Mróz był niesamowity. Ja byłem chłopcem więc patrzyłem na to z niedowierzaniem.

Religii w szkole uczyli

Do szkoły zacząłem chodzić „za Polski”, w 1936 roku. Jeden rok, drugi, to była normalna polska szkoła, ale uczyli też ukraińskiego. Z tym, że ci którzy wykładali ukraiński, to nie byli wcale Ukraińcy. W 1939 roku zamiast polskiego języka mieliśmy już język niemiecki i ukraiński. U nas we Florynce nauczycielami byli Polacy, gdzie indziej byli też Łemkowie. Potem, jak wkroczyli Niemcy, szkołę zamknęli na dwa miesiące. Zamiast polskiego był niemiecki, ale ukraiński został. Tylko nauczyciele się zmieniili. W klasie było nas ponad trzydzieścioro z każdego rocznika. Religii w szkole uczyli po lekcjach. Wszystko się tak odbywało, że kończyły się lekcje i po nich była religia i dzieci zostawały. Czasami były wyjątki i uciekało się do domu. Jak to w szkole. Ksiądz był prawosławny. Później wyjechał do Rosji, ale on był człowiek na poziomie, jego żona też. Uczyła dziewczęta gotować i szyć. Potem przyszedł ksiądz grekokatolicki - Abramowicz, i on uczył. Po wojnie zabrali go do więzienia, ale on się w nic nie angażował, to był uczciwy człowiek. Potem przyszli mnisi - bazylianie, zajmowali się rolnictwem. Mieli kilka koni, ogród, sady i lasy. Dużo lasów. Mówiło się że to lasy „w jamach”. I łączkę, tam kosili.

Pierwsza spowiedź

Pierwsza spowiedź we Florynce wyglądała tak jak w innych wioskach na Łemkowynie i to niezależnie czy w prawosławnej czy grekokatolickiej parafii, żadnych cudów nie było. Szliśmy w ostatnim tygodniu Wielkiego Postu, każdy miał białą kokardkę przypiętą, bo przyjeżdżał obcy ksiądz - jeden drugiemu pomagał, i jak z białą kokardką się podchodziło, to on już wiedział, że to dziecko idzie pierwszy raz do komunii. A inne dzieci były bez kokardek. Żadnej gościny się nie robiło. Dzieci do spowiedzi było razem ze mną ponad trzydzieścioro. Podobało mi się to. Żadnych cudów się nie robiło.

Cerkiew

W wiosce było 280 domów. Połowa chodziła do cerkwi grekokatolickiej, połowa do prawosławnej. Księża nie odprawiali wtedy po ukraińsku,

ale językiem rozumiałem dla ludzi - rusińskim. Jak ksiądz zaczynał mówić po ukraińsku, ludzie nie bardzo lubili. Nawet i Ukraińcy woleli służyć w takim języku, jak się służyło, łemkowskim. Jak nas wysiedlali to księdzem był Biegun i on został z nami wysiedlony. Został w Jeleniej Górze i tam zaczął organizować parafię.

Tradycje

Śluby były różnie. Nieraz wypadło w tygodniu, nieraz w sobotę czy w niedzielę - nie było zasady. A jak ktoś zmarł - dzwony dzwoniły. Pierwszego dnia się psalterz czytało, służyło parastas. Tak jeszcze było i na zachodzie. Choć kto czytał dobrze, to czytał, ale inny to tylko mamrotał. Znowu na Rusala robiło się homilkę - to był ser z miętą, albo z samego sera. A jak Fedorowycia była (jak się zaczynał Wielki Post) to dzieci się częstowało ciastkami i słodkościami. Jak przychodził Post, to baby szły nad rzekę z garnkami i szorowały je mocno, żeby tam nic tłustego zostało.

W poście żadnego mleka i mięsa. Robiło się sery i inne takie i się to sprzedawało. Choć jeden pościł, inny nie. Na Boże Narodzenie chodzili, kolędownali, ale ja nie lubię tego. Ze dwa razy byłem. Ale inni chodzili. Na drugi, trzeci dzień świąt cary chodziły, na Jordan - szchedraki. To było fajne - chłopiec przychodził z kijem i go zostawiał. Dziewczyny uciekały pierwsze, a ktoś starszy - babcia na przykład - buch, buch, kijem tym szchedrakom po plecach, po to, żeby krowy nie były jałowe. Komedie takie. Na Nowy Rok żarty robili. Już byłem tutaj księdzem, pojechałem do Torzymia, a tam cały wóz na dachu złożony. I ja im mówię: “Nie róbcie już tak, bo to paskudnie wygląda. I co wam z tego?” No i potem zaprzestali już tego. Małanki były też we Florynce. Schodzili się - dziewczęta, chłopcy. Normalnie - kapela grała. Podobnie na Rusala było. Ale jak chłopcy chcieli się z dziewczynami zabawić, to chłopiec musiał fundować. Pieniądze, żeby wziąć, to trzeba było ojcu ukraść z worek zboża i sprzedać. To najczęściej chodzili do lasu kamerskiego, czyli państwowego, i jak byli silni chłopcy, to choinkę jedną ścinali, ale najpierw z Żydem trzeba było pogadać, czy od nich kupi. No i w nocy obcięli choinkę tak bardzo nisko, pień przykryli, gałęzie odnieśli dużo dalej, żeby leśniczy nie znalazł. I w nocy przywieźli do Żyda, a Żyd pomierzył, zapłacił i już mieli za co się bawić.

Żydzi i Cyganie

Żydów sporo we Florynce mieszkało. Moszko miał karczmę, Szlama też, a trzeciego nazwiska nie pamiętam, to też miał karczmę. A sklepy prowadził Merena - z naszymi, ale prowadził go u Grzegorza Kochana, nie u siebie. Niżej sklep miał Żyd Szlama, na dole miał Żyd Moszko i była jeszcze kooperatywa - sklep spółdzielczy. Kooperatywa zaczęła się wtedy, kiedy wojna się zaczęła. Żydów zaczęli zabierać jak przyszła wojna, najpierw spod Krynicy i to wszystko przez Florynkę szło, do Grybowa, potem do Nowego Sącza i do Oświęcimia. Najpierw zabrano Żydów, potem Cyganów. Cyganie mieli kuźnie. Byli po prostu kowalami. A jeden miał gospodarkę małą.

Cyganie i Żydzi mówili po łemkowsku. Między sobą mówili po swojemu. Żyd robił tak, że gonił dzieci na podwórko i : *Tam się uczcie! I łemkowskiego, i polskiego!* mówił. Byli i Polacy - trzy albo cztery osoby, co się tam u nas poženili. Jeden koła robił, drugi stolarkę, tamten krawcem był, kuśnierzem, kołodziejem, wozy robili. Byli i budowlancy. I tak to było.

Tu było trudniej

Święto we Florynce w obu cerkwiach było na Michała. Obie cerkwie były pod wezwaniem Archanioła Michała - i prawosławna i greckokatolicka. I na kermesz - na odpust - się wspólnie nie schodzili. Każdy był u siebie. W obu parafiach byli i diacy, w greckokatolickiej był Cieśla, ale on miał strasznie piskliwy głos, a w prawosławnej byli lepsi. Był Merena - jeszcze jak tutaj przyszedłem, to on żakował, dobry był diak. Był Zwoliński, Szlachtycz, który znał melodie czysto prawosławne, bo gdzieś tam kursy kończył.

Przyszedłem na taką dość bogatą tradycję - tutaj był Potocki - stary diak - też stary diak. W Torzymiu Merena, Zwoliński był, Antoni który potem był diakiem w Przemkowie. Ale ja z nimi nie miałem kontaktu. Głównie był w tym wychowany. Tylko tu było trudniej, bo po prawosławnemu, to przychodzili, zwracali się do polskiego, żeby pozmieniać. Boże Ciało się wyprowadzało, trochę tradycja była, Ewangelię się

Cerkiew

W wioskach... Prowadzili ją Bazylianie. Nieraz tam... A przy parafii prawosławnej, jak przy-

szedł ksiądz Taranowski, jego żona podobną czytelnię prowadziła. Posprowadzała trochę ciekawych książek, była to taka oświata. No i jak skończyliśmy szkołę - u nas było siedem klas, po wioskach były tylko cztery klasy, to jeszcze była taka Olesia Soroka i ona prowadziła praktykę. Uczyla ich jeszcze po siódmej klasie. Jedni potem szli do Krynicy, inni do Nowego Sącza, do Gorlic, albo do Grybowa.

I przyszedł trzeci dzień

27 czerwca 1947 zabrali nas do Grybowa, tam nocowaliśmy na dworcu, a potem jechaliśmy w wagonach. Jak ktoś trafił do odkrytego - to bajka, jak do zakrytego - to się dusił, ale jak przyszła ulewa... Z jednej strony jechały kozy, krowy, owce, z drugiej - ludzie. My, chłopcy, nad krowami prycze mieliśmy i tam urzędowaliśmy, ale młodzi byliśmy, to nam nie robiło różnicy. Starsi ludzie płakali, biedowali. To było niespodziewane, choć ludzie już przeczuwali wysiedlenia, bo stronę ukraińską zaczęli przesiedlać, mieli wezwania, żeby się w ciągu trzech dni przygotować. I przyszedł trzeci dzień i wynocha... Na zachód jak żeśmy przyszedli, to Ukraińcy się pochowali, nikt się nie przyznawał. Łemkowie to znowu byli jawni. Tak dojechaliśmy do Sulęcina, stamtąd do Przecież, a stamtąd do Antonichowa. To za Torzymiem taki pegeer był. My, młodzi, po swojemu rozmawialiśmy. I zdarzyła się taka ciekawa rzecz, w szkole połowa dzieci była polskich, połowa łemkowskich i polskie dzieci raz dwa nauczyły się naszego języka. I jak nauczycielka któregoś wyrwała do odpowiedzi i nie umiał, to po łemkowsku zaczynał mówić. Nie było tego, żeby się ktoś krępował, bał... Ale w innych wioskach przychodził na Łemków strach - nazwiska zmieniali... Torzym to była sama Florynka, była jedna rodzina Ropickich z Mochnaczki, były rodziny ze Złockiego, Szczawnika. Najpierw do samego Torzymia przyszło siedem rodzin. Dużo było pustych chatek, to potem przychodzili od Sulęcina, z Joratowa. Nie chodzi o to, że do swoich, tylko dlatego, że tu było więcej miejsca. Parafia w Torzymiu była założona w 48 roku na święta Bożego Narodzenia. Ale odprawa była w domu. Przyjechał ksiądz Lewiarz, był w Michałowie, sprowadził tam jakiegoś księdza, a sam przyjechał do nas. Był z Peregrynki. No i założył tą parafię. W tym samym roku, latem, przeszliśmy do kapliczki na cmentarzu i do dziś dnia Łemkowie tam nabożeństwa mają.

Po Lewiarzu był ksiądz Biegun, potem z Wrocławia ktoś jeździł, potem z Poznania Żuk odprawiał, a później był ksiądz Mikołaj Poleszczuk. Po jakimś czasie tu się otwierała parafia - w 52 roku. Pan Hatała

się tym zajmował. I Poleszczuk tu został przyznany, a do Torzymia po Poleszczuku przyszedł ks. Jaworski. Do seminarium poszedłem właśnie wtedy, w 51. roku, za księdza Poleszczuka... Skończyłem seminarium. Nie chciałem iść tą drogą. Ale Warszawa pisała, ksiądz Poleszczuk na mnie naciskał. No i taką decyzję podjąłem.

Do dziś nie wiem co mnie tam pchało, żeby pójść na tory duchowne. 4 maja wziąłem ślub, 11 maja wyświęcili mnie na diakona, a 18 maja - na księdza. Przez pół roku byłem wikarym we Wrocławiu w katedrze. W tym czasie prawie w każdej parafii odprawiałem nabożeństwo. Sam Władysław (biskup) mnie chwalił, że dobrze sobie daję radę. Potem, już w listopadzie 58 roku, przyszedłem tutaj. Po księdzu Jaworskim. Tu gdzie mieszkam, mieszkał Demczko, ale on w góry wrócił. Trzeba było wszystko wyremontować. Problemów większych nie było. Ludzie czasami dokuczali. Popem nazywali, palcami pokazywali. Do dziś dnia tak jest. Ale to jest ich kultura i trzeba im wybaczyć, bo nie znają inaczej. Troszkę widzą, że nie tylko katolicyzm jest, ale i inne religie, ale tam gdzieś pozostają jakieś niesnaski.

Kiedyś było dużo ludzi

Kościół w Ługach długo stał pusty. Przyjeżdżało tam kino objazdowe, odbywały się różne zebrania, owce tam trzymano - jak w górach. A w Stobnie koło Trzecianki było dużo naszych ludzi i ktoś tam chodził oglądać, żeby cerkiew otworzyć. Jak się ksiądz katolicki dowiedział, przebrał się za robotnika i pierwszy poszedł z dachu dachówki zrzucić.

W latach późniejszych księża katolicycy proponowali, żeby wspólnie cerkiew w Ługach użytkować. Ale ja byłem ostrożny. Cerkiew wyświęcił biskup Stefan (Rudyk) dnia 28. sierpnia 1952 roku. Ten sam, który mnie wyświęcił na księdza. Biskup Stefan to był porządny człowiek... Kiedyś w parafii w Ługach i w Brzozie było bardzo dużo ludzi. Teraz garstka tylko została - nie da się tego porównać. Pod cerkwią Dziubina naliczył kiedyś 42 samochody, a nie było ich tak dużo jak teraz. To jakby liczyć, że przyjeżdżały po trzy, cztery osoby w każdym aucie, to było pełno w całej cerkwi, aż po same drzwi. Porozjeżdżali się wszyscy. Kiedyś było 37 dzieci na religii. Teraz wszystko w Ameryce. I po Polsce - w Jeleniej Górze, Wrocławiu.

Lekcje religii

W Ługach pierwszy ksiądz Poleszczuk prowadził religię, po nim ksiądz Jaworski, ale dzieci go nie specjalnie szanowały, on religię wy-

kladał, a chłopiec z tyłu podszedł i kredą mu coś na plecach popisał. Ja musiałem wprowadzić dyscyplinę, bo to byli batiary. W Ługach było chyba 27 dzieci na religii. A w Brzozie było dużo ponad trzydziścioro. Najpierw lekcje odbywały się w Ługach w szkole. A później tak wyszło, że był i baptysta i świadek Jehowy, zaczęli się śmiać z nich, księża na to nie zwracali uwagi, bo im było to na rękę. I później zlikwidowano lekcje religii w szkole. Otwierało się sale katechetyczne. I w niedzielę po nabożeństwie dzieci zostawały na 45 minut. W lecie było bardzo przyjemnie. Rodzice też zostawali, omawiali sobie swoje sprawy. Nieraz ja dzieci już puściłem, a oni jeszcze gadali. Tak mi było najwygodniej uczyć. W Brzozie dzieci były grzeczne, tylko tu, w Ługach rozrabiaków nie brakowało. Najgorszy był Daniel Pindrys, Tomek Siwiec - żeby posiedział chociaż spokojnie, a to palcem pstrykał, to szczypaną, to spod ławki kogoś kopnął. Ale jak z nimi porozmawiałem, to się uspokoili. Ich rodzice byli na lekcjach spokojni jak byli dziećmi. To tylko to ostatnie takie pokolenie.

Łobuzy

Kiedyś witraż rozbili łobuzy od Sarabowskiego. Nabożeństwo akurat było odprawiane, a tu nagle kamienie wpadają do środka. Nie chciałem ich naciągać na kosztą, ale mówiłem ich ojcu, że jeszcze raz tak zrobią to będą płacić. Za Poleszczuka też rozbili, Grabki. Teraz już ich we wsi nie ma. Potem siatkę założyłem.

Włodzimierz Garbera

Rodzina

Urodziłem się 24 lutego 1929 roku w Mochnacze. Było nas siedmioro, ja byłem najmłodszy. Moi rodzice nazywali się Bazyli i Juhaska, czyli Joanna, z domu Brunarska. To była rodzina znana i szanowana. Dziadek był wójtem w Tyliczu. Był bogaty. On, babcia i moja ciotka są pochowani w Tyliczu, przy cerkwi. Przeżyli obóz w Talerhoffie. Wujek studiował prawo, był oficerem. Jak się wojna skończyła, robili pożegnanie, on dostał zapalenia płuc i zmarł we Włoszech, tam jest pochowany. Jeden z oficerów przywiózł nam później pamiątki po nim: szabelkę, medaliki jakies, ordery. Jak babcia żyła, trzymała wszystko: *Bo to Wasi, bo to Wasi...*

Krowy

Jako dziecko pasłem krowy. Od kiedy pamiętam przy krowach byłem. Jak brat Janek poszedł do wojska, to mnie do krów pognali, bo on wcześniej pasł. I tak aż na zachód z krowami przyszedłem...

Granie w karty

Do szkoły chodziłem w Mochnaczce Wyżnej. To była szkoła czteroklasowa, w Niżnej było sześć klas. Które dziecko się lepiej uczyło, szło do Niżnej jeszcze na dwa lata. W czasie wojny w szkole każdy robił, co chciał. Nauczyciel, żeby mieć ciszę na lekcji, sadzał dzieci pod piec i tam mogły sobie w karty grać, ale po cichu. Jak nie rozrabiali - było dobrze. A jak dokuczali - to nauczyciel lagą okładał. Kto chciał się uczyć siadał w pierwszej ławce. Ale większość w karty grała.

Nauczyciela nazywali Bocziłka, choć jego prawdziwe nazwisko było Josyf Sydir. Studiował medycynę, ale studiów nie dokończył. Co skończył - diabeł go wie. Uczył matematyki i przyrody.

I wszystkim kazali na wojnę iść

Szkołę w skończyłem w 1946 roku. Potem poszedłem do Krynicy, do szkoły ukraińskiej. Uczyłem się tam rok, ale nawet świadectwa mi nie dali. Nie byłem ostatnim oferumą, żeby się nie uczyć, ale gospodarstwo było na głowie. No i chodzić z Mochnaczki do Krynicy piechotą trzeba było.

Jak się szkoła skończyła, trzeba było iść po świadectwa. W szkole zarządzili: chłopcy na halę sportową, dziewczyny - do klasy. Na hali byli niemieccy oficerowie i jacyś Ukraińcy, niedobici. Powiedzieli, że teraz szkoła podstawowa będzie w Niepołomicach koło Krakowa. Ja byłem jeszcze mały, tylko po kursie przygotowawczym, ale byli u nas uczniowie po 26, 30 lat. I oni powiedzieli: *Niech do Niepołomic idą Ukraińcy, którzy mieszkają w internatach, my musimy do domu wracać, bo nie mamy nic do ubrania, tylko to, co na sobie.* I tak przekabacili, że puszczono nas do domu po ubrania. Myśleli, że sami wrócimy... Nikt nie wrócił. Nawet się tym nie interesowałem, bo Łemko to nie Ukraińiec. Jak poszliśmy po te ciuchy, żeby niby do Niepołomic jechać, to się naradzaliśmy: iść, czy nie iść? Jeden poszedł, mój starszy kolega, Paweł Porucznik. Jego rodzina wyjechała do Rosji, a co z nim się stało - nie wiem. Po wsi chodzili si-czowky (policja ukraińska), kilka razy o nas pytali, to się chodziło

do sąsiada spać i jakoś się przevegetowało. A potem już się okopy zaczęły i problem został rozwiązany - mogliśmy przestać się ukrywać. Niemcom okopy o tyle się przydały, że Łemkowie mieli co robić i nie musieli rabować.

Cyganie z Mochnaczki

W Mochnaczce, oprócz Łemków i Polaków, mieszkali Żydzi i Cyganie, ze trzy rodziny cygańskie. Stary Janko Siwak był kowalem.

Cyganie dobrze grali, także po łemkowski. Jacenik też dobrze grał, ale nie mógł się przy nich pokazać, bo by go wyśmieli: *Co ty? Z Cyganami grać na skrzypcach? To cygański zawód!*

Cyganie chodzili do Łemków pracować. A dzieci cygańskie do szkoły chodziły jak chciały.

U nas Niemcy Cyganów nie ruszali, choć po innych wioskach bili. U nas Cyganie mieli dobrze, Cygana nikt nie ruszył... Choć był jeden taki - Sucheniak Daniel. Miał dwóch synów: jeden żonaty, drugi kawaler. Hulaki byli. Wypić by wypili, ale nie było za co. Gospodarstwo mieli duże. Ktoregoś razu do młócenia Cyganów wynajęli. I rzekomo Cyganie ich okradli. Przyjechała ukraińska policja, zabrali Cyganów, pobili... Oni tak krzyczeli, że się pół Tylicza zeszło. To było na rynku, rynek otoczony domami, więc każdy słyszał, co się działo. Ludzie zaczęli prosić, żeby Cyganom dali spokój, bo oni są niewinni: *Co od Cyganów chcecie?! To Sucheniaka synowie pieniądze mu ukradli, a nie Cyganie! On ma całą rodzinę złodziei!* I wszyscy zaświadczyli, że to jego synowie ukradli. I musieli Cyganów wypuścić. A Cyganie na kolanach wracali. Demko nie mógł wstać, bo tak go po stopach pobili... Była taka stara Cyganka od tych trzech pobitych, taka szkaradna. Wzięła sznur i poszła do Sucheniaka się wieszać. Kto ją uratował, nie wiem. To byli uczciwi Cyganie, nie żebraki.

Po wojnie Cyganie z nami na zachód wyjechali.

Żydzi z Mochnaczki

Mieszkali też w Mochnaczce Żydzi: Heila, stary Moszko i Freida, która chodziła ze mną do szkoły. Co sobotę obchodzili szabas. Moszko krowę w sobotę przyprawdzał, ale żeby kolek wbić - to nie. Cukierki w kieszeni nosił i wołał nas: *Chodź, chodź!* No i przepinaliśmy krowę.

Pamiętam, była taka Hala. Dużo dzieci miała. Jedno z nich jak się żeniło i oni tak pod wierzbą zawodzili, ale co to było - nie wiem. Rabin się modlił, czy ktoś.

Do Żydów i do Łemków należały sklepy w Mochnaczce. Był taki Mosze, miał karczmę i sklep: „szwarc, mydło i powidło”. A że Żydzi do każdego języka się przystosują, więc i łemkowski znał. I wiedział, co Łemek potrzebuje.

Na początku Niemcy kazali Żydom robić drogę do Krynicy. Pilnowali ich z karabinami. Potem - linię telefoniczną do Izb. Słupy na plecach nosili. Co się z nimi później stało - nie wiem. Domy ich od razu zostały zajęte, nawet nie zdążyli nic sprzedać.

W lesie

Chodziłem do okopów do ostatniego dnia. Już samoloty się pokazywały na niebie, już było widać, że między sobą strzelają. Front się wtedy na Dukli zatrzymał. W mojej grupie było nas dziesięciu. Wycinaliśmy pasy szerokie na dwadzieścia metrów, wzdłuż wytyczonej linii okopów. A do stu metrów od tej linii drzewa trzeba było ociosywać na wysokość człowieka, żeby widoczność była lepsza. Wojnę było słycać w oddali.

We wsi były baraki dla tych z Krynicy i innych miejscowości, my mieszkaliśmy w domach. To był luty, tuż po naszych łemkowskich świętach. Pracowaliśmy na górze Czerteży, wycinaliśmy młodnik. Cudze lasy cięliśmy i swoje... Co trzecie, co piąte drzewo, normą było trzydzieści pięć dziennie. Ale po dwóch, trzech godzinach norma była wyrobiona. Rozpalaliśmy więc ognisko i opowiadaliśmy bajki. Żaden Niemiec nas nie pilnował, chodził za nami polski leśniczy. Dostawaliśmy bilety na prowiant, po które trzeba było pójść do wioski. Każdy bilet był na konkretny artykuł. Chleb żytni można było dostać, i marmoladę. Raz w miesiącu nabierało się tych biletów i się szło. Na tydzień jedzenia było i nie trzeba było swojego owsianego chleba jeść. Nawet można było raz w miesiącu za bilet ćwiartkę wódki dostać, papierosów dziesięć na dzień. I cukierki na święta były. Za polskiej władzy tego by nie było. Niemiec potrafił się zorganizować.

Po gospodarsku

Siekierkę trzeba było zawsze do domu zabierać. Ale z siekierką na nartach jechać - nie bardzo, więc się w śniegu zostawiało. Kiedyś zakurzyło świeżym śniegiem, wychodzimy rano do roboty - zasypane. Rękawiczki mieliśmy byle jakie, ciężko było w śniegu grzebać. Stał obok bunkier, w którym łopaty chowali. To co będziemy w śniegu grzebać rękoma? Wzięliśmy łopaty z bunkra i odgrzebujemy siekiery. Łopat jest

do pioruna, więc swojej nie odniosłem, tylko buch -w śnieg. A ten pierun Niemiec to obserwował i wołał mnie. Kazał mi odnieść łopatę i chyba z pięć razy po ojcowsku dał mi po tyłku. I jeszcze musiałem łopatę wyczyścić i odnieść do bunkra. I czy ja mam mieć pretensję do tego Niemca? Po gospodarsku się zachował. Tak nie wolno było robić, to było mienie społeczne...

Egzekucja

W czasie okupacji Niemcy zabili dwóch ludzi za handel mięsem: Rydzanicza Piotra i Porucznika Bazylego - to był narzeczony Mili, mojej siostry. Rzekomo mięsem handlował. Nikt nie przypuszczał, że ich zabiją.

Siedzieli w areszcie w Muszynie, ale na przepustki do Mochnaczki chodzili. Już się zdawało, że się dogadali, już mówili, że nic im nie będzie. Nikt sobie nie zdawał sprawy, że ich coś takiego spotka. Złapali ich chyba siczowyky. Mówiono, że jakiegoś byka ukradli z którejś z odległych wiosek. W Mochnaczce panowała dyscyplina, bo siczowyky pilnowali, ale w tych wioskach dalszych... Banica, Izby... Tam nawet Niemca rzadko można było spotkać. Chłopy tam niekolczykowane byldo trzymali. A ci im to byldo ukradli. Jaka była prawda - nie wiem. W Muszynie siedzieli dwa miesiące. Mogli z przepustki nie wrócić, ale kto by przypuszczał? Oni już klucznika znali, cieszyli się, że mają załatwione, że im nic nie będzie. Rozstrzelali ich w 1943 roku, gdzieś w lesie. Ale kto - gestapo, czy Ukraińcy - nie wiem. Pochowani są podobno gdzieś pod Wojkową.

Wojsko

Na Ruskich wszyscy czekali jak na zbawienie. Ale jak ta Rosja przyszła, to nie wszystkim się podobało. Byłem wtedy dzieckiem. Widziałem, jak Niemiec przyszedł w 1939 roku. Czekałem na niego, ale jak przyszedł... uciekłem. Pierwszego Ruskiego zobaczyłem w lutym, wieczorem. Niemcy jeszcze się nie wycofali. Ukraińcy chodzili po chlewach, za kurami. W Tyliczu była władza ukraińska - najgorsze dziadostwo! A Niemcy, jak się z Mochnaczki wycofywali, zachowywali się bez paniki. Pamiętam, jak przyszli do domu, z dziesięciu ich było. Ubrani na biało. Gdzieś tam czujki porozstawiali, w domu porządek zrobili, garnki na bok wszystkie z pieca, swoich blaszanek ponastawiali, konserw pełno, słomę do jednej izby, do drugiej. Nagotowali, ogolili się, pomyli, najedli

„skolko ugodno”, a czego nie zjedli - zostawili. Na noc buty zdjęli, a założyli walonki z filcem. Ci, którzy mieli wartę, po górach pilnowali. Nie patrzyli, czy masz świnię, czy kury - mieli swoje. Rano pojechali. W Tyliczu ich ostrzelali. A Ruski, jak przyszedł, to była inna melodia. Na Ruskiego to żeśmy czekali.

Kiedys na Hucie była większa strzelanina, kilku zabili, mój teść nawet chodził ich pochować. Po wojnie mówiło się, że to zrobili partyzanci ze Słotwin. Niemcy pojechali. Czekamy jeden dzień, drugi. Nie ma nikogo, spokój. Do lasu już się spać nie chodziło, tylko nasłuchiwalismy na drodze. Czekaliśmy na Ruskich. A ich jak nie ma, tak nie ma i przestaliśmy wyglądać. Mój sąsiad Szkwarło wracał skądś któregoś razu. Patrzę, a z nim jakiś żebrak idzie, zarośnięty, grabie na plecach niesie. A to był karabin. Żeby chociaż pas miał! Ale on jakimś sznurkiem był obwiązany. I taki był nasz pierwszy wyzwoliciel...

Ruscy doszli do niemieckich okopów i dalej nie. W okopach się ostrzeliwali całą noc. Później po wsi ich zwiadowcy chodzili. Ale młodzi, w białych maskujących strojach i jacyś weselsi. Wsiedli na konie, co je wzięli od księdza i tak jeździli od domu do domu, powtarzając: *My was wyzwoliliśmy!* Chodzili wszędzie, nawet na piec zaglądali, czy tam jakiś stary dziadek nie siedzi, żeby jego też powiadomić, że go oswobodzili. Oni byli jak prawdziwe wojsko: młodzi, żywi, a tamten - jak żebrak.

Do Rosji

Jak Ruscy przeszli, w Mochnaczce długo nie było żadnej władzy. Co kto chciał, to robił. Wszyscy się wtedy do Rosji szykowali. Komisarze chodzili, trzy razy w tygodniu zebrania były. Radzili. Ci, którzy w austriackim wojsku byli doradzali, że najlepiej za Dniepr jechać, a nie na Ukrainę, bo na Ukrainie to same dziadostwo.

W 1942 roku z Mochnaczki pięć, albo więcej rodzin, na Ukrainę pojechało. I to dobrzy gospodarze. Niektórzy potem wrócili. Największa agitacja była w 1945 roku. I ludzie wybierali, gdzie się zapisać. Niektórzy do Rosji się rwali: *Bo to nasza ojczyzna, matka*. Inni, ci co w niewoli, czy za parobka tam byli, Rosję ganili. Połowa wioski jednak do Rosji pojechała. Większość z nich bogatych, więc przed wyjazdem było „hulaj dusza”. Majątki do Rosji brali, ale zanim dojechali, już ich okradli. To, że biedni ludzie wyjeżdżali - to zrozumiałe, ale że bogaci taką głupotę zrobili!

Mój wujek z Tylicza, bogaty, żonę miał Polkę, nie miał obowiązku wyjeżdżać, a zachciało mu się Rosji. Trochę mu też syn napaskudził.

Starszy był ode mnie, ale cwaniak. Strasznie pyskował i nie lubił Polaków, pokazywał „co to nie ja”. A ludność w Tyliczu była mieszana. On też mamę miał Polkę, ojca Łemka, a filozofa grał. I musieli przez niego wyjechać, bo by go wsadzili do kryminału. Wyjechali na Ukrainę, chłopak zaczął studia, po pół roku zabrali go na Syberię.

Wielu z tych, co do Rosji pojechali, trafiło na tereny zniszczone. I rok był wtedy suchy, więc panował głód. Ludzie - dusza, ale czym się mieli podzielić, jak sami nie mieli... I uciekali nasi do domu. A tam granica zamknięta - zostawali więc w okolicach Lwowa. Tam też było pustkowie, ale ludzie inni - biedota i jakieś bandy chodziły.

Do Mochnaczki na miejsce naszych przyszedli Polacy. Z naszych sąsiadów, z dziesięciu rodzin zostały cztery. Z Polakami przyszedł ksiądz katolicki. Jacenik księdza obsługiwał, śpiewali po łacinie.

Wysiedlenie

W 1947 wszystko było obsiane. Nawet po tych, co do Rosji pojechali. Kto miał mało ziemi - tam siał. Była oficjalna dyskusja, że okolic Krynicy nie ruszą. Polscy mieszkańcy Krynicy i Tylicza sami prosili, żeby Łemków nie ruszać. No i ludzie w to wierzyli, do ostatniego dnia. Sąsiednie wioski już wysiedlali, ale one należały do powiatu gorlickiego, krakowskich nie ruszą - tak mówiliśmy. Paczki mieliśmy przygotowane jeszcze od czasu, jak do Rosji mieliśmy jechać. Był taki moment w 1945 roku, że już mieli wszystkich nas tam wygnać. Z krowami się wtedy z pola nie schodziło, żeby nie wygonili...

Ale któregoś dnia siostra Hela, która w Tyliczu mieszkała i miała męża wójta, przybiegła do nas i mówi: *Bierz krowy, bo was będą wyganiać!* Przeprowadziłem krowy do ogródka. Zaraz przyszedł żołnierz i dał nam trzy godziny na opuszczenie domu. Zbieraliśmy, co mieliśmy. Dwie krowy, do byków dwa wozy i jedną furmankę dali swoją. Mebli nie można było brać. Pamiętam, jak mama obraży całowała. Jest taki odruch, że nagle wszystko ma szczególną wartość... I ludzie całowali obraży, co zostały w pustym domu... Po drodze nocowaliśmy dwie noce we Florynce. Potem pojechalismy do Grybowa, tam też zostaliśmy dwa dni. W Grybowie nas podzielili: część pojechała na wrocławskie, część na poznańskie. Ja byłem ciekawy świata, jazda pociągiem mi się podobała. Wojskowi nas pilnowali, ale nie było źle, nikogo nie prześladowali. Aż pociąg zatrzymał się jednak w Oświęcimiu i potem w Jaworznie - tam zrobili czystkę. Mojego brata Piotra też wzięli w Oświęcimiu. On kiedyś poszedł do teścia ubrany w niemiecką wojskową kurtkę, miał w niej jakieś pieniądze. Przy-

szli banderowcy, zabrali mu bluzę. Potem ktoś na milicję doniósł i dlatego w Oświęcimiu UB go wzięło. Pobili go mocno. Potem nikt już nawet nie chciał z pociągu wyglądać. Tylko w pustym polu się zatrzymywaliśmy po siano dla zwierząt. Wyszadzili nas po dwóch tygodniach w Kurowie. Później my z rodzicami pojechaliśmy do Chomętowa. Dopiero po tygodniu wszyscy zaczęli się odwiedzać, przyjechali koźmi Dańko Sywec, Hawryło Sywec i jeszcze jacyś. Przychodzili patrzeć, jak kto żyje.

_____ **Michał Hawran**

Chcieliśmy trzymać kilka krów

Jak przyjechaliśmy do Tuczna władza chciała, żebyśmy tam w PGR pracowali, ale my mieliśmy dużo bydła. Ja miałem trzy sztuki, teść miał sześć sztuk, a w pegeerach można było trzymać tylko jedną krowę. A my mieliśmy jeszcze konia, to dawaj szukać miejsca. Ja bym tam został, ale teściowa mi powiedziała *Nie, Michał, ja Janiny*-mojej żony - *nie zostawię* i pojechałem z nimi. Kazali nam sobie szukać, jak chcieliśmy krowy hodować. No i teść poszedł i znalazł tu, w Ługach. Ale tylko dla siebie, bo to domek mały był, a u nich było kilkoro dzieci. Nie chcieliśmy iść, ale teściowa: *Nie, chodźcie. Jakoś się pomieścimy. Może się coś znajdzie.* Znalazłoby się. Ja w Strzelcach mogłem pracować w transporcie. Taki jeden Ukrainiec pracował przy samochodach. I mówi *Ja ci pomogę, zgłoszę cię jako pomocnika.* Ale później przyszliśmy wszyscy tutaj. Budynek był cały zniszczony. Zrobiłem tutaj remont i tu zostaliśmy. Miałem gospodarzkę - jedenaście hektarów.

W górach nas Rusinami nazywali

Polacy początkowo nie wiedzieli kto my jesteśmy. Łemki- nie wiem skąd to się wzięło, bo tam w górach to nas Rusini nazywali. A tu później- Lemko, a jak się kłóca - Ukrainiec.

Kiedyś musiałem się zwrócić do sądu

Kiedyś miałem taką sytuację, że musiałem się zwrócić do sądu. Taki jeden rybak chciał mi zabrać pole. Przyjechali z powiatu i spotkaliśmy się

z tym rybakiem. Ja miałem wziąć hektar, a on trzy. Ten hektar był tutaj przy wiosce, a te trzy dużo dalej. Nie kłóciliśmy się, on przystał na to, że weźmie te trzy, a ja jeden. I ci z powiatu przystali na to. Było trzech robotników do ryb i im chcieli ziemię dać. I jak mnie nie było w domu, to ten rybak zorał moje pole. To co ja miałem dostać, to on chciał zabrać. Poleciałem do powiatu. I im mówię jak jest. A oni: *Niemożliwe!* A ja na to: *To przyjedźcie i zobaczycie. On zorał i zasiał. A ja teraz będę swoje orał- te trzy. A on swoje zorał i moje trzy chciał wziąć.* Ale on za ryby wszystko przerobił. W powiecie już inaczej mówili: *A panie Hawran, to pan ma jeszcze pole gdzie indziej.* A ja mówię, że nie chcę. Jak on nie przystał, to i ja nie przystanę. W powiecie byłem kilka razy. Potem pisma pisałem. Nawet do „Naszego Słowa”, do gazety napisałem, że w wojsku byłem, na wojnie, w Jaworznie. I że była tu już zgoda zrobiona, a teraz chcę mi ziemię odebrać.

Jak zauważyłem, że oni już coś kręcą, to tę ziemię zorałem i zasiałem żyto, a oni zaczęli mnie sądzić, na kolegium. A ja z księdzem Kochanem napisałem do „Naszego Słowa”. Pisałem i do Zielonej Góry, to mi napisali, że od tego jest powiat. Napisałem do Strzelec i poszedłem, to mnie zbyli. A tutaj „Nasze Słowo” zaraz przysłało takiego pana do powiatu. Dostałem papier, wezwanie, że mam się zgłosić. Dostałem o drugiej, że się mam zgłosić tego samego dnia o dwunastej. Jak to? Jak jeszcze wtedy nie było pisma? I mówię: *Nie, nie pojedę.* Biorę tego listonosza, a to była kobieta, i mówię: *Tu mi podpisz, że otrzymałem ten list o czternastej godzinie.* Nie o dziesiątej czy o dziewiątej. Nie mogłem zdążyć. I oni na mnie czekali w tym powiecie. A ja sobie myślę: *Pojadę jutro. Mam czas. Mam tu napisane o której godzinie to pismo dostałem.* Nie byłem pewny czy on jest, chociaż tam było napisane chyba, że taki czy taki czeka na mnie. I bałem się, że nie będzie na mnie czekał. Pojechałem rano, a on czekał. Z Warszawy. I pokazuję: *Proszę. Tu listonosz podpisał, że o tej i o tej godzinie to wezwanie otrzymałem.* Zaraz wzięli mnie na naradę. Orzekli, że mają mi oddać ziemię. I wszystko się dobrze skończyło.

Jak starych braknie...

Mało które dziecko umie po teraz po łemkowsku, choć oboje rodziców pochodzi z Łemków, to mówią po polsku. Mam tu po sąsiedzku Siwca co te Watry organizuje to u niego dzieci po polsku mówią, choć on do cerkwi chodzi i dzieci czasem przychodzą i żona na wszystkie wielkie święta jest w cerkwi. A jego brat podobnie - choć żona z na-

szych to dzieci nie mówią po łemkowsku, rozumieć rozumieją, ale mówić nie chcą. Pomału wszystko przejdzie na polski, wy młodzi to zobaczycie ja już nie. Jeszcze do cerkwi chodzą bo to starsi przyciskają, ale jak ich braknie...

Mało jest różnicy

Watra jest organizowana, po naszymu tam mówią, dużo i Polaków tam przychodzi i wszyscy się dobrze bawią, nie ma sporów i Ukraincami nie nazywają. Choć to to samo i Ukrainiec i Łemko, mało jest różnicy. Oni więcej zaciągają, mam rodzinę koło Lwowa, to oni już trochę inaczej mówią niż my tu. Raz byłem tam przez miesiąc to później też tak zaciągałem, byłem u nich chyba pięć razy.

Łemkowie są pracowici

W Mochnacze to Polki uczyły w szkole, ale wszystko było po łemkowsku, wszystko na głos. Jak się ktoś spóźnił to musiał sam uklęknąć i na głos Ojcze Nasz po naszymu. Nie było wtedy nic po polsku. Myślałem, żeby wracać do Mochnaczi, jeden osadnik zwolnił dom, mówi mojemu bratu z Krynicy żebym ja koniecznie przyjechał gospodarzyć. Chciał za taką szopkę sto milionów. Później przemyślałem, że tam gospodarka ciężka - nie jak tutaj, choć teraz tu jest też ciężko, nie to co dawniej. Kiedyś jak posiałem dwa hektary to brałem po dziesięć osób do hakania, tak się gospodarzyło. Ojciec tego Hojniaka też i dom i oborę nową z gospodarstwa pobudował, ale biedny zmarł kilka lat temu. Dobrze, że choć ta renta nie jest taka zła. Mam i ogródek - to dużo pomaga. Wszyscy Łemkowie są pracowici i są dobrymi gospodarzami.

Anna Garbera

Urodziłam się 1923r. w Mochnacze, cztery kilometry od Krynicy

Ożeniłam się młodo - miałam 17 lat w 1940r., chcieli nas wziąć na roboty i mówili do męża *Chodź Pan na roboty, a żona nie arbit*, to znaczy, że nie będę musiała pracować. Nie był ten Niemiec taki zły, Wolszpan czy jakoś tak miał, uciekał przed Ruskimi i gdzieś po dziesięć

ciu kilometrach zabiło go, fajny był żołnierz, nie wiem czy z góry go ktoś zabił, czy z samolotu. Strasznie był fajny, cukru nam dawali po garnku, a kuchnia była u nas w podwórku, to wszystko nam dawali. Kiedyś chłopów nagonili, zrobili takie garaże koło cerkwi i tam ich trzymali, chcieli ich gdzieś wziąć i baby takie szerokie spódnice nosiły i tych swoich chłopów wyprowadziły, Niemiec dał się w konia zrobić.

W czasie wojny Niemcy chcieli nas wziąć na roboty. Raz kopię kartofle a tu idzie przez pola Niemiec, zabrał mnie no i co miałam robić. Zabrał mnie do okopów, mąż tam robił w okopach, czekali na front, a frontu nie było, bo szybko Rusczy przyszli i Niemiec uciekł.

Każdy się Niemca bał

Trzeba było oddawać kontyngent dla Niemców. I dla Niemców dawali wszystko. Na płótna. Chcieli, żeby prosiaki im dawać. To ludzie do kartofli schowali na spód; tam grzebali wszystko. Chodzili Niemcy, szukali wszędzie. I jak nie znaleźli to dobrze. A jak znaleźli to zabrali i jeszcze wzięli i pobili. Do Tylicza wozili, tam, gdzie wieszali. Za swoje. Moi teściowie też maskowali. Też mieli mięso. Wiem, że i do nich chodzili Niemcy szukać, ale też nie znaleźli. Musieli ludzie chować, bo chcieli zjeść coś. Tam nie było tak dobrze jak tutaj. Na zachodzie nam lepiej, naprawdę. Ale tam powietrze było inne. Tam człowiek nigdy nie chorował. Na raka? Nie było słyhać. Jeden zmarł na raka. Jak się poszło z mlekiem, bo się nosiło mleko, to takie czerwone nogi mieli i nikt nie chorował. Potem było śniegu pełno, to też się pieszo bez portek chodziło i też nikt nie chorował. Moja ciotka starsza taka, chodziła na grzyby, jagody, bo nie było z czego żyć. Mąkę kupowaliśmy. Jak było co, to prosiaki się biło - jak nie było Niemca jeszcze. Bo Niemcy to nawet po garnkach zaglądali. Strachu było, bo się każdy Niemca bał. Kiedyś zrobili taką łapankę na drodze, nie wiem czy to była straż jakaś, czy co. I połapali tych młodych wszystkich. Coś tam ogłosili, wszystko poszło na drogę wieczorem i zabrali ich. Także mojego szwagra. Później się jakoś dostał do Australii. I tam zmarł. Jeździł też do Niemiec, a potem poszedł do Australii. A tam tak strasznie było gorąco! Jajko się ugotowało na słońcu, tak gadał. Ale nie chorował nic. Ale tak zmarli: ona się położyła, chciała obiad gotować... I młode poumierali- ona 50 i coś, a on 64... A on był oparty, o, tak jak ja teraz, i przyszli z kościoła, czy coś, dwie godziny i nie żywy... Nie był nauczony. Ale jak ona tu u mnie kiedyś była, to mówiła, że tu nie chciałyby żyć, woli w Australii. Może i zaszkoziło słonko. Bo ja też na słonko jestem dziad. Nie mogę. Dzieci zostały, nie piszą. Jego córka

jest stewardessą, a chłopak- nie wiem. On się nie przyzna, nie zna rodziny tej swojskiej. To co ja będę go szukać? Niech robią co chcą!

Jest jeden Bóg

W Mochnaczcze była cerkiew. Zabierali naszych księży do więzienia, to z polskimi księżmi msze były. Wozy wtedy jeździły. Samochodu nie było. To nasz ksiądz jechał przez Mochnaczkę, na Ropę i do Krynicy na wozie. Ksiądz był fajny. Nauczał religii, wszystkiego. Był prawosławny. Nie wiem czemu oni teraz greckimi zrobili? A nasz przeszedł na polskie, ten Wengrynowicz. Poszedł do Krynicy, bo miał tam kolegów polskich. Pod Rzym należy kościół katolicki i grekokatolicki, a prawosławny nie należy. Ja bym wolała być grekokatoliczką. Tak jestem nauczona. Tak żyłam. Ale teraz jest inaczej.

Na zachodzie początkowo chodziliśmy do kościoła do Dobiegniewa. Nie mogliśmy tak bez niczego, bez kościoła nawet żyć jak tu przyszliśmy. Nie było nic, to chociaż do kościoła. W domu się też chodziło do Krynicy. Jak się mleko sprzedawało, to się szło do kościoła. Nie widziałam różnicy. Modliłam się też w Krynicy w kościele. Mi bez różnicy. Jest jeden Bóg. Nie wybieram. Ale różnie to było. Jak przyszliśmy tutaj mieszkać, tzn. po kilku latach, tu prawosławnych trochę nie lubili. I zmarł tu taki sąsiad. I ksiądz polski nie chciał pochować. Ale teraz już są za prawosławnymi. No i ten ksiądz dał dla prawosławnych kwatery osobno. I z takim jednym, on już umarł, mocno się sprzeczałi, rozprawa potem była. Siedzieli obydwoj, bo jeszcze jeden tam był. Już obydwoj umarli. To ludzie wyrzucali z grobu trumnę... Potem drugi umarł, a nie był prawosławny, tylko z domu był grecki, taki starszy, aż z Dobiegniewa, czy z Bierzwnika gdzieś. I też nie dali pochować. I tak się sprzeczałi, wyrzucali... Na cmentarzu w Dobiegniewie to było. Ktoś poszedł do gminy, zaraz wojsko przyszło, milicja. I nawet milicja nie mogła dać rady z ludźmi! Ale bić to się nie bili. Nikt się nie bił. A teraz chowają razem. Rozmawiałam niedawno z takim chłopakiem młodym i on mówi: *A po co oni tak robili? Razem pracujemy, razem nas chowają.* I teraz chowają razem na cmentarzu. I jest cicho. Nie ma krzyży trzyramiennych. Są takie same jak polskie. Prawosławni i tamci to przecież jedna odprawa i jedna modlitwa. Tu taki był na komunii u Irki Hojniakowej nauczyciel - zapraszała nauczycieli, bo ona pracuje w przedszkolu. I on pyta: *Czego ksiądz taki chudy?* A ksiądz nasz mówi: *A, bo ja dużo poszczę, a katolicy jedzą i nie poszczę.* Bo pościmy. W piątek nie tylko nie jemy mięsa, ale i mleka nie pijemy. I poniedziałek był taki i środa. A teraz już tak poniedziałek nie,

tylko w środę i piątek. A u katolików nie uznają tego. W piątek tylko. A tutaj taka Polka to cały rok nie je z mięsem. Tacy starsi ludzie to tak tu pościli jak w domu. Mój brat - już umarł - też pościł i tak mówił: *My tu pościliśmy, robiliśmy wszystko jak trzeba, a i tak nas tu na zachód wygnali.* Nas Gomułka wygnał. Partyzantka się zrobiła.

Dobrze było żyć

Czasy wysiedlenia trochę pamiętam. Przyszli i wygnali. Ludzi po innych wioskach bili, ale nas nie. Kazali się pozbierać, wszystko zabierać kazali, konie, wszystko, co tylko kto chciał. Na wozy, a później do transportu. Szykowaliśmy się do wysiedlenia. My byliśmy ubrani, bo powiedzieli, że o tej i o tej godzinie, z rana przyjdą i wszyscy już byli ubrani. Dzieci też. Tylko się pomodliłam. Kazali się zbierać. Dzwony zadzwoniły. Tak mi bardzo szkoda. Tu się więcej zboża rodziło, pszenicy, ale wolałam tam. Wolałabym tam być, bo tam się urodziłam. Ale tutaj młodzi pracują. Co tam by robił? Nie ma nic do roboty w Krynicy. Jakby miał jakąś szkołę...

Tam nie ma fabryk, a ziemia pozarastała. Tam, gdzie żeśmy pola orne mieli, to lasy są. Wszystko zarosło, drzewa wysokie. Koło tej drogi orzą. Te górale to wszyscy gdzieś pracują. Domy takie duże budują, dwupiętrowe, ładne takie, że nie da rady! Mało starych domów jest. Ładnie jest. Już jest teraz autobus. Kiedyś nie było. Lepiej już jest. Byłam tam tylko raz. Z dziesięć lat temu, ale poznałam wszystko. Ale tak się nieśmiało czułam, że to *swoje* góry. Bo też tam Polacy byli. Przychodzili do nas z Krynicy, jak się tam mleko nosiło. Nas tak lubili tam ludzie. Lubiliśmy się z Polakami. Nigdy nikt się nie bił. Ani na zabawach nikt się nie upił.

Tam była Nawojowa, koło Sącza, tam Polacy żyli. Poszło się raz kożuchy kupić do Nowego Targu. No i kupiliśmy. Uszyli nam na poczekaniu w jeden dzień. Jakie tam góry z Krakowa do Nowego Targu! Nieraz ktoś pyta skąd moja mama- *A, z zachodu. A nie z tych ludzi, co wyganiali?* i zaraz kielbasa, gościna. *Było dobrze żyć, szczerze ludzie byli. Dobrze było.* Tylko oni dużo dalej. Ja tam nie znałam z domu miasta Nowy Targ. To było jak stąd w góry pojechałam. I tych z Krynicy żalowali, że dobre ludzie byli, szczerze. Tak zorganizowali kiedyś w Krynicy, żeby się wszyscy Rusini zesłi. I wszystko się zeszło i tu z zachodu i Cześci byli, śpiewali. Ale było ślicznie! To z pięć lat temu było. Tu od nas tam byli, ktoś na kasetę nagrał. Było dużo ludzi, bardzo dużo. I tam Łemko-Rusini, tak było napisane.

Teraz gospodarka co warta?

Jak było więcej starszych ludzi, to było inaczej, bo teraz to już tak nie wiedzą. Dawniej się tak daleko nosło mleko! Na płecach dziesięć i w obu rękach po pięć litrów, w takich kanach. Potem ścieżkę w śniegu zrobili, to już lżej było. Takie życie. Tu jest lepiej żyć. Tylko teraz gospodarka co warta? Chociaż rentę żeśmy dostali. Gierek nam dał rentę. Żeby żył sto lat! Niby nam rolnikom coś dali. Ale ja pieniędzy nigdy nie miałam, bo nigdy nie mieliśmy ziemi. Nie byliśmy wpisani do kolchozu, bo tu kolchoz był, jak żeśmy przyszli. Mój mąż się nie chciał wpisać, mówił, że nie będzie wstawał na godzinę, że kuźnię będzie miał... Za to, że żeśmy się nie wpisali ziemi nam nie dali. Później żeśmy kupili. Kupowaliśmy i spłacali pięć hektarów.

Ale tam było dobrze!

Pierwszy rok mieszkaliśmy w Tucznie na majątku. Chłopy nie chcieli tam robić. Ale jak tam było dobrze! Lepiej niż na gospodarce! Mleko dawali i wszystko dawali. A działka była taka pięć czy sześć hektarów, to jak wykopał ziemniaki, to aż do piwnicy się nie zmieściły i trzeba było sprzedać, albo zakopcować na polu. Tak było dobrze. Pieniądzy my mieli, wszystkiego. Maku nasiali, można było narwać. Wszystkie z domu krowy mieliśmy - po cztery, po trzy. I chowaliśmy i nic nam nie gadali na to.

Ameryka

W górach prawie już nie mam rodziny. Wszystko po Ameryce, Australii. Tam są jeszcze jacyś sąsiedzi. Też w Ameryce byli. Dzieci tam mają. I tam renty dostaną nawet. Z Ameryki. Bo on tam robił parenasie lat. I tam się renty dostaje. Nie wiem za ile lat. Czy za dziesięć, czy za ile? Przyjeżdżają do Polski i znowu odchodzą do Ameryki. A to też wszystko przepisał na syna, ale czy stąd dostanie rentę to nie wiem. Będzie miał jedną? A może i dwie będzie miał?

Religia

Lekcje religii odbywały się w szkole. Godzinę, dwie. Jak mieliśmy iść do komunii, to zajęć było więcej. Przyjeżdżał ksiądz Emilian Wengrynowicz. Pamiętam pierwszą spowiedź. Wszyscy rano się zeszliśmy w kaplicy koło plebani. Jeszcze było zimno, to było w Wielkim Poście. A potem komunია była też tam. Inaczej wyglądało niż teraz. Ubrani byliśmy tak, jak w każdą niedzielę, tylko na głowach miałyśmy wtedy białe chustki. Cała nasza klasa szła do komunii. Nie było innych. Sami Lemkowie. Rok chodziłam do szkoły przed wojną, lekcje wtedy były po polsku i łemkowsku, w czasie okupacji uczyliśmy się po ukraińsku i niemiecku.

I po wojnie

Od najmłodszych lat trzeba było pomagać, gęsi się pasło i do szkoły chodziło. Pamiętam jeszcze jak nosiliśmy do okopów gałęzie, aby je zamaskować. Niemcy i Ukraińcy uciekli na Jordan 19 stycznia 1945 r. Armia Radziecka przeszła - i po wojnie. Później zaczęli ludzie wyjeżdżać. W Mochnacze Wyżniej było 129 numerów. Pamiętam dobrze, bo ojciec był soltysem i księgowym w kooperatywie, był bardzo uczony jak na tamte czasy.

Codziennosc

Do cerkwi chodziło się na Niżną Mochnaczkę, ludzie nie mieścili się w cerkwi, szczególnie w święta i latem. Chodziło się po kolędzie ale bez przebierania się, chodziło się i na Szczedry Weczer wtedy zawsze gospodarz coś dał. Latem zbierało się jagody i sprzedawało się to w Krynicy do kuchni, dużo przyjeżdżało ludzi do miasta. Mama co dzień nosiła mleko do miasta w bańce dziesięciolitrowej na plecach przez górę.

Nikifor

Pamiętam Nikifora, który przesiadywał na deptaku, patrzył na kamienice i na małych kartonikach malował, nie widziałam, żeby ktoś to od niego kupował, oglądali wszyscy ale nikt nie kupował. Był bardzo skromnie ubrany, zawsze w kapeluszu, biednie wyglądał.

Dzień wysiedlenia to był strach taki. Wszyscy płakali, żegnali się. Wojsko przyjechało. Na wozy zabrano się co było można, co ważniejsze, obrazy i inne. I pojechaliśmy do Florynki. Tam nocowaliśmy w pustych domach, bo stamtąd ludzi już wysiedlono. A później zawieźli nas do Grybowa i tam na pociąg. Wyjeżdżaliśmy z Mochnaczki 2 lipca. Dwie noce spędziliśmy we Florynce. Siódmego - na Jana jechaliśmy pociągiem, a na Piotra i Pawła byliśmy już na zachodzie. Wieźliśmy w wagonie dwa konie, trzy krowy. Jechaliśmy w sześć osób. I paczki z desek pozbijane, a tam obrazy, ubrania... W Mochnaczce został dom i 12 hektarów pola. Wszystko w polu zostało. Ziemiaki były podsypane. Zaraz potem przyszedł jakiś gospodarz i pozbiierał to, co posialiśmy, posadziliśmy... Przyjechaliśmy do Starego Kurowa. Samochody ciężarowe zabrały te nasze paczki zbite z desek, a w nich nasz cały majątek. Nocowaliśmy jedną noc w jakimś majątku w Dobiegniewie, a potem nas rozwozili po wsiach. Nam przypadło jechać do Ługów razem z Bojko i Syniawą.

Na zachodzie

Na początku krzywo na nas patrzono, później chodziliśmy już do Polaków pracować przy burakach i ziemniakach, a oni nam na zimę trochę warzyw dali. Dom trzeba było remontować, bo nie było okien i drzwi dwa pokoje były całkowicie spalone. Do kościoła chodziliśmy do Dobiegniewa, różnie tam nas traktowano, ale człowieka do Boga ciągnęło. Dopiero później starsi postarali się o księdza i cerkiew - budynek był pusty, tylko kino objazdowe z niego korzystało.

Męża Semana już tu na zachodzie poznałam, chodziło się kiedyś nawet daleko żeby się ze swoimi spotkać. Na zabawach, gdzie ci ze Żdyni grywali Śpiaky, schodziliśmy się to tu, to tam. Ślub nasz był w Ługach w 1958 r., udzielił go nam ksiądz Poleszczuk. I po ślubie do dziś mieszkamy w Strzelcach Krajeńskich.

Mochnaczka

Urodziłem się 1 września 1922 roku w Mochnaczce Wyżnej, powiat Nowy Sącz. Moi rodzice to: Jefroska z domu Kluczka i Aleksander Świątkowski. Miałem cztery siostry: Anastazja (1909), która wyszła za Teodora Rusyna, Aleksandra (1912), wyszła za Teofila Szufflitę, Anna (1916), wyszła za Jana Durniaka i Róża (1945), wyszła za Izzydora Klukę. Mieszkaliśmy w Mochnaczce Wyżnej pod nr 62. W okresie międzywojennym żyło się jak dziś - nie gorzej. Wszystko zależało od pola. Co się zebrało, tym się żywiliśmy. A jak nie było, to dawaj do Żyda - metr mąki u niego kosztował wtedy 22 złote. Pamiętam, że któregoś roku trzeba było kupić trzy metry mąki. Aż z Sącza woziliśmy mąkę od Żyda. W Krynicy Żydzi nie sprowadzali mąki. Duże ilości mąki sprzedawał ten Żyd.

W Mochnaczce sklep prowadził Mikołaj Garbera, na granicy wsi. On potem pojechał do Rosji, w 45. Miał gospodarstwo i prowadził sklep. Cerkiew była w Mochnaczce Niżnej. U nas cerkwi nie było, tylko szkoła. Miałem trzysta metrów do Mochnaczki Niżnej.

Pola były wąskie

Pola były długie, ale bardzo wąskie. Koło nas Daniel Sywec miał sześć „prętów” (prut), Pochna miał cztery, Bojko też cztery i my mieliśmy cztery. Ziemia ciągnęła się trzy kilometry do Banicy. Takie pasy były. A szerokie jak dom. Ludzie się żenili, to trzeba było ziemię dzielić i dlatego taka wąska.

Wojsko

Jak się wojna zaczęła miałem 18 lat. Do wojska mnie nie wzięli, bo byłem młody. A brali starszych. Stefana Świątkowskiego wzięli do wojska, bo on był 1914 rocznik. To był taty brat, który był ożeniony we Florynce. Najpierw pojechał zabierać od Czechów Zaolzie z Wojskiem Polskim. Był z nimi też jeszcze jeden brat ojca - Mikołaj. Potem, jak wybuchła wojna, to przed Niemcami tak uciekali, że aż Stefan znalazł się przed rumuńską granicą. I później z Rumunii wracał, ale już jako cywil, do Polski, do Czyrnej.

Posag

Niemcy Mochnaczkę zdobyli i poszli dalej. Radość była wielka jak się wojna skończyła. Tylko z czym żeśmy zostali? Z niczym! Dwie krówki były. Świni nie trzymaliśmy. Zaraz jedną trzeba było dać, bo Róża się zeniła i ja zostałem przy jednej krowie.

Jak ktoś się zenił, trzeba było dać, to taki posag był. Moja żona nic ze sobą nie przywiozła. Nie wychowali krowy, żeby jej dać. Przed wojną trzeba było dać w posagu półtora tysiąca złotych. A koń kosztował wtedy 200 złotych. Młody koń!

Jak się zeniła Anastazja, to dali tysiąc pięćset złotych. Jak zeniła się druga, to już nie dali. Ale krowę dali. Krowa to była - bez żadnego ale! Trzeba było im pomóc dom wybudować, bo Jan Durniak był biedny. I cały nasz las poszedł na dom Durniaka. My mieliśmy już wszystko nowe wybudowane. I dom i stodołę. Dom był wybudowany w 24 roku, a stodoła w 31. A Durniakowa jeszcze zabrała ziemię od mamy.

Ożeniłem się z Olgą

Siostry się pożeniły i poszły gospodarzyć do mężów. I sam z rodzicami zostałem na gospodarce. Ożeniłem się 18 listopada 1945 roku z Olgą Strymecką z Nowej Wsi. Poznaliśmy się tu w Mochnacze. Jej ciotka była pożeniona w Mochnacze i Olga do niej przyjeżdżała. Tej ciotki córka wydała się za Kuzmyczka, który chodził z torbami i handlował po Mochnacze. Dobrze na tym ten handlarz zarabiał. Szybko kupił sobie ziemię i tam się pobudował. Poznaliśmy się z Olgą w 45 i zaraz się pożeniliśmy.

Zachód

W 45 roku większa połowa z Mochnaczki wyjechała do Rosji. A nam po co tam było jechać? Ruscy agitatorzy namawiali. Mówili: *Nie pójdziesz na wschód, to pójdziesz na zachód.* Od razu tak mówili. Mochnaczka wyjechała na początku lipca, a na zachód dojechaliśmy 10 lipca 1947 roku. Jechaliśmy cały tydzień. Wysiedliśmy na stacji w starym Kurowie. Pół transportu odczepili w Kurowie, a pół pojechało do Gorzowa. Ze stacji wzięli nas do Sokólska. Mieliśmy przydział do gminy Bobrówko. Trafili tutaj: Szuffita, Kluka, Durniak, Świątkowski. Na początku się dobrze żyło, bo były dobre lata. Chociaż przezywali nas Ukraińcami. Chodziliśmy do kościoła katolickiego, bo nie było czym do cerkwi pojechać. Nie było człowieka stać. Później się samochodów dorobili.

Działo się to w Grybowie, w Polsce...

w kancelarii notarialnej dnia dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku.

Wypis AKT NOTARJALNY

Przedemną Stanisławem Gardułą zastępcą Dymitra Sieleckiego notariusza w Grybowie stawili się nieznani mi osobiście Dymtro Dorosz i jego żona Anastazja 1go Leżyńska 2go Dorosz w Brunarach niżnich zamieszkalli, oraz narzeczona ich syna Kiryły Dorosza- Julja Durniak w Mochnacze wyżniej zamieszkała, włościanie i obywatele polscy, wraz ze znanymi mnie osobiście świadkami aktu przy końcu wymienionymi, którzy mi zarazem tożsamość ich osób stwierdzili i zeznają tej treści:

ZAPIS PRZED ŚLUBNY

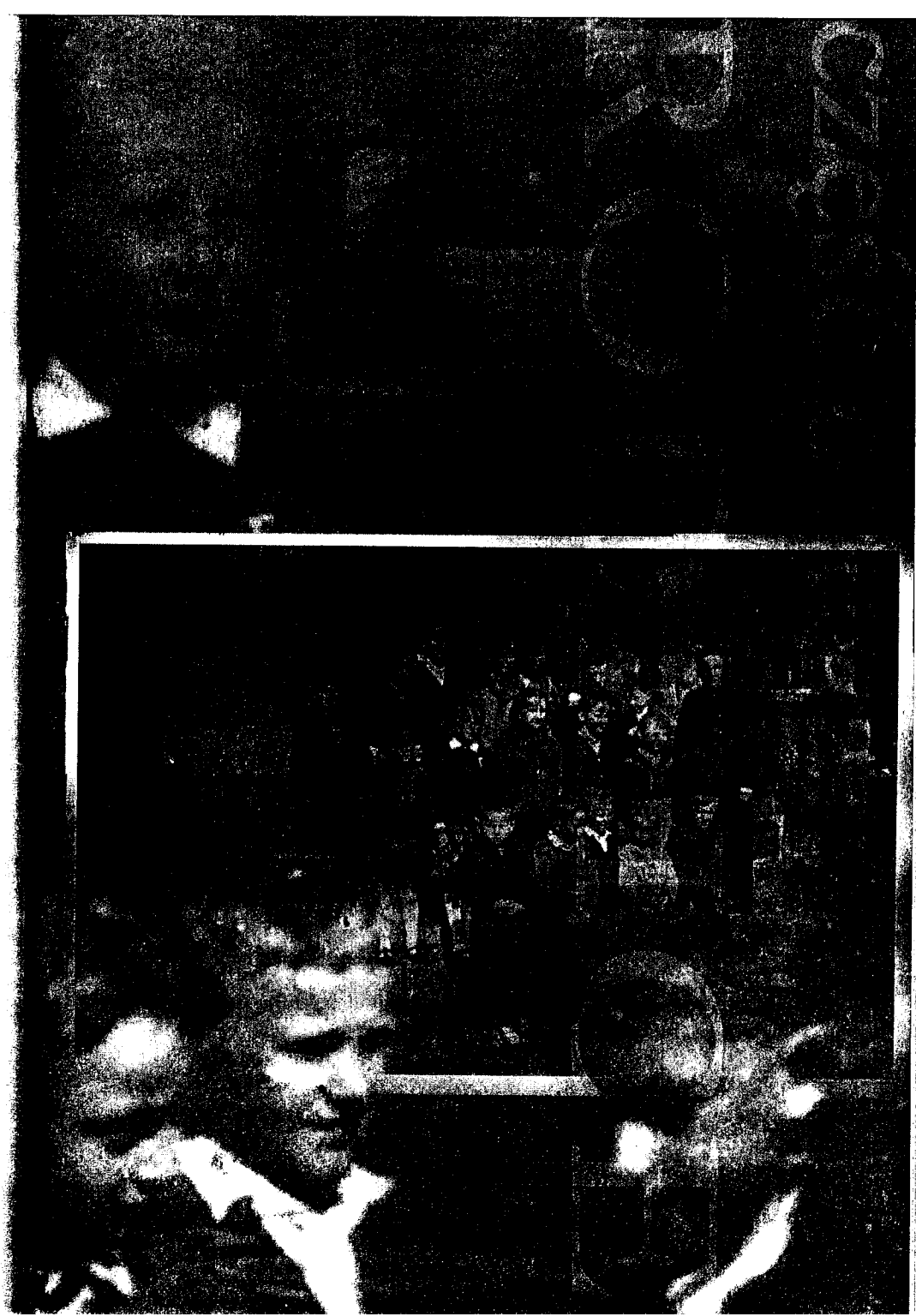
Wedle świadectwa ksiąg gruntowych dla gminy kat. Brunary wyżnie i niżne prawo własności realności whl. 79 i 144 objętych na podstawie dekretu dziedzictwa z 4 lutego 1905 A. 59/4 i innych dokumentów na rzecz Anastazji Leżyńskiej i Dymtra Dorosza po połowie. – II, Na tej podstawie zapisują niniejszem tytułem darowizny Dymtro Dorosz i Anastazja Leżyńska obecnie 2go śl. Doroszowa narzeczonej swego syna Kiryły Dorosza Julji Durniak na jej zupełną i wieczystą własność pod warunkiem, że ona z nim najdalej do sześciu miesięcy od dziś licząc zawrze związek małżeński realności swe whl. 79 i 144 ks. gr. Gm. Brunary wyżnie i niżnie objęte, wraz z budynkami i połową inwentarza martwego, a z inwentarza żywego jedną krowę i dwoje cieląt i ze wszystkimi uprawnieniami i przynależnościami, z wyłączeniem jednak parc.gr.1k. 4356 i 4357, które sobie nadal na swą własność pozostawiają, zastrzegając atoli połowę przedmiotu tej darowizny do swego dożywotniego, bezpłatnego i niepodzielnego użytkowania, oraz zastrzegając parc. gr. 1k. 4414-i 4437 - na dożywotne, bezpłatne użytkowanie dla dzieci drugiej Wasyla i Tekli Leżyńskich, a nadto wkładając na obdarowaną obowiązek, by ona z przedmiotu tej darowizny wypłaciła córce ich Orynie Dorosz po dojsciu jej do pełnoletności, lub wcześniej w chwili zawierania przez nią związku małżeńskiego w dniu jej ślubu kwotę dwieście dolarów St. Zj. A.P. i by ona narzeczonego swego Kiryłę Dorosza aż do jego śmierci przy sobie utrzymywała przez dostarczanie mu żywności, mieszkania, ubioru, opału i światła wartości sto złotych rocznie. – III. Fizyczne posiadanie zapisanych wyżej nieruchomości oddają darodawcy obdarowanej już dnia dzisiejszego symbolicznie przez podpisanie tego aktu, faktycznie zaś

obejmie ona to posiadanie w połowie po zawarciu związku małżeńskiego, a w połowie po śmierci później zmarłego dożywotnika, to też wszelkie podatki i daniny publiczne od przedmiotu tego aktu przypadające obowiązującą będzie obdarowana opłacać sama z własnych funduszy od dnia objęcia w posiadanie i sama opłaci kosztu tego kontraktu, intabulacji, oraz ewentualną należność skarbową. – IV. Julja Durniak darowiznę niniejszą przyjmuje, na zastrzeżone dożywocie się zgadza, a zarazem zobowiązuje się wypłacić Orynie Dorosz na wskazanym wyżej terminie kwotę dwieście dolarów St. Zj. A. P. i zobowiązuje się przyszłego swego męża Kiryłę Dorosza aż do jego śmierci przy sobie utrzymywać przez dostarczanie mu mieszkania, żywności, ubioru, światła i opału rocznej wartości sto złotych, wobec czego Dmytro Dorosz i Anastazja Leżyńska obecnie 2go Doroszowa zezwalają, by na podstawie niniejszego aktu i odnośnej metryki ślubu:

- 1/. Odpisano z karty A. realności whl. 79 ks. gr. Gm. Brunary wyźnie i niżne objętej parc. gr. 1k. 4356 i 4357 odpisano i prawo własności tychże parcel w nowo utworzyć się mającym wykazie hipotecznym na rzecz dotychczasowych współwłaścicieli Dmytra Dorosza i Anastazji 1go Leżyńskiej 2go Doroszowej po połowie wpisano,
- 2/. Prawo własności po powyższem odpisaniu pozostałej realności whl. 79 jak i realności whl. 144 ks. gr. gm. Brunary wyźnie i niżne objętych w ich miejsce na rzecz Julji z Durniaków Doroszowej wpisano, ta zaś zezwala, by w stanie biernym tychże realności wpisano prawo dożywotniego, bezpłatnego i niepodzielnego użytkowania połowy takowych na rzecz Dmytra i Anastazji Dorosów, oraz prawo dożywotniego, bezpłatnego użytkowania parc. gr. 1k. 4414 i 4437 na rzecz Wasyla i Tekli Leżyńskich i prawo zastawu dla obowiązku utrzymywania Kiryły Dorosza przez dostarczanie mu mieszkania, żywności, ubioru, opału i światła rocznej wartości 100 zł. Na rzecz Kiryły Dorosza, a sposobem hipoteki łącznej prawo zastawu dla kwoty 200 dolarów na rzecz małol. Oryny Dorosz. – VI Darujacy oświadczają, że pomieniona po raz pierwszy obdarowuje, a wszyscy kontraktujący oświadczają, że przedmiotem tej darowizny jest obszar około osiemnaście morgów gruntu wartości z przynależnościami cztery tysiące osiemset złotych. – VII. Strony zezwalają na wydawanie wypisów z tego aktu na rzecz swoją i osób w nim zainteresowanych w dowolnej ilości egzemplarzy. – Akt ten zeznajacym wobec świadków Filipa Oleśniewicza rolnika z Piorunki i Tadeja Czury rolnika z Jaskowej w całej osnowie odczytano i wyjaśniono, poczem oni takowy jako zgodny z ich wolą spisany uznali, przyjęli i zatwierdzili

i wraz ze świadkami w obecności mojej w sposób ustawą notarialną wskazany podpisali. –/Dmytro Dorosz-/ Anastazja Leżyńska 2go Doroszowa-/ Tadej Czura podpisał Filip Olesniewicz mp. Julja Durniak mp. Stanisław Garduła mp. dekretem Sądu Okręgowego w Krakowie z dnia 18 grudnia 1930 Prz. 17496/ 30 mianowany zastępcą Dymitra Sieleckiego notariusza w Grybowie /L.S./ Dostówną zgodność niniejszego dla Julja Durniak przeznaczonego wypisu z pierwopisem w aktach notarialnych Dymitra Sieleckiego notariusza w Grybowie do L. Rep. 3456 przechowanym nieostemplowanym stwierdzam z tem, że wierzytelny odpis tego aktu do wymiaru Urzędowi Skarbowemu w Grybowie dnia 27 października 1931 do Rsp. 329/ 31 udzieliłem i ze na wypis ten tytułem opłaty stempłowej naklejono stempel za 3 zł. Który skasowano mą pieczęcią urzędową.- Należność: 58 zł. &. 2 taksy i 18 zł. &. 13 taksy Razem: 76 Zł.

Grybów dnia trzydziestego /30 października roku tysiąc dziewięćsetnego trzydziestego pierwszego /1931/.



Dwie ojczyzny

Łemkowyna to dla mnie ludzie i miejsce, południowo-wschodnia Polska. Kultura, obyczaje i wszystko, co z nimi związane. Rozciąga się gdzieś aż na Słowację. Ale słowo Łemkowie dotyczy tylko Polski, bo tam mówi się na nich Rusini, Rusnacy. Tak, że Łemkowie - tylko Polskę zamieszkują.

Łemkowszczyzna to góry, śpiewy, tradycja. Ludzie bardzo uczciwi, przywiązani do tradycji, dobrzy, nie jacyś złośliwi. To troszeczkę bagaż przeszłości, bo tutaj ludzie, którzy z stykają się z Łemkami bardzo szybko zmieniają zdanie, przekonują się do Łemków na przykład poprzez wspólne imprezy.

Rodzice i dziadkowie często wspominali Łemkowszczyznę. Mnie zawsze uderzało, że mówili: „u nas w domu”. W domu to znaczy „tam”, przed 1947. Troszeczkę mi to nie pasowało. Dla mnie dom był tutaj i oni też tutaj mieszkali. Trochę krzywiłem się na to. Ale teraz rozumiem ich... i dużo ciepła we mnie jest dla tego domu „tam”.

Opowiadali bez końca o różnych przygodach, weselach, zabawach, obrzędach na polu, takie historie z życia wzięte. O świerkach, górskim krajobrazie i o tym, jak się pasło krowy i owce. Każdy z nich „tam” był młody, to też trzeba wziąć pod uwagę, do młodości każdy będzie chętnie wracał do końca swoich dni.

Ja też będę zawsze młodość swoją wspominał, ale ona jest związana z tym miejscem. Nieraz pytano mnie i nawet sam sobie takie pytanie zadawałem: *Czy chciałbym „tam” wrócić?* Dla mnie to nie byłby jednak powrót, ale migracja. Kiedyś mówiłem, że raczej nie... a teraz - to na pewno nie. Bo dzisiaj wrócić to nie takie proste - jest praca, mieszkanie itd. Wielu jednak chciałoby wrócić i sporo wróciło. Im człowiek starszy, tym bardziej się coś w nas odzywa, tak, że nie jestem pewny do końca... Myślami chętnie tam wracam.

Ojczyzna to wszystko: ludzie i miejsca, ptaki, drzewa, powietrze, wiatr. Nie wiem, gdzie jest moja ojczyzna. Na pewno tutaj, gdzie mieszkam, ale chyba również i w górach, skąd pochodzą rodzice. Mam dwie małe ojczyzny.

Cmentarze

Wspominam czasami cerkwie, cmentarze, które „tam” zostały, przydrożne krzyże. Nie trzeba być Łemkiem, żeby dostrzec to piękno. Nie

jeździłem tam dużo, byłem kilka razy, także w miejscowości rodzinnej. Cmentarz zarośnięty, ale to wszystko ma swój urok.

Cerkiewki zbudowali prości ludzie, nie największymi środkami – a to są dzieła sztuki. I domy stoją, i kapliczki, choć ludzi już nie ma... Niektórzy szaleńcy niszczą kapliczki i cmentarze, ale jak można niszczyć cmentarze? My też mamy tu polniemiecki cmentarz w Ługach, ogrodzony. Przyjeżdżają Niemcy, którzy tutaj mieszkali, zwiedzają. Miałem taką małą satysfakcję, bo przyjechali i na pewno czuli się dobrze – że cmentarz jest ogrodzony, niezdewastowany i wystarczająco uszanowany. Natomiast w górach cmentarze często są zniszczone. Trzeba szanować takie miejsca, bo to historia.

Łemkowie może za mało idą z duchem cywilizacji. Po prostu nie walczą o to, bo to dla nich oczywiste, że tak ma być, a ktoś wykorzystuje ich uczciwość.

Łemkowie to słowiański naród

Kiedyś ludzie byli weselsi. Telewizja chyba nam zaszkodziła. Bawili się, cieszyli... I zdrowsi byli – i fizycznie i psychicznie. Bardzo często się spotykali. Wystarczyła mała flaszeczka wódki – to nie było pijaństwo – a już był pretekst, żeby się spotkać, pośpiewać i potańczyć.

Zresztą Łemkowie nawet tutaj zachowują się tak samo – są postrzegani jako bardzo towarzyski naród. Ja, niestety, nie jestem taki, cywilizacja zrobiła swoje. Ludzie starsi spotkają się i już po pierwszym kieliszku śpiewają. To typowo słowiański odruch i tradycja. Takich Słowian nie spotkałem na zachodzie – tydzień temu wróciłem z Danii – to smutne narody. A Łemkowie to jak najbardziej Słowianie – sama kwintesencja. Bardzo radosny naród.

Gonitwa za dobrami materialnymi

Dzisiaj trwa gonitwa za dobrami materialnymi. Jeśli nie mam tego i tego – źle się czuję. „Tam” ludzie nie mieli, byli ubodzy, wystarczało im, żeby mieli czym się odziać i posilić – i byli szczęśliwi. Nie wiem, czy nie byli blisko ideału... Duńczycy, na przykład, są chyba bogatsi od nas, ale nie mają rzeczy zbędnych. Natomiast w Polsce nawet wille są tak przepyszne, że aż w oczy kłuje. Ale czy nam się lepiej żyje? Chyba nie, to jest złudne. Wszyscy sobie życzymy zawsze: „żeby tylko zdrowie było”, ale samym zdrowiem chyba ludzie teraz nie wyżyją. A Łemkowie? Wystarczyło, że byli zdrowi i już byli radośni.

Akcja Wisła i „po”

Akcja Wisła to było coś strasznego. Nie wyobrażam sobie, żeby w dwie, czy w kilka godzin, spakować cały dobytek i jechać dwa-trzy tygodnie pociągami.

Łemkowie z wysiedlenia wylądowali gdzieś w Niegosławiu, potem w Chomętowie i tutaj przyszli, taką wiśniową drogą – to był chyba początek lipca – byli zachwyceni, akurat wiśnie dojrzewały. Dla nich to było coś niesamowitego. Tyle drzew owocowych – bo Niemcy o te tereny dbali, wszystkie aleje obsadzone drzewami. Tego w górach nie było.

Na pewno był to w pewnym sensie kraj miodem i mlekiem płynący – ziemię urodzajną, każdy dostał ziemię, nie było problemów czy wystarczy do przednówka. A że Łemkowie byli pracowici, bo z biedy wyszli, z reguły dobrze się im powodziło. Rozpierzchli się po miastach na skutek jakichś tam awansów. Nie znam też nikogo, kto by się źle uczył. Na pewno warunki były dobre, ale to nie był „dom” – powtarzali. Kiedyś drażniło mnie, gdy mówili: „u nas w domu”, teraz mi się to bardzo podoba.

Celem akcji „Wisła” było rozdrobnić Łemków maksymalnie, żeby zasymilować ich z tutejszą społecznością, choć w sumie tutaj także mieszkali sami przyjezdni, z różnych stron Polski: z poznańskiego, sieradzkiego, kieleckiego, gdzieś zza Bugu. Z autochtonów – czyli Niemców – nie było nikogo.

Z Polakami nie było w Ługach większych incydentów. Wszyscy mieli podobne obawy, czy poradzą sobie w nowej rzeczywistości. To były tereny polniemieckie i pamiętam jaki był strach, że Niemcy wrócą. Ludzie wzbraniali się przed większymi inwestycjami budowlanymi.

Wysoko trzeba ocenić to społeczeństwo w Ługach. Początkowo mówiono, że przyjechały bandy UPA, to było źle przyjmowane i Łemkom sporo krzywdy narobiło. A Łemkowie to przecież grupa etniczna, nie Ukraińcy. Moi rodzice, na przykład, mieszkali w Krynicy – no to gdzie tam Ukraina – ja sobie nie wyobrażam. Życie jednak wyprostowało wszystko. Łemkowie nigdy nie mieli dążeń narodowościowych. Natomiast jeżeli ktoś utożsamiał się z Ukrainą, to znaczy, że nacjonalizm głębiej w nim siedział...

Ja nie czuję żadnych związków z Ukrainą. Mam nawet rodzinę we Lwowie, oni uważają, że jesteśmy Ukraińcami – a ja czuję się Słowianinem.

Religia zawsze była ostoją tradycji

Łemkowie zawsze chodzili do cerkwi. Dawniej to była cerkiew grekokatolicka, ale wiem, że ludzie nie przywiązywali większej wagi.

Bo jaka to różnica? Po prostu głową cerkwi grekokatolickiej jest papież, a prawosławnej - patriarcha Konstantynopola. Nawet nie wiem, czy wierni łemkowscy byli tego świadomi. Nie było to dla nich istotne. Msze odbywały się w ich języku, w cerkwi i to im w zupełności wystarczało.

W Ługach była większa świadomość, bo tutaj co najmniej jedna trzecia Łemków mieszkała. Dzięki cerkwi pozostali oni przy swoich tradycjach. Dopóki sił ludziom starcza - chodzą do cerkwi. Księża łemkowscy to do dziś autorytet - „Jegomość” się mówi na duchownego prawosławnego.

Łemkom nie trzeba żadnych wodzirejów

Jestem jednym z organizatorów „Watry” w Ługach. Impreza stale się rozwija i wszyscy ją chwala. Jaka jest różnica między tą naszą, a na przykład „Watrą” w Michałowie czy w Żdyni?

Ja w górach na „Watrze” jeszcze nie byłem, ale tam głównym miejscem jest scena, na której występują zespoły. U nas jest troszeczkę inaczej. Zapraszamy dwa-trzy zespoły, a najważniejsi są ci, którzy przyszedli na „Watrę”. Staramy się stworzyć warunki, żeby się dobrze bawili. To jest jednodniowa impreza: od soboty południa do niedzieli rano. I wszystkim bardzo się podoba. Jest duże ognisko, piękny plac taneczny i muzyka łemkowska. Boję się, że nastanie dzień, kiedy ludzi nie pomieścimy. Jakies półtora do dwóch tysięcy osób tu przyjeżdża. Wielu mówi, że woli tę „Watrę” od innych. Tutaj mogą potańczyć, wypić, pośpiewać. Skąd ludzie przyjeżdżają na naszą „Watrę”? Ze Szczecina, z Gorzowa, Poznania... Muzyka trafia do każdego. Jest taka troszkę i czardaszowa, i góralska, i cygańska, i ukraińska, i polska. Te kultury zawsze się przenikały. Nie czuję znudzenia tą muzyką, ciągle odkrywam ją na nowo. Na imprezie nigdy nie było żadnych incydentów, tak, że jeżeli jest pogoda - to jest super. Łemkom wystarczy tylko czas i miejsce. Nie trzeba żadnych wodzirejów, żeby się znakomicie bawili.

Coś trzeba zrobić z tym językiem łemkowskim

Z żoną mówię po polsku. Czuję pewien niedosyt mówienia po łemkowsku. Do dzieci staram się zwracać po łemkowsku, tylko że to jest już inne pokolenie. Rozumieją wszystko, ale nie zawsze mówią. Ja też na przykład lepiej potrafię wypowiadać się w języku polskim, lepiej mi się precyzuje myśli w tym języku, ale czuję się lepiej, mówiąc po łemkowsku. Pewnie dlatego odczuwam taki głód łemkowskiego, że dokoła wszędzie jednak język polski panuje.

Łemkowie kiedyś, jak mieszkali w swoim skupisku, to po łemkowsku tylko rozmawiali. A tutaj bardzo chętnie i szybko przechodzą na język polski. Jeżeli zbierze się piętnastu Łemków i przyjdzie jeden, czy dwóch Polaków, to już po polsku mówią. Nie wiem czy na skutek tego, że są taktowni, czy nie chcą. A na przykład Cyganie zawsze po swojemu rozmawiają.

Kiedyś, gdy w szkołach był język rosyjski, było o tyle łatwiej, że ludzie cyrylicą operowali. Teraz jest kłopot. Coś trzeba z tym zrobić.

Bycie innym jest wartością

Bycie innym jest wartością. We współczesnym świecie chyba każdy chciałby być inny. Bycie innym jest w cenie. A dla mnie to rzecz naturalna...

Zapas

Miałem u siebie w domu przedmioty, które udało się rodzinie przywieźć z gór. Jakiś gorset tam był, szczyotka do lnu, modlitewniki, kalendarze stare. Najwięcej było ubrań. Maśniczki do robienia masła, to się nazywa *bodeńka* po łemkowsku, jakieś krzeselka drewniane... Mam też przedmioty już współczesne, ale dlatego są u mnie w domu bo jestem Łemkiem. Jestem muzykiem, mam płyty, kasety, książki o tematyce łemkowskiej, podręczniki, artykuły z prasy - wszystko zbieram. Kaset wideo wciąż przybywa - jakieś programy, w których uczestniczyłem - to dla mnie świętości.

Eugeniusz Siwiec

Ja bym jednak nie wrócił

Dla mnie Łemkowyna to miejsce, gdzie mieszkali moi przodkowie. Ja sam nie doświadczyłem fundamentalizmu łemkowskiego, bo nasze życie tutaj jest bardzo powiązane ze społecznością polską, która ma duży wpływ na naszą kulturę. Łemkowyna to trochę taki świat marzeń. Mogę mówić jedynie o tym, co nam przekazali rodzice, dziadkowie: jak żyli, co robili. O krajobrazie też opowiadali. Dla nich, deportowanych tutaj

na niziny, to był inny świat. Zawsze wspomnieniami wracali do gór. Mówili, jakie są wysokie, jaki dzień jest krótki, bo słońce za góry się chowa. Bardzo emocjonalnie podchodzili do tego. Zawsze chcieli wrócić do swoich stron, spotkać się z ludźmi, z którymi żyli.

Ja bym jednak nie wrócił, wolę mieszkać tutaj. Patrząc z perspektywy rolnika, którym jestem, byłoby mi tam za ciężko. Oni byli już z dawien dawna zaprawieni w tych bojach górskich, pasterskich. Trudne życie ich jednoczyło, dużo rzeczy robili razem: wesela, wypas owiec, nawet kowalstwo. Był czas, że jak do kowala szło się podkuć konia – to był wielki korowód – dziejowy można powiedzieć.

Ostatni raz na Łemkowszczyźnie byłem w 1986 roku. Chociaż mam rodzinę w Krynicy. Mój wujek tam wrócił, kuzyn też tam się ożenił. Co roku się człowiek wybiera, ale za dużo jest obowiązków. Przejeżdżałem przez Krynicę parę razy, jadąc na Ukrainę. Chciałbym na „Watrę” pojechać, ale ona odbywa się w lipcu, kiedy tutaj jest spiętrzenie prac żniwnych.

...I dzieci bym chciał tam zabrać. Niech się nacieszą pięknymi krajobrazami i zobaczą, gdzie ich przodkowie żyli.

Cmentarze to kawałek historii

Wiem, że tam cmentarze są opuszczone i mogiły zrujnowane. Gdybym tam pojechał - zwiedzałbym te miejsca rowerem, albo pieszo, wędrując przez góry. Tam nawet matka mojego ojca jest pochowana, ale cmentarz zaniedbany i nie można znaleźć mogiły.

Dobrze byłoby, gdyby jakaś fundacja się tym zajęła, pozyskała środki i odrestaurowała ten cmentarz, tak jak polski cmentarz we Lwowie, bo to kawałek historii. Łemkowszczyzna chyba już nie wróci, ale pamięć pozostanie.

Historia składa się z różnych elementów. Pozbywając się jednego - można zatracić wszystko. Za kilkadziesiąt lat okaże się, że nikt nie pamięta, że była taka społeczność jak Łemkowie. Nawet tu, w Ługach, cmentarz niemiecki jest ogrodzony. Na wszystkich świętych palimy tam lampki na grobach. A w górach – albo ktoś nie dopilnował, albo chciał zrobić interes i pozbawił łemkowskiej tożsamości pochowanych tam ludzi. Trudno mi określić, co to mogło być.

„Watra” pobudza i łączy

W 1984 lub 1985 roku byłem na „Watrze” w Hańczowej. Bardzo mile wspominam. Tysiące Łemków się zjechało, słychać było łemkowski

język. Jedyne „Watra” tak przyciąga, ożywia instynkt... Można spotkać się z rodakami, porozmawiać, wypić kielicha. Na „Watrze” w Ługach też, oczywiście, jestem od początku. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zostać w domu. Wszyscy miejscowi bierzemy udział w organizacji. To okazja, żeby pokazać, że Łemkowie jeszcze żyją i mają się dobrze. Chociaż Polaków też dużo przychodzi i bardzo im się ta impreza podoba. „Watra” pobudza i łączy.

Musimy uczyć dzieci języka

Język łemkowski nie jest już dzisiaj tak doskonały - są w nim zapożyczenia i naleciałości z języka polskiego i przez to, moim zdaniem, on się wypacza. Przydałoby się pouczyć poprawnej wymowy i dzieci, i dorosłych. Ja mówię po łemkowsku codziennie, moja żona też. Straszny syn mówi, młodszy ma trochę kłopoty, ale idzie mu coraz lepiej. Jak krzyknę - to stara się mówić po łemkowsku. Nie ma takiego samozaparcia, żeby rano wstał i powiedział „dobrydzień” a nie dzień dobry. Ale staram się, bo jeżeli język zaginie – to będzie nie do odratowania.

Musimy uczyć dzieci języka, przekazywać tradycję, chodzić do cerkwi. Gdyby każdy dołożył się do tego choćby z najmniejszym wkładem, to jeszcze jakiś czas Łemkowie cieszyliby się swoją tożsamością.

Moja ojczyzna

Moja ojczyzna jest raczej w Ługach. Ale być może kiedyś wrócę na tereny moich przodków. Niekoniecznie do Mochnaczki, może do Krynicy... Ale na pewno w tamte rejony. Może kiedyś będę miał jakąś małą chatkę w tamtych stronach...

Ola Jacenik

W domu najlepiej

Łemkowszczyzna - z opowiadań rodziców – kojarzy mi się z ludźmi: szczerymi, życzliwymi i bardzo gościnnymi. Tam wszyscy traktowali się jak rodzina. Głodno, chłodno było, ale inne życie. Ludzie byli zadowoleni, śpiewali, na wesoło wszystko. A tu tylko telewizor, komputer, młodzież

i dorośli nie mają żadnej rozrywki, nie potrafią się bawić. Kiedyś to cały czas tylko śpiewy szły, czy pióra darli, czy haftowały razem kobiety. Zbierali się w jednym domu, niby nic konkretnego ani zjeść, ani wypić nie było, ale wspaniale się bawili.

Rodzice mieli gospodarstwo. Oj Boże, paseczki nie paseczki, i lasów mieli dużo. Wspominali jak do Krynicy chodzili, sprzedawali mleko, ser, śmietanę, żeby przetrwać. Jak przyjechali na zachód, cały czas się szykowali, że to tylko na krótko, że wrócą. Byli w górach po dziesięciu latach. Mówili potem: jakie tam wszystko malutkie...

Mama nie chciała wracać. Domy, w których mieszkali, dziś są zaniedbane... Kiedyś jej marzeniem było kupić choćby coś małego i wrócić, dzisiaj już nie.

Ja w górach nie byłam jeszcze ani razu, żałuję. Byłam w Krakowie, byłam u siostry w Dębicy, ale w górach jakoś nigdy. Chciałabym zwiedzić cerkwie, cmentarze. Kiedyś mi się wydawało, że tylko tam mogłabym mieszkać. Ale jak tutaj przyjechałam, przyzwyczaiłam się. Pojadę, na przykład, do Zwierzynia, dzień wytrzymam, już wracam do domu. W domu najlepiej, chociaż tam i mama, i brat, i siostra...

Polacy i Łemkowie

Rodzice po wysiedleniu bali się Polaków, bo Polaków nastawiono, że to bandyci przyjechali. Ale później to dobrze razem żyli. Dzieci do szkoły zaczęły chodzić, sąsiedzi od słowa do słowa się zaprzyjaźnili. Łemkowie przestali bać się Polaków, Polacy przestali się bać Łemków. Dzisiaj moje dzieci przyznają, że są Łemkami. Ja, będąc w ich wieku krępowałam się, a one już nie – chodzą do cerkwi. Dawniej chodziliśmy do kościoła, bo do cerkwi daleko było jeździć, ale od trzech lat dzieci tylko do cerkwi chcą chodzić i koniec.

Przyjaciół mam i Polaków, i Łemków. Nawet chyba więcej Polaków, bo tu akurat nie ma Łemków. Tutejsi Łemkowie nie różnią się od Polaków. Nieraz jakaś babcia sobie chustkę w kwiaty ubierze, ale Polki też ubierają takie. Ja nie potrafię odróżnić Polki od Łemkini.

Jednorodność nie jest ciekawa

Między ludźmi tutaj, na zachodzie, tośmy się nie bali. Nawet nasza mowa tutaj się zachowała, bo po niektórych wioskach to kamieniami bili, jak usłyszeli, że po łemkowsku rozmawiają. W górach zdarzało się, że pod oknami stawali, słuchali i jak usłyszeli, że po łemkowsku rozmawiają - to zaraz kamienie i szyby leciały. Zdarzało się w szkole, że nasze dzieci przeżywali, ale ja nigdy nie kazałam się za to gniewać. A języki przecież wzbogacają nas. Im więcej się języków zna – tym lepiej. Gorzej by było, gdyby ktoś nie potrafił po polsku rozmawiać. Małym dzieciom nie było trudno się nauczyć. Zwłaszcza, że my rozmawialiśmy po polsku czysto, gramatyczne. Inni, którzy się tu osiedlali, mówili gwarami. Teraz, po pięćdziesięciu latach, gwary zostały już prawie wytępione. Szkoda, bo to kultura narodu, warto gwarę znać i rozmawiać. Na przykład górale nie pozwolili sobie odebrać swojego języka, Kaszubi też mają swoją gwarę.

Jednorodność nie jest wcale ciekawa

Dzięki innym narodom wzbogacamy naszą kulturę, język. Ja więcej rozmawiam w swoim języku, ale dzieci na początku prosiły: *Mamo, nie mów tak!* Bały się i wstydziły. Jak zaczęto organizować Watry, syn jednak zobaczył, że nie jest sam, że więcej ludzi rozmawia i śpiewa po łemkowsku – wtedy przełamał się. Chociaż jak był malutki, to tak ładnie mówił po łemkowsku, aż się teściowie na Śląsku nie mogli nasłuchać i nacieszyć. Potem, jak poszedł do szkoły, to ten się śmiał, tamten się śmiał i syn nie chciał rozmawiać. Dopiero w szkole średniej wróciła mu chęć.

Mała ojczyzna

Łemkowszczyzna to dla mnie korzenie, mała ojczyzna. Tam się ludzie szanowali, jedni z drugimi żenili się, nie było między nimi wrogości – Łemkowie rozmawiali po polsku, Polacy - po łemkowsku, również w urzędach.

Rodzice dużo opowiadali, ale teraz trudno sobie przypomnieć. Mojej siostry syn bardzo się tym interesował, zbierał drzewka pochodzenia, wszystkiego szukał, ale teraz wyjechał do Kanady. Rodzice opowiadali, że Łemków było bardzo dużo, byli z tego zadowoleni, bo żyli między

swoimi. I może czas weselszy był wtedy dla młodzieży, niż dzisiaj. Biedniej żyli, ale wesoło.

Dzisiaj mamy więcej ubrań i jedzenia, ale brak nam zadowolenia z życia. Nie było też tyle stresu. Jakaś radość była od ludzi i zyczliwość nie do porównania z dzisiejszą.

Czasami myślę o cerkwiach, o kapliczkach, które stoją tam przy drogach. Bardzo to przeżywam i dopiero teraz rozumiem ojca - za czym tęsknił. Tam był kawałek ich ojczyzny.

Jak ci starzy przeżywali - to straszne. Bo młody i dzisiaj prędzej się przeniesie. A starzy opowiadali, że jak wracali, to progi całowali, dookoła domów chodzili. Teraz dopiero ich rozumiem.

Słyszałam, że sprzedawano grunty z łemkowskimi cmentarzami. Dzisiaj to nie jest zaskoczenie, bo wiele rzeczy wyprzedają. Ale słyszałam też, że jak ktoś chciał swoją dawną ziemię wykupić, to mu nie pozwolili, a obcemu kapitałowi - tak. To bardzo przykre. Może w ogóle chcą zatrzeć ślady, jeszcze kilka pokoleń i Łemkowie znikną jak Indianie w Ameryce. Wiele zależy więc od przekazu duchowego, swojej odrębności trzeba bronić.

Miasto i wieś

Uważam, że ludzie na wsi są twardsi w utrzymaniu języka czy kultury. Miasto zaraz wchłonie i zagubi inteligencję swojej mowy, wszystkiego. Wszystko, co się zachowało utrzymała wieś, prości ludzie.

Tato

Mój brat zna tego pana, który mieszka na naszym miejscu w górach. On jest bardzo w porządku, zapraszał nas, ale jego dzieci były wrogo nastawione, nawet szklanki wody pewnie by nie podały. Starszy pan pytał kiedyś tatę, czy nie chce wrócić. Ale tato odpowiedział, że po co tam sam pójdzie? Naszej wioski nie chcieli wtedy puścić. Te poboczne, co nazywali, że deskami zabite - tam się dużo ludzi przeprowadziło, a nasza była bliżej miasta i nie pozwalali. Wtedy nasi w Krynicy dużo mieszkań pobudowali, pokupowali.

Ja byłam tam dwa razy, ostatni raz z pielgrzymką, którą nasz ksiądz zrobił na górę Jawor. Ale mój tato nie chciał jechać, przeżywać od nowa. Nigdy się z tym nie pogodził. Do śmierci był niezadowolony z życia na zachodzie i zdrowie mu nie sprzyjało... Nie mógł się tutaj zaaklimatyzować.

Polskie i łemkowskie

Łemkowie spotykają się tutaj, na ziemiach zachodnich, przynajmniej na większych weselach, a teraz, jak się postarzeli, to na pogrzebach. Prawdziwych Łemków, którzy wyjechali z gór, zostało już bardzo mało. Ci starsi są pochowani na naszych cmentarzach razem z innymi mieszkańcami. W przeszłości jednak nie pozwalali ich tam chować. Była o to wojna straszna. Tutaj groby niczym się nie różnią. W górach to poprzerabiali sobie krzyże, a tu już się raczej wszystko spolonizowało.

Właściwie to nigdy nie myślałam, żeby postawić pomnik z krzyżem, łemkowski, podpisać go cyrylicą, bałam się, żeby nie było to szykanowane, żeby się nie odróżniało. A w górach to spotkałam - jak było małżeństwo mieszane - mieli dwie tablice: jedną polską, drugą - łemkowską.

Muszę przyznać, że to Polacy teraz ciągną tradycję łemkowską. Przecież zespoły są polskie. Te wszystkie starodawne piosenki, które pamiętam jak jeszcze moja mama, babcia, śpiewały - oni to wszystko powyciągali... Pamiętam, jak była tu "Chudoba" z Wrocławia - polscy studenci, którzy wykonują muzykę łemkowską. Na "Watrze" w Ługach są młodzi Łemkowie, ale oni tylko śpiewają po łemkowsku, bo rozmawiać - to już nie.

Żeby dzieci mówiły po łemkowsku musi być dwoje rodziców Łemków, z twardą tradycją. Ja na przykład czytam po łemkowsku, wszystkie broszury z cerkwi wykupuję. Jestem po podstawówce, ale dziecko musi być od maleńkości w tym duchu wychowywane, bo jeżeli mu się nie zaszczepi tej duchowości - nic z tego nie będzie. Przyjdą koledzy, będą się naśmiewać... A jeżeli brak wiary i języka - to nie ma narodu.

Piotr Świątkowski

Kiedyś trzeba było umieć śpiewać

Rodzice opowiadali, że mieli bardzo dużo roboty - od rana do wieczora, nie nudzili się, tak jak to jest dzisiaj. Nie było złodzieja czasu, jakim jest telewizor, a mimo to mieli czas wypełniony po brzegi. Ale nie samą pracą żyli, lubili się również bawić, śpiewać. Spotykali się wieczorami i urządzali zabawy taneczne.

Orkiestrę tworzyły dwa, trzy instrumenty: skrzypce, czy kontrabas, co go basy nazywali. I do tego przyśpiewki. To było bardzo ważne - umieć śpiewać. Dzisiaj nie, dzisiaj wystarczy mieć kasety. Wtedy było nie do pomyślenia, że ktoś nie umie śpiewać.

Przedmioty z Łemkowyny

Rodzice dużo rzeczy przenieśli z gór, na przykład umiejętność robienia swetrów z owczej wełny, bo kiedyś nie było ani swetrów, ani skarpet, czy rękawic. Robili też płótno ze lnu.

Przedmioty, które przywieźli z Łemkowyny są dziś do muzeum w Gorzowie, które zorganizował Mirek Pecuch. Od moich rodziców trafiła tam metalowo-drewniana szczotka do czesania lnu, deska do prasowania bielizny, magiel ręczny i książki o tematyce religijnej.

Ja też zbierałem różne rzeczy, ale najbardziej interesowały mnie śpiewniki. Kiedy zakładałem zespół – poszukiwałem pieśni. Teraz już nie angażuję się tak mocno w te sprawy, tylko dla siebie i swoich przyjaciół to robię, nie na pokaz.

Chwylyna

Na początku był pomysł wystąpienia w eliminacjach w Zielonej Górze do festiwalu w Sopocie. Nawet nazwa się do tego odnosiła: dwa występy - w Zielonej Górze i ewentualnie w Sopocie. Na tym miał być koniec. Ja później odszedłem od zespołu i można powiedzieć, że zrealizowałem swój zamysł, ale inni kontynuują pracę do dziś.

Jestem zawsze obecny na Spotkaniach z Kulturą Łemkowską w Gorzowie. Co roku robię nagrania video - dla organizatorów, ale i dla siebie też. Podoba mi się ta impreza, bo jest taka, jakie było zamierzenie organizatorów - to spotkanie z kulturą Łemków, z piosenkami wykonywanymi tak, jak kiedyś w górach. Ciągnie mnie do takich spotkań, do kontaktu z folklorem, z tradycją. Jest w tym na pewno coś z sentymentu, każdego ciągnie do korzeni...

Kultura łemkowska mogłaby przetrwać tam, w górach. Tam są najlepsze warunki. Na innych terenach to może tylko być przeniesione i nie będzie już oryginalne.

Chodzi o to, żeby się dogadać

W domu mówiło się po łemkowsku, ja też się nauczyłem. Dzisiaj mało dzieci mówi po łemkowsku. Jak ja chodziłem do szkoły - każde

mówiło. Wtedy nie było mieszanych małżeństw, jak teraz. Wtedy, jeżeli ktoś się ożenił z Polką czy Polakiem, było to raczej źle przyjmowane przez pozostałych Łemków. Dziś już nikogo to nie dziwi.

Na spotkaniach takich jak „Watra”, czy typowo łemkowskie wesele, mówi się i śpiewa po łemkowsku, ale na mieszanym weselu jest trochę i tego, i tamtego: część piosenek polskich, część łemkowskich. Teraz ludzie są bardziej tolerancyjni. Kiedyś rodzice nawet narzucali dzieciom pewne zachowania, jak na przykład to, żeby się żenił ze „swoimi”. Zdarzali się i tacy, co potrafili wykląć dziecko z rodziny.

Języka polskiego rodzice używali kiedy zachodziła taka potrzeba: w urzędzie miejskim i w obecności Polaków, bo oni po prostu nie rozumieli po łemkowsku. A chodzi o to przecież, żeby się dogadać. Między sobą Łemkowie jednak rozmawiali w swoim języku. Tak byli nauczeni i zależało im, żeby tradycję podtrzymać i swego języka nie zapomnieć.

Moja najstarsza siostra wyszła za mąż za Łemka, mają dwóch synów. U nich w domu mówi się po łemkowsku. Ale druga siostra i brat pożenili się z Polakami. Ich dzieci mówią po polsku, chociaż biorą udział w różnych imprezach, takich jak „Watra”, i nawet umieją śpiewać, ale z mówieniem - gorzej.

Współcześni Łemkowie tu na ziemiach zachodnich nie odróżniają się od Polaków. Z jednej strony to może źle, ale z drugiej – dobrze. Niedobre jest to, że tradycje zanikają, ginie nasza kultura. Ale z drugiej strony ludzie są spokojniejsi, że ich nic nie dzieli.

Wszędzie jest ładnie

Łemkowyna kojarzy mi się z górą. Tutaj tereny są nizinne, więc zawsze mnie zastanawiało, jak ci, którzy przyjechali tu z gór odebrali tę różnicę, bo na pewno było to dla nich wielkie zaskoczenie. Musieli się przyzwyczaić do nowego miejsca.

Góry mi się zawsze podobały, dobrze się tam czuję. O tym, żeby pojechać tam na stałe jednak nie myślałem. Każdy aklimatyzuje się tam, gdzie się urodził, a dla mnie tutaj jest ojcowizna. Wszędzie jest ładnie. Tutaj są ładne jeziora, tam - góry. Lubię to i to. Nad jeziorami jest ładniej latem, można popływać, a w górach zima jest ładniejsza. Trudno mi wybierać, gdzie wolałbym żyć. Muszę być tutaj, gdzie coś mam - tam nie mam nic. Chyba, że miałbym alternatywę, dostał, na przykład, zabudowania po rodzicach. Ale to nie jest realne, bo tam mieszkają teraz inni ludzie i wtedy im trzeba byłoby zabrać...

Cmentarze i kapliczki

Rok temu, zimą byłem w Krynicy, mam tam rodzinę. Przyznam się, że nie byłem na żadnym cmentarzu, dlatego że nikt z moich bliskich nie jest tam pochowany, rodzice zmarli na zachodzie, moja babcia też, a z rodziny ojca zmarli dużo wcześniej, kiedy on był jeszcze mały. Nie zdążyłem się dowiedzieć, gdzie zostali pochowani...

Kiedyś Łemkowie nie przywiązywali takiej wagi do cmentarzy, groby były często zapuszczone, nie tak jak dzisiaj. Inaczej było z kapliczkami. Dla ludzi żyjących w górach w tamtych czasach na pewno miały dużą wartość. Stały gdzieś w polu, a ludzie większość czasu spędzali właśnie na polu. Może pomagało im to w pracy, w skupieniu, natchnieniu.

Pamięć

Dla mnie ojczyzną jest Polska. Nawet narodowość mam wpisaną w dowodzie polską. Rodzice przed wojną, mieszkając w górach, też mieszkali w Polsce. Byli obywatelami polskimi.

Gdybym miał wybierać miejsce, w którym chciałbym być pochowany - jest mi to zupełnie obojętne. Nie jestem tak bardzo związany z religią. Dla mnie ważne jest to, że póki się żyje, trzeba coś robić, a najlepiej wszystko, co nazywa się dobrem. A później? Wierzę, że dusza żyje dalej. Ciało wiadomo - zostaje w ziemi i kończy się żywot materii. Odwiedzam jednak groby rodziców, tak robią wszyscy, chociaż wiem, że pamięć noszona w sercu, wspomnienie o ludziach, ma większe znaczenie niż zapalenie znicza, czy postawienie kwiatka.

Stefan Filak

Wszystko się zmienia

Łemkowszczyzna to dla mnie tereny moich dziadków, rodziców - góry. Tam, gdzie rodzice się urodzili, gdzie wracają myślami. Wiadomo, że każdy jest zachwycony miejscem, w którym spędził dzieciństwo.

Ja Łemkowynę znałem tylko z opowiadań, wyobrażałem ją sobie. Dziadkowie opowiadali, że żyli skromnie, ale w braterskiej przyjaźni. Szanowali się, zenili. Żyli z ciężkiej, mozolnej pracy, ale pomagali

jedni drugim. Była pobożność, zyczliwość wzajemna. Lubilem słuchać, jak opowiadali...

Pierwszy raz pojechałem w góry z człowiekiem, który się tam urodził i chciał mi je pokazać. Byłem zachwycony.

Bardzo chciałem zobaczyć domy dziadka, mamy i ojca. Dziadek opowiadał, że przed wysiedleniem miał pobudowany nowy dom. Widziałem go z daleka. I pomyślałem, że wszystko się zmienia - dziadkowie już nie żyją, ja mieszkam w innym miejscu, w innym czasie. Dla mnie to już jest obce. Bardziej myślę o duszach moich przodków niż o tym, jak mieszkali. Wszystko się zmienia, krajobraz też...

Mama opowiadała, że jak była tam po kilkudziesięciu latach, to się bardzo dużo zmieniło. Pola, ścieżki, którymi chodziła, pozarastały krzakami. Czas i przyroda robią swoje. Starzeją się budynki i ludzie. A młodzi nie pamiętają o dawniejszych czasach i żyją terazniejszością.

Jesteśmy, jacy jesteśmy

Rodzice mówili po łemkowsku. Język to przede wszystkim przekazywanie kultury. Zawsze podkreślali: *Jesteśmy, jacy jesteśmy*. Jak byłem mały, tak sobie mówiłem: *U nas w domu rozmawiamy tak, a czy inni rozmawiają jak my?* Jeszcze nie rozumiałem. Myślałem, że sąsiedzi tak samo w swoich domach rozmawiają. Potem rodzice zaczęli mi tłumaczyć, dlaczego jest inaczej.

Przechodzimy do wspomnień, nie do przyszłości

Sześć lat temu pierwszy raz pojechałem na Watrę do Żduni. Podziwiałem wypowiedzi starszych, którzy wspominali dawne czasy: zespoły, pieśni ludowe. Podobało mi się, bo „Watra” to jakby przypomnienie minionych czasów. Takie nagrywanie-odtworzenie. Ale i tak przez jeden, czy dwa dni nie pokaże się tego, co działo się tam przez lata. To tylko jakby małe przebłyśnięcie, zapalenie świeciątka tego, co było kiedyś. Dlaczego pojechałem? Zobaczyć, jak tam jest. Byłem z teściem, starszym człowiekiem, który jeszcze czuł się na sile, żeby odwiedzić swoje strony i akurat w tym czasie „Watra” była. Jakby jedno z drugim się połączyło. Chciał zobaczyć miejsca z dzieciństwa, tam gdzie chodził, pracował w lesie, krowy pasł. Bardzo przeżywał i płakał... Odwiedziliśmy też cmentarze. Tam jego dziadkowie leżą pochowani i rodzice, tak jak i moi. Nie jeżdżę tam regularnie, bo warunki nie pozwalają. Ale nawet mój dziadek opowiadał, że jak był w swojej miejscowości w górach po

kilkudziesięciu latach i szukał grobu żony, to nie było pomników, tylko groby pozarastane, tak że ciężko było odnaleźć to miejsce.

Nie czuję nienawiści, tylko smutek. Słyszałem kiedyś w telewizji o procesie, po pięćdziesięciu latach, w jaki sposób akcja Wisła była zrobiona, niby za zabicie Świerczewskiego. A wiadomo, że to swoi go zabili...

„Watry” zaczęły się na początku lat 80., w różnych miejscowościach. Gdzie większe skupisko Łemków - tam już sobie organizują watry. Odbywa się „Watra” gdzieś koło Legnicy, koło Zielonej Góry. Jest „Watra” w Ługach.

Dawniej ludzie spotykali się latem przy ognisku, bawili, wspominali i tak przeszło do tradycji, żeby co roku organizować takie spotkania. Teraz też i władze są przychylnie, nie przeszkadzają, a i parę złotych przydzielają. „Watra” to możliwość spotkania znajomych, kolegów. Wiadomo, że kiedy było się młodym, stanu wolnego, to się uczestniczyło w zabawach. Teraz jest inaczej - więcej czasu poświęca się rodzinie. Za czasów kawalerskich każdy marzył, zastanawiał się, gdzie będzie, teraz każdy się już ustatkował, zawiązał swoje gniazdo. Kiedy się spotykamy, rozmawiamy jak było. Przechodzimy do wspomnień, nie do przyszłości.

Rodziny i powroty

Rodzice i dziadkowie, jak przyjechali tu, na ziemię zachodnie, kilka razy zmieniali miejsce zamieszkania. Zostali przywiezieni do miejscowości, gdzie dochodził pociąg i zaczęli szukać jakiegoś schronienia w okolicy. Jeśli miejsce było nieodpowiednie - szukali czegoś, co by im bardziej opowiadało, gdzie by się bezpiecznie czuli. Do czego to porównać? Do młodego małżeństwa. Mają jakiś pokój, ale tu niewygodnie, potem lepiej, ale tu inaczej. Też nie wiedzieli co robić, jak długo tu pobędą, czy jeszcze wrócą. Czuli się pokrzywdzeni - nie jesteśmy w stanie dzisiaj powtórzyć ich myśli, dziadkowie najlepiej by wiedzieli jak to wyrazić - zostali ugodzeni w swoją tożsamość, poniżeni. Z wielką tęsknotą wracali myślami do swojej miejscowości, bo pozostawili tam wszystko, cały dobytek. Jak ktoś coś miał i w brutalny sposób został tego pozbawiony to tak jakby została naruszona godność człowieka. Jesteś nikim, musisz stąd wyjść. Ciężko było się z tym pogodzić.

Rodziny były rozproszone, ale jedni drugich namawiali: *Chodź, tu będzie lepiej*. Przez pierwsze dwa, trzy lata duże rotacje były. Na Lemkowsynę jednak powrócić nie było możliwości. Chyba, że ktoś tam został i miał możliwość ściągnięcia innych. Jeden ze znajomych wrócił, ale w ten sposób,

że jego siostra wyszła za mąż za człowieka, którego nie wysiedlili: może nie było go akurat w domu, gdy wysiedlali, albo przekupił władze, albo mama starsza została w domu i nie mieli gdzie jej wysiedlić. On potem wrócił do domu i już został. Jego żona ściągnęła do siebie swojego brata i już ich było dwoje. Potem ściągnęli jeszcze jednego brata.

Wracali też inni, którzy mieli pieniądze, ale nie na swoje miejsce, tylko kupowali coś nowego. Moi bliscy też myśleli, że wróca, ale nie było na to szans. Poza tym dziadkowie przyjechali tu z całymi rodzinami i nie chcieli już się odrywać. Gdyby mogli wszyscy wrócić - na pewno by pojechali. Młode małżeństwa wyjeżdżały, ale starsze - już nie. Często zostało już tylko jedno i samo nie chciało wracać. Rodzina wiadomo ma lepsze warunki do przetrwania.

Od zaocznej wrogości do wzajemnego zrozumienia

Pierwsze spotkanie z Polakami tu na ziemiach zachodnich? Było różnie. Niektórzy mówili, że przyjechali oprawcy... Nie chcę tego powtarzać, bo nie ma sensu. Lepiej zapomnieć o tym, niż to rozgrzebywać, to do niczego nie prowadzi. Młodsze pokolenie już tego nie odczuwa, co ja doznałem od swoich rówieśników. Nie wiem, dlaczego tak było. Była silna propaganda. „Mordercy, banda UPA” - tak nas przezywano. W polskich rodzinach dziadkowie tak nastawiali dzieci, a one nam to potem powtarzały.

Ale jak się ludzie spotykali, to ze sobą normalnie rozmawiali. To była bardziej zaoczna wrogość. Raczej obmawiali, że ten taki, a ten owaki. Jak dwaj sąsiedzi: Polak i Łemko spotkali się z kimś nieznanym, to Polak mówił do nieznanego: *Wiesz, to jest Łemek*. A byli przecież sąsiadami... Gdy Polak odszedł, to nieznanomy pytał: *A z jakich stron jesteś, bo ja też jestem Łemko*. To trochę przykre, że nie było zaufania.

Wydaje mi się, że dzisiaj więcej jest wzajemnego zrozumienia. Kiedyś dużo spraw było zatajonych, to komunizm tak zrobił. Za mało o tym mówiono. Za dużo było fałszu i zakłamania, wrogości. Dzisiaj wszystko zależy od człowieka, od jego rozumowania, od tego jakie ma poglądy, jak chce na to spojrzeć. Mam polskich przyjaciół i oni wiedzą kim jestem. Dlaczego mam się ukrywać? Każdy ma prawo być tym, kim jest. Ja wiem kim ja jestem.

Cmentarze

Moi bliscy, od pradziadków, są pochowani tutaj: w Drezdenku, w Strzelcach, w Dobiegniewie. Tam, gdzie się osiedlali. Także na

cmentarzach rzymskokatolickich. Tu w Dobiegniewie kiedyś było nieporozumienie... niby nie chcieli chować... Ale tak nie było na wszystkich cmentarzach. Wiadomo - jest takie powiedzenie - w każdym stadzie jest błędna owca. Tak, że jeśli na tyle okolicznych miejscowości tylko w Dobiegniewie to miało miejsce, to nie ma co rozgrzebywać.

Państwo i kościół

W Ługach w latach pięćdziesiątych udało się cerkiew prawosławną stworzyć. Więcej niż 50 procent ludzi wysiedlonych z gór to byli jednak grekokatolicy, prawosławnych było mniej. Grekokatolicy chodzili do polskich kościołów, ale chcieli mszy w swoim obrządku. W latach pięćdziesiątych, za zgodą polskich władz, stworzono parafie w Ługach, Brzozie i w Gorzowie. Cerkiew była uznawana przez państwo. W tym czasie kościół rzymskokatolicki też był prześladowany, wiadomo z jakich powodów więziony był prymas Wyszyński. I do dzisiaj kościół rzymskokatolicki nie jest upaństwowiony, a cerkiew jest.

Ojczyzna jest tam, gdzie czuję się wolnym

Wydaje mi się, że ładniej jest w górach. Tam jest piękniejszy krajobraz - więcej różnorodności, spokoju, przyrody. Ale gdzie się ktoś urodzi, to swoje chwali i zawsze do tego będzie wracał. Moi rodzice wracali, bo tam się urodzili i tam im się podobało. Mi też się tam podoba, ale tu się wychowałem, tu jest mój dom rodzinny.

Ojczyzna w jednym wymiarze - doczesnym, jest tam gdzie czuję się wolnym, gdzie mam swoje prawa i nie jestem prześladowany, ani wyśmiewany, czy wyszydzany i jeszcze więcej słów można na to znaleźć.

Ojczyznę nazywam państwo, w którym mieszkam - Polskę. Jakby nie było ziemie łemkowskie leżą na terenie Polski. Nie muszę jechać przez granicę, żeby pojechać w góry. Jak tam pojedę, to sobie wspominam przodków: jak mieszkali, jak tam żyli. Tamte tereny też są mi bliskie. Tu jest moje, no i tam moje - tak jakby dwuznacznie mówię, ale chcę podkreślić - tu się urodziłem, ale tamto też mi nie jest obce.

A w sensie duchowym trzeba pamiętać, że Bóg jest naszą ojczyzną. Wszystko zostawimy, całe nasze życie przeminie i musimy myśleć o tej drugiej stronie, że tutaj to tylko nasze życie doczesne, a ojczyzną jest Bóg.

Czuję się Łemkinia

Urodziłam się tutaj, na zachodzie, w latach 60. Wychowywana byłam w domu, gdzie były korzenie łemkowskie. Rodzice również byli wychowywani w duchu dawnej Łemkowszczyzny, no i wszczepiali to we mnie. Czuję się Łemkinia w pełni tego słowa znaczenia. A co dla mnie znaczy słowo Łemkowszczyzna? To dom. Taki dom rodzinny, ojczysty. Taka swojska kultura właśnie. Przebywanie wśród swoich ludzi. Nawet spożywanie potraw typowo łemkowskich... A jeżeli Łemkowszczyzna, to mogę powiedzieć w jednym prostym zdaniu, że jest to moja ojczyzna, bo chociaż urodziłam się tutaj, uważam się za Łemkinę z krwi i kości.

O Łemkowynie najwięcej opowiadali mi rodzice. Dziadkowie też, ale dziadków straciłam już dawno. Szczególnie tata mówił. Oboje pochodzili spod Krynicy, z jednej wsi. Tu na zachodzie się pobrali.

Moi rodzice bardzo szanowali tradycję

W domu jednych i drugich bardzo pielęgnowało się Łemkowszczyznę. Nie tylko tam na południu, ale też tu, na zachodzie. U mojego taty szczególnie. Mój dziadek, to była taka osoba, która bardzo pilnowała tych tradycji.

Jak tak sięgnę pamięcią, to chociażby na Wigilie, która zawsze była taka uroczysta. Zawsze z sianem pod obrusem. U siebie w domu już tak nie robię, bo jednak mieszkam w bloku. Robimy troszeczkę inaczej. Tradycje te, które były w górach, to były długo, długo pielęgnowane, prawie do śmierci mojego taty. A kiedy zmarł, my też kontynuujemy te tradycje, świętujemy wszystkie święta. Ale już troszeczkę odbiegamy od tego. Tata mój przynosił zawsze wodę z przerebli. No i w tej wodzie trzeba się było umyć przed Wigilią. Ale my tego nie robimy, bo to jednak i chłodna woda, i teraz mniej odporne dzieci, zaraz przeziębą się.

Łemkowie utrzymywali się z roli

Dziadkowie opowiadali dużo. O życiu swoim. O tym, jak to było kiedyś. Tam na południu Polski, Łemkowie mieszkali z dziada pradziada. Utrzymywali się głównie z rolnictwa. Pracowali ciężko, często żyli bardzo ubogo. Być może dlatego, że ta ziemia nie dawała wielkich plonów, wielkich zysków. Moi rodzice pochodzą z miejscowości, która

nazywa się Mochnaczka. Jest oddalona o pięć kilometrów od Krynicy. I kiedyś - to mi jeszcze opowiadał dziadek - nie było drogi do Krynicy. Na długości pięciu kilometrów należało iść pieszo górami niosąc mleko, sery, czy inne wytwory rolnicze sprzedawane właśnie w Krynicy. To było uzdrowisko, no i tam zawsze był jakiś zbytek na nie. Tylko już teraz nie pamiętam, czy nosiło się te towary dwa razy czy trzy w tygodniu. W każdym razie często. No i w zamian za to kupowali sobie coś - tata mi zawsze mówił o jakiś ładnych chustach, które kupiła babcia na odpuszcie. Może to nie były towary najlepszej jakości, najdroższe ale radosne dla serca. Choć żyli bardzo biednie ciężko pracując, bardzo kochali to swoje beskidzkie życie.

W górach wydaje mi się, że jestem u siebie

Jak tatę swojego wspominam, to tak zawsze mówił do mnie, że on by tam chciał w tych górach umrzeć i tam by chciał zostać, bo tam jest to wspaniałe powietrze, bo tam jest jego miejsce, jego ziemia. Mimo, że wiele lat tam minęło, tata tęsknił, że nie wiem... Ja też zaczęłam tam jeździć. Początkowo, jak byłam dzieckiem, to myślałam: no, normalnie góry, pięknie, góry, drzewa... Potem pojechałam jeszcze kilkakrotnie, jak byłam starsza, wtedy bardziej rozumiałam.

Ten cmentarz, cerkiew w Mochnaczce - to przypominam. Wchodzę tam i wydaje mi się, że jestem u siebie - taki zapach specyficzny, boski, cerkiewny. Nikogo wokół mnie nie było w tej cerkwi... Ale cały wystrój wewnątrz, łącznie z chorągwiemi, pozostał cerkiewny. Teraz tam katolicy ksiądz odprawia msze. Na cmentarzu czułam, że tam leży moja babcia. Ona umarła, jak miała 28 lat i leży na tym cmentarzu. Czuje taką melancholię, gdzieś mnie ona objęła. I czuję, że ci ludzie są bardzo mi bliscy. Na cmentarzu kogo tam znałam z nazwiska to tak zapaliłam lampkę, bo wiem, że z zachodu ludzie rzadko jeżdżą w góry, więc groby są strasznie zaniedbane. Mnie się wydaje, że kiedy kto by tam zajechał, to czuł by to samo co ja. Bliskość. Mimo, że ja urodziłam się na Zachodzie, czułam bliskość z całą Mochnaczką, choć...nasz dom już nie stoi. Zresztą tam chyba w ogóle już nie ma nic. A Łemkowie nie wrócili, po prostu - dużo wyjechało do Kanady, do Stanów. A ci którzy zostali, to po prostu są tam, ale to kilka rodzin tylko, raczej to rodziny wymieszane. Chodzą do kościoła. Oni nie potrzebują kultury i tych tradycji.

Mam też takiego wujka po tacie moim i właśnie jego wnuk się ożenił z katoliczką. Z katolickiego domu. Praktycznie już nie gadają po łemkowsku. To jest taki sposób na wymieranie - nawet bym powiedziała,

że tamta „Akcja W” to rozgonienie tych ludzi, żeby z nimi kultura zginęła. To czasami mam wrażenie, że im się to udało. Właśnie, jak szłam przez tą Mochnaczkę, to w tęsknocie odczuwałam, że udało się im. Zrobili to, czego chcieli.

Natomiast jeśli są takie spotkania w większych skupiskach łemkowskich, czy zabawy łemkowskie, to mi się wydaje, że nie byli w stanie nam nic zrobić. Ponieważ spotykamy się. Przyjeżdżamy z dalszych miejscowości i jesteśmy razem. Tylko tych ludzi skrzywdzono strasznie. Tych, którzy jak mój tata właśnie, co to zawsze chciał tam umrzeć, zawsze chciał tam zostać. To było dla niego straszne.

W cerkwi czuję jakby Bóg był obok mnie

Jak myślę o tych cerkiewkach, które zostały, o tych cmentarzach to jest niesamowite wrażenie. Szczególnie przydrożne, zapomniane kapliczki... Dla mnie, osoby, która się tutaj urodziła, to jest ogromne przeżycie, ogromne wrażenie. Dziś spoglądam na te kapliczki, zniszczone, nikt się nimi nie zajmuje, gdzieś tam Jezus obity lub bez głowy... To one przypominają taki niedobry czas i tak się ma wrażenie jakby tęskniły za tymi ludźmi. Ja takie wrażenie odniosłam. Wchodząc do kościoła i do cerkwi mam zupełnie inne odczucia.

W cerkwi to czuję się jakby Bóg był naprawdę obok mnie - i tak też nad losem Łemków rozpętał jeszcze do dzisiejszego dnia. To dla mnie wręcz niesamowite i mam wrażenie, że być może miejsce Łemków powinno tam pozostać.

Takie smutne te lasy

Przez ostatnie trzy lata to w górach byłam trzy razy. Dwa razy byłam latem i raz tylko byłam zimą. Tak rok po roku. Natomiast moja mama od czasu wysiedlenia w 47 jak była dwa razy, to jest wszystko. I to tak wszyscy starsi ludzie. Czy może dlatego tak rzadko, że to jest tak daleko, czy ze względów finansowych? Czy nawet, ze względu, że... no, po co? Co, pojechać się tam napatrzeć, przeżyć to jeszcze raz i wrócić? To może lepiej już tego nie oglądać. Tak mi się wydaje.

Ja chciałabym tam bywać latem i zimą. To znaczy zimą jest tam ciekawiej, ale dwa razy w roku można by się było wyrwać. Krajobrazy precudne! Jechałam pociągiem od Tarnowa do Krynicy przez Żegiestów i Grybów i inne miejscowości. Widoki precudowne. Poza tym często widać konie, które ciągną zaprzęg, sanie. U nas jakoś rzadko można to

spotkać. Byłam na górze Jaworzynie. Widoki przepiękne. Mogłabym tak iść, iść, iść...

Właśnie jechaliśmy saniami w kierunku Mochnaczki przez Jakubik, bo właśnie tamtędy moi rodzice chodzili pieszo. A mnie ten mój wujek, który powozi końmi, to zawiózł w to miejsce, żebym zobaczyła, którą drogą rodzice chodzili z wytworami rolniczymi na sprzedaż. Ogromny kawał drogi no i rzeczywiście góry, góry i góry, ale widok precudowny, przewspaniały.

W tych widokach co mi się najbardziej podobało? Nie wiem. Lasy. Też mają jakieś oblicze, takie łemkowskie. Takie smutne te lasy. Lubię drzewa. Za to z góry w Krynicy - z Jaworzyny - przepiękny widok okolicznych miejscowości. Właśnie Mochnaczki gdzieś tam w dołku, Banice gdzieś tam w dołku i jeszcze inne w dole. Skupiska niewielkie, gdzieś tam w górach trzy, cztery domki w jednym miejscu. Właśnie wtedy podobała mi się Mochnaczka, którą widziałam z Jaworzyny. Potem te Banice- dwie kupki domków małych, gdzieś tam porzucane.

Dzieci muszą wiedzieć kim są

U mnie w domu mówi się tak pół na pół. Zacznę od siebie. Ja pamiętam, że ja w wieku moich dzieci, u nas w domu mówiono tylko po łemkowsku. I przyszedł moment kiedy szło się do pierwszej klasy. Poszłam do pierwszej klasy i nie umiałam zupełnie nic po polsku. Zresztą tak, jak moje rodzeństwo. No bo się w domu po polsku nie mówiło. No więc na lekcjach w szkole podstawowej uczyliśmy się mówić po polsku. Bo w ogóle nie umiałam.

Natomiast moje dzieci staram się uczyć, by znały jeden język i drugi. Moje dzieci wychowały się od żłobka, bo chodziły do żłobka, potem do przedszkola, więc wiadomo, że język polski musiałam im przekazywać.

Natomiast zawdzięczam dużo mojemu tacie, bo tata też był tu na miejscu, tylko w odległości pięciu kilometrów. A tu już w domu moim rodzinnym absolutnie mówiło się po łemkowsku.

Michał - mój syn- doskonale sobie radzi z łemkowskim. Magda też. Ja w domu staram się z nimi rozmawiać. Nie cały czas, ale rozmawiam z nimi po łemkowsku. Magda za wiele jeszcze nie umiała mówić. Rozumie wszystko. Natomiast Michał mój potrafi znakomicie po łemkowsku mówić. Zna piosenki łemkowskie, jak na przykład spotykamy się gdzieś, żeby pośpiewać z okazji świąt. Takie różne melodie. Dzieci zaprowadziłam do szkoły muzycznej. Magda raczej muzykalna jest, lubi

śpiewać i dosyć zapamiętuje teksty. Z tym, że teksty musi przetłumaczyć, bo ona nie rozumie. Ona zapamięta wyraz, ale nie wie co to jest. Uczę je więc w domu.

Absolutnie nie dopuszczam takiej sytuacji, żeby dzieci moje nie wiedziały w przyszłości skąd się wywodzą. Muszą muszą znać swój język. Jak się potoczą ich losy? Nie wiem, jak będą dorośli, będą decydowali o sobie. Zrobią, jak będą uważali. Czy będą chcieli być katolikami w pełni, czy będą chcieli chodzić do cerkwi? Uważam, że dobrze będzie jeżeli będą znali i jedno i drugie. A potem sobie wybiorą, co będzie dla nich lepsze? A nuż może ktoś spotka potem człowieka Łemka i mu się przyda. Muszą wiedzieć skąd się wywodzą. To jest takie moje zadanie wychowawcze numer jeden. Być może, że to ja jestem trochę dziwnym człowiekiem...

Niektórzy uważają, że dzieci krzywdzę, bo uczą się jednej religii i drugiej. Tak samo czy języka i jednego i drugiego. Jeżeli chodzi o religię - no to tak. Nie mam nic absolutnie przeciwko Bogu, ani przeciwko księżom katolickim. Bo uważam, że żaden ksiądz, czy katolicki, czy łemkowski, nie głosi niczego złego. Skoro jest ta polska lekcja religii, to nie będę prosiła księdza, żeby dziecko moje wychodziło w tym czasie. No bo niech posłucha Słowa Bożego. Prawda? Nie wszystkie matki tak uważają. Niektóre uważają, że na polską religię dzieci nie chodzą, ponieważ nie muszą. Nie chcę, żeby on mi tam gdzieś na korytarzu siedział, czy po dworze biegał, skoro ksiądz się modli, tylko że w innym języku. Więc posyłam na lekcje tej religii i drugiej też. Chcę, żeby dziecko umiało i miało dodatkowe zajęcia. Bo mówię - dzieci w życiu różnie sobie tam mogą to życie ułożyć i dobrze będzie jeśli będą znały i jedno i drugie. A to jakie one są wszyscy wiedzą w bloku, gdzie mieszkamy, wszyscy wiedzą w szkole.

Ja miałam wielkie nieprzyjemności, kiedy byłam w ich wieku i chodziłam do szkoły, bo wtedy akurat były takie czasy prześladowań, a teraz bardziej tolerancyjne są inne dzieci, naprawdę. Mimo, że one mają dwie lekcje religii i godzinę zostają po lekcjach. Dzieci wiedzą, że zostają na religię, ale żadnych takich uszczypliwych uwag, czy komentarzy zbędnych, czy jakiś nieprzyjemności nie słyszałam. Moje dziecko do komunii idzie do cerkwi w Ługach. Wiedzą o tym z klasy dziewczynki. Wszyscy wiedzą, że ona tu idzie. Ale nikt nie wypytuje: Po co? Dlaczego? Na co? Jak? Bo tutaj idzie do komunii i nie ma problemów żadnych. I o to chodzi.

Raczej trzymamy się swojego

Tak byłam nauczona i dlatego bardzo bym chciała, żeby moje dzieci trzymały się swego, by wiedziały - i myślę sobie, że może kiedyś będę miała jakiegoś zięcia i synową - daj Boże, chociaż nie jestem przeciwna żadnej innej wierze, ale chciałoby się mieć tego swojego. Zresztą tak samo w mojej sytuacji, bo mam męża, wcześniej gdzieś tam po kolei jakieś miłości były, ale nie wiem czy tak miało być? Jest to swój człowiek i po prostu tu jestem w domu, czy jestem gdziekolwiek, to nie mam takich problemów typu: jak rozmawiamy w domu?, czy idziemy do cerkwi? No bo w sumie to jesteśmy jednej wiary, z tym, że mąż jest wychowany w kościele. Tam, skąd pochodzi, nie było cerkwi, więc chodził do kościoła. Kiedy braliśmy ślub to ja chciałam u nas - rzeczywiście tamta strona nie sprzeciwiała się, no bo też mąż w domu nauczony po łemkowsku. Z tym, że obrządku tego cerkiewnego nie znali tak dobrze, ponieważ chodzili do kościoła. Teraz tak mąż się nauczył u nas w Ługach, bo tutaj teraz chodzimy. I powiem, że jest tak, że i do kościoła pójdziemy z dziećmi, jak jest święto, np. Boże Ciało. Pomodlimy się z dziećmi - nie ma o czym mówić. Ale raczej trzymamy się tego swojego.

Chleb został w piecu

Tata zawsze mi opowiadał, mama też. Ten płacz, moment wyjazdu. Co się wtedy działo. To był jeden wielki płacz, opowiadała jedna osoba, która mieszkała w Mochnacze, akurat mój wujek. On jeszcze żyje w Krynicy i ma 90 lat. Oni byli w cerkwi w Mochnacze, a Banica jest oddalona o trzy, czy o cztery kilometry i w momencie kiedy byli w cerkwi, to wysiedlano Banicę, bo w jednym dniu wysiedlano kilka wiosek. To słysząc było jak płakali ludzie w Banicy. Był straszny płacz aż do Mochnaczkę było słysząc. Oni to najbardziej przeżywają. Tata mój opowiadał, że oni się o tym dowiedzieli dwa dni wcześniej, gdzieś tam, ktoś im powiedział. Więc już pakowali takie rzeczy, które mogą ze sobą zabrać. Takie rzeczy, które można wziąć do wagonu.

Były domy, w których kobiety nie zdążyły chleba z pieca wyciągnąć, bo jak przyjechało wojsko to dało na przykład 15 minut, żeby wyjść z domu, a żeby chleb wyciągnąć trzeba było czekać pół godziny. Więc one nie zdążyły tego chleba z pieca wyciągnąć, żeby go ze sobą wziąć. Został w piecu. To była straszna rozpacz.

W 47 roku ich wysiedlono na Ziemię Odzyskane. No tam każdy przydział swojej ziemi otrzymał, zaczęli się urządzać i nie wiem, który to był

rok, kiedy już można było stąd wyjeżdżać. W 56 chyba. Pewnie narodziły się dzieci już. Pewnie jakoś tu się urządzili. No i chyba już nie chcieli wracać. Tym bardziej, że obawiali się, nie wiedzieli czy wrócą do swojego domu. No bo ci, którzy wracali tam, to zaczęli od budowy nowych domów, bo tamte rodzinne były już zajęte przez Polaków. Rodzice o powrót w góry się nie starali, ale zawsze tęsknili. I powiem szczerze, że z Ługów znam tylu ludzi, Łemków, którzy zostali, wielu zmarło... też żalowali, tęsknili.

Oni nie byli u siebie

To nie jest moja ojczyzna. To jest miejsce w którym mieszkam, żyję, wychowuję dzieci, pracuję. Zresztą tutaj pewnie mi nie jest źle, ale nigdy w życiu nie podpisała bym się pod tym, że to jest moja ojczyzna.

Ojczyzna powinna być tam, gdzie są korzenie. Tam powinniśmy być wszyscy. I tam pewnie byłaby wtedy nasza ojczyzna, gdyby nie to, co się wydarzyło. Pewnie tam byśmy byli teraz. Na pewno rodzice by się pobrali tam. Tam byśmy się urodzili. Z tym, że potem życie rzuca ludzi w różne zakątki Polski, córka wychodzi za mąż tu czy tam. Ale zawsze by się wtedy tam wróciło. Tam jest ojczyzna Łemków. To jest bezsporne. Ojczyzna Łemków jest tam, gdzie są góry. Jak jechałam przez Muszynę, blisko pasa granicznego, przypominałam sobie jak tata mi zawsze opowiadał, że jak byli w polu, pracowali, to płynął taki potoczek, strumyczek, a po drugiej stronie już była Słowacja. Więc tak spokojnie przechodzili sobie na tą Słowację. Mówił, że tam dziewczyny słowackie podrywali, tam na zabawy chodzili, bo tam też mieszkali Rusini-Łemkowie. Można było przejść przez potoczek; ci pracowali tutaj, a ci po drugiej stronie potoczku pracowali przy czymś na polu. I jak teraz przejeżdżałam, to widziałam ludzi po drugiej stronie granicy. No to też tak inaczej się czułam... Ale myślę, że ja nie potrafię żyć bez ludzi, bez rodziny, bez znajomych.

Wszystkiego kierownikiem jest człowiek

Ci, którzy umarli, to tutaj byli chowani na cmentarzu. Tu jest cmentarz. Tutaj leży mój tata. Moi dziadkowie. Chcieli być pochowani w górach. Ale my zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że... No pochować teraz tam mamę i tatę obok jego mamy, która zmarła mając 28 lat i w tej Mochnacze leży, to jest tak fizycznie niemożliwe - żeby przynajmniej na ten grób pojechać raz i kiedyś tą lampkę zapalić. To jest daleko, a tutaj mamy

na miejscu. Tu mamy całą rodzinę. Praktycznie w Mochnacze już nie mamy nikogo. A skoro dziadkowie już tu zostali pochowani... W 49 pochowana została dziadka siostra. Przyjechała razem z dziadkiem i w 49 zmarła. Dziadek mój zmarł w 70-tych latach, też tutaj leży. Więc uznaliśmy za stosowne, że pochowamy też i tatę. Taty brat tutaj leży też na cmentarzu. Że już tu będzie, bo tu już my jesteśmy. Wiadomo, że my stąd nie wyjedziemy, jakoś będziemy blisko tych grobów i będziemy o nie dbać.

Teraz już jest inaczej

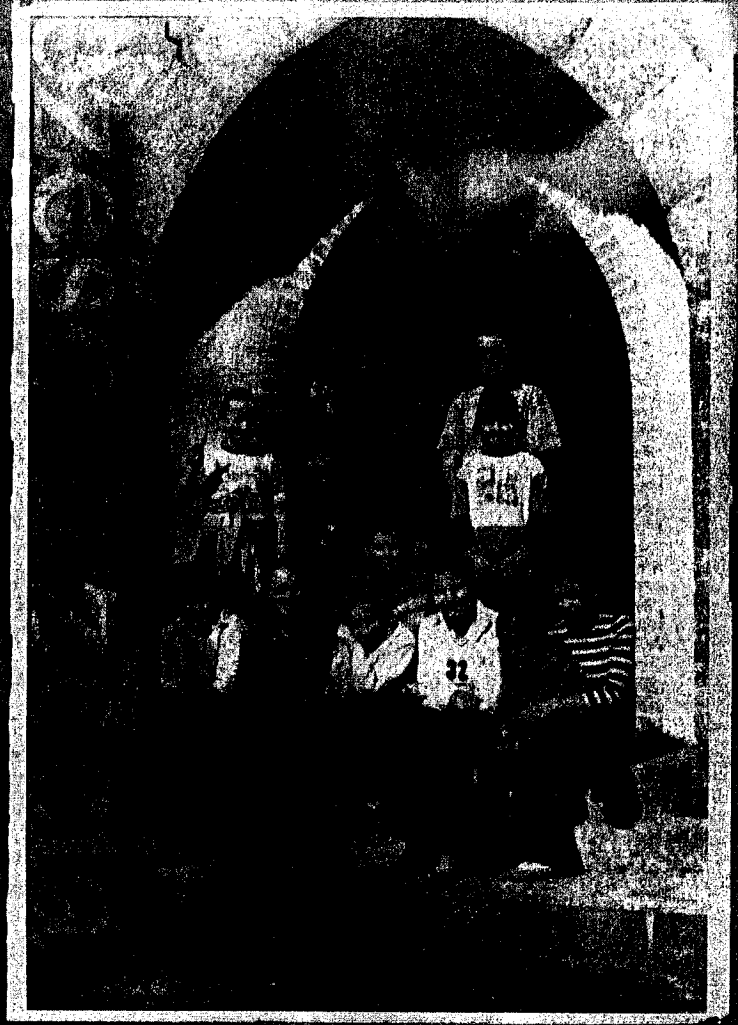
Stosunki z Polakami układały się brzydko. Tata mi opowiadał, że nie ciekawie. Na zabawach gdzie spotykali się tak, po prostu, katolicy nazywali ich *ty Ukraińcu*. Oni nie wiedzieli jaka to jest mniejszość: Tylko *Ukraińcy*. A Ukraina zawsze kojarzyła się Polakom z UPA, bo ludzie mieli takie skojarzenia. To był ktoś gorszy, ktoś niedobry, ktoś kto morduje.

Teraz już jest inaczej. Lepiej. Zupełnie normalnie, ludzie nie zwracają na to uwagi, dzieci w szkole są tolerancyjne i wiedzą o tym. Kiedy, w którym momencie tak się zmieniło? Od rządu Wałęsy. I za to akurat Wałęsa jest dla mnie taką osobą, pomimo tego jaki tam on jest, chociaż politykiem żadnym nie był według mnie, ale on wprowadził taką tolerancję. Właśnie za Wałęsy. I powiem szczerze, że ksiądz przychodził u mnie katolicki też po kolędzie, bo też wpuszczam jak chodzi ksiądz po bloku, to Matko Boska!- niech i nam pokropi w tym domu. Wy tłumaczyłam mu, że moje dziecko chodziło na religię, ale mówię mu, że dziecko było chrzczone w Ługach, do komunii w cerkwi. Powiedział mi *może pani postać tam gdzie pani uważa*. Natomiast i to mi dobrze powiedział: *powinna pani jakoś się określić, bo wie pani, jak gdyby Kościół katolicki nie ma żadnej ugody z Kościołem prawosławnym, z biskupami, że tak można, że może sobie pani iść na przykład do komunii tu, a do spowiedzi tu, to takiego czegoś nie ma. Tu my zresztą tolerujemy takich jak wy, my znamy to wszystko. Pani wola, pani dziecko, pani sprawa. Ale tak naprawdę to powinna się pani trzymać jednego ogona tylko. Nic pani złego nie robi. Posyła pani dziecko a Bóg jest jeden, ale powinna się pani jakoś określić*. Takie mądre słowa.

A przykładowo ksiądz Artur, czasami jak coś tłumaczy, to zawsze zakorzeniony jest tylko w tej jednej cerkwi. Raczej tak, że jak ktoś chce iść do kościoła to nie można. Ale nie powinien, bo to jest ksiądz, a właściwie Bóg jest jeden. No właśnie czy tak się nie powinno?

Tolerancja

Nieraz jak są święta w styczniu na przykład - prawosławna Wigilia, to ja pójde do cerkwi, a potem do pracy jeszcze przychodzę. *No to święta, a ty nic nie postawisz?* A więc coś musiałam im postawić, jak mam święta. Następna rzecz, mówię: *Sylwester- spędzimy go u znajomych*. Ten tu, potem oni przychodzą do nas na ten drugi Sylwester. Tak więc jest wzajemna tolerancja. Naprawdę, ale to się wyzwała u ludzi praktycznie dlatego tylko, że my się znamy i o tym rozmawiamy. Dlatego oni poznają mnie też z tej strony. Właśnie teraz u mnie będzie na komunii koleżanka, co ze mną pracuje. Ponieważ ona zaprosiła mnie na ślub swojej córki, teraz ja ją zaproszę, bo nie wie ona w ogóle jak to u nas wygląda. Chce to wszystko zobaczyć, bo zna mnie i zna to wszystko z moich opowieści - jakie mamy tradycje, jak się modlimy, jak spożywamy wigilię - i naszykowała się, bo jej to trudno sobie wyobrazić. I teraz, jak ona przyjedzie do mnie, zobaczy, jak to rzeczywiście wygląda. Gdyby ludzie wymieniali się swoją kulturą, to byłyby inne stosunki między nami. Naprawdę dużo lepsze. Dużo łagodniejsze. I dlatego ja mówię, że poznajemy się bliżej. Jesteśmy z sobą. Nawet ostatnio z koleżanką u koleżanki byłam, mówi: *zaśpiewaj coś po łemkowsku. To zaśpiewam ci coś*. I jej się bardzo podobało. A jak byłam u niej na ślubie jej córki śpiewałam po łemkowsku, a tam byli sami katolicy, ale grałam łemkowskie pieśni na akordeonie, i to im się bardzo podobało. Im bliżej się poznajemy, tym bardziej jesteśmy zainteresowani sobą. I to może właśnie stąd cały głód we wzajemnym uświadamianiu się, że jednak te media bardzo mało pokazują - przecież kiedyś tego w ogóle nie było w telewizji. Jakiś takich pokazów: cerkiew, msza, obrządki - tego nie było. Teraz jest troszkę tego, ale i tak zbyt mało. Żeby ci katolicy właśnie poznawali inną kulturę. Dlaczego nie? Przecież to nie jest nic złego, to nie jest zły człowiek, a tamte lata, które już minęły, te lata „Akcji W” - już ich nie ma... A my, to pokolenie młodsze, powinniśmy to puścić w niepamięć. Bo musimy sobie powiedzieć, że taka była polityka, taki był świat, takie było życie i stało się. A my, my żyjemy trochę innym światem. Takim światem ludzkim. Takim tym naszym. A to jaki kto jest, jakiego kto jest wyznania, jakie kulturywuje tradycje w domu, niech to zostanie sprawa każdego indywidualna. Ale tolerujemy się nawzajem. Takie jest moje zdanie.



Mama przywiązuje dużą wagę do Łemkowszczyzny

Łemkowszczyzna kojarzy mi się z moimi rodzicami, dziadkami i z górami. Byłem tam tylko raz i to już dosyć dawno temu, na „Watrze” chyba w 1994 roku. Odwiedziliśmy miejsce, gdzie kiedyś mój dziadek miał dom. To duże przeżycie wrócić do tamtych stron, ale nie czuję żadnego przywiązania. Ludzie, których stąd wywieziono, czują ból i tęsknotę do tamtego życia, a ja czułem się bardziej jak turysta.

Mama przywiązuje dużą wagę do tych spraw i więcej się wszystkim zachwyca, ja tylko troszeczkę... Mama każe chodzić do cerkwi i nie może być sprzeciwu. Zajmuje się też kolekcjonowaniem przedmiotów związanych z Łemkami. Ma książki o świętych miejscach łemkowskich, o cerkwiach.

Oczywiście podobają mi się obrzędy, śpiew, kultura. Mówię po łemkowsku i się tego nie wstydzę. Na „Watrze” w Ługach jestem praktycznie co roku..

Wysiedlenie

Wysiedlenie dla moich rodziców, dziadków było na pewno strasznym przeżyciem, bo zostawili tam swoje gospodarstwa, domy i ciężko było im się przystosować do nowych warunków, szczególnie dziadkowi. Miał możliwość pojechania tam po jakimś czasie, ale po co? Tam już nie ma z kim rozmawiać.

Mama opowiadała, że ich wieś miała dwa tygodnie na opuszczenie domów, ale były takie wsie, gdzie mieli dwa dni, albo jeden. Ludzie umierali z żalu na progę, że muszą stamtąd odejść.

W cerkwi trzeba się zachowywać pobożnie

Ochrzczony byłem w cerkwi prawosławnej, ale do komunii poszedłem do kościoła. Ksiądz nie stwarzał żadnych problemów, a gdyby stwarzał - mama by mnie zaraz zaprowadziła do prawosławnego księdza. Dzisiaj chodzę i tutaj i tutaj. Chociaż może wszystkiego, co ksiądz czyta nie jestem w stanie zrozumieć, za ludźmi śpiewam. Gdybym miał sam zaśpiewać, to chyba nie bardzo...

Między nabożeństwem w cerkwi i w kościele jest zasadnicza różnica. W cerkwi wszystko jest bardziej uroczyście obchodzone. Jak są święta,

to jest inna liturgia i inna atmosfera. Który sposób odprawiania nabożeństwa jest mi bliższy? Chyba prawosławny. Ale które nabożeństwo dla Boga jest lepsze - trudno stwierdzić. W kościele czasem ludzie patrzą na boki, klękają inaczej, czy tylko zgarbią się, a w cerkwi trzeba się zachowywać bardziej pobożnie.

Cmentarzy nie powinno się sprzedawać

Cmentarzy nie powinno się sprzedawać, bo tam są pochowani ludzie i ich spokoju burzyć nie można. To, według mnie, święte miejsca. I nieważne, czy to cmentarz łemkowski, czy inny. Nie można sprzedawać świętych rzeczy, kapliczek rozbierać samowolnie.

Ojczyzna jest tam, gdzie się człowiek urodził

Ojczyzna jest tam, gdzie się człowiek urodził, z kim przebywał. Ja urodziłem się tutaj, ale nie wiem, czy można powiedzieć, że moją ojczyzną jest Polska... Na pewno, ze względu na korzenie, ojczyzną będzie Łemkowszczyzna. Ale przywiązanie do tutejszych terenów jest większe, niż do tamtych. Tutaj też mamy ładnie, choć tam - w górach, jest na pewno piękniej. Nie wiem jednak, czy chciałbym tam mieszkać. Trudno byłoby mi się stąd wyprowadzić, jestem bardzo przywiązany do tego miejsca. Mógłbym gdzieś indziej pracować, ale przyjeżdżać i odpoczywać - tutaj. Mnie żadne wycieczki nie fascynują, mi tutaj jest dobrze. Choć jest coś - trudno to określić - co sprawia, że w górach inaczej się człowiek czuje, i po łemkowsku się rozmawia. A tutaj - raz tak, raz tak.

Miałem kiedyś momenty, że nie chciałem mówić po łemkowsku. Może się wstydzilem, że inaczej rozmawiam, może dlatego, że w szkole czasem ktoś nazwał mnie Ukraińcem. Ale to były sporadyczne przypadki.

Ludzi młodych, którzy czują się Łemkami, właściwie tutaj nie ma. Nie przywiązawali wagi do języka łemkowskiego. Rozmawiali póki była babcia, a jak babcia zmarła - to się łemkowski skończył. Gdybym miał dzieci posyłałbym je na lekcje łemkowskiego, żeby знаły swoje korzenie.

Beata Staszak

Często rozmawiałam o dawnych czasach z moją babcią, dziadkiem i wujkiem. Oni pochodzą z Mochnaczki. Bardzo bym chciała tam pojechać. Jak byliśmy w górach na wakacjach, to niestety była brzydka pogoda i nie udało mi się odwiedzić wioski dziadków. Moja babcia była tam dwa lata temu i nawet przywiozła zdjęcia swojego domu. Teraz mieszka tam jakiś starszy pan. Babcia niestety nie mogła wejść do środka, bo tego pana nie było w domu.

Podoba mi się w Ługach, bo jest lepiej niż w mieście, więcej świeżego powietrza. Mieszkam blisko lasu i robię więcej wycieczek, niż bym robiła na przykład w Dobiegniewie. Chciałabym tu zostać, chociaż w górach też bym chciała mieszkać.

Chcę skończyć studia matematyczne. Bardzo lubię też śpiewać, więc gdyby nie udało mi się z matematyką, zostałabym piosenkarką. Śpiewamy w domu - z babcią, dziadkiem, mamą. I w cerkwi.

Monika Siwiec

Chciałabym skończyć liceum biologiczno-chemiczne, pójść na studia, a potem być lekarzem lub biologiem. I zostać w Ługach, bo ciężko przyzwyczaić się do nowego miejsca, a ja tutaj się wychowałam i dobrze się tu czuję.

W opowieściach starszych ludzi najbardziej zaskoczyła mnie akcja „Wisła”. Utkwiło mi to w pamięci, ponieważ przez tę akcję mieszkam tutaj, a nie w górach.

Lubię oglądać konie. Jak zbieraliśmy materiały do książki, to ludzie opowiadali o hucułach - małych górskich konikach.

Zawsze chciałam też skoczyć na bungie ze stromej skały. Albo założyć rezerwat przyrody, tu w okolicy.

Iweta Siwiec

Z opowiadań starszych ludzi dowiedziałam się, że kiedyś inaczej wyglądała spowiedź i pierwsza komunia. To nie był odświętny dzień, tylko

zwykły. Zaskoczyło mnie też, że dzieci do szkoły chodziły boso i dopiero w szkole nakładają buty, żeby się nie zniszczyły.

Ja chciałam skończyć szkołę, pójść do liceum, na studia, mieć pracę. Bardzo lubię małe dzieci, więc może zostałabym przedszkolanką. Raczej wyjadę, chociaż tutaj też jest fajnie, bo ludzie są bardziej zdrowi. Albo może założylabym schronisko dla zwierząt, żeby nie cierpiały. Ale psy nie będą tam zamykane w klatkach.

Irmina Siwiec

Jak dorosnę chciałam być modelką, piosenkarką i aktorką. Modelką, bo interesuję się modą, piosenkarką - bo lubię śpiewać. A może pracowałabym w jakimś biurze, gdzieś w mieście.

Z opowieści, jakie zbieraliśmy do książki, najbardziej zaskoczyła mnie opowieść jednej pani o tym, że ona i jej rodzina zostali wygnani z domu i musieli odejść na zachód. Myślę, że dzieci powinny wypytywać starszych, jeżeli ich opowieści są ciekawe.

Maciek Siwiec

Pomagałem siostrze w zbieraniu materiałów do książki, choć sam nie pytałem starszych ludzi. Nigdzie nie jeździłem, to nic nie wiem i mało mam do powiedzenia. Chciałbym zostać w Ługach, ale nie wiem, czy zostanę. Tak mi się kręci w głowie, żeby zostać leśniczym albo wuefistą.

Marcin Siwiec

Chcę mieszkać tam, gdzie będzie praca. Pracę ciężko dziś znaleźć. Chciałbym być mikrobiologiem, ale moim rezerwowym planem jest gastronomia lub ewentualnie leśnictwo. Skończyć szkołę, a na stare lata pomyśleć. I chcę wyjechać do Stanów, założyć rodzinę, mieć pracę i zbie-

rać pieniądze na czarną chwilę. Chciałbym też zostać archeologiem, ale nie dojdzie do tego, bo trzeba się uczyć pilnie, a ja nie jestem do tego stworzony. Wkurza mnie, gdy ktoś kradnie stare rzeczy i je sprzedaje, bo one szybko się niszczą. Szkoda, że tu blisko nie ma żadnych wykopalisk.

Ewelina Siwiec

Mam dużo marzeń. Chciałabym zostać piosenkarką, modelką, skrzypaczką i sklepową. Chciałabym zostać w Ługach, bo tu mi się podoba i tutaj jestem przyzwyczajona. W mieście jest za duży ruch.

Ola Graban, lat 4,5

Chciałabym zostać skrzypaczką. Z tym, że wszyscy są Teletubisiami.

Magda Filak

Chciałabym zostać muzykiem lub piosenkarką. Uczę się grać na gitarze w szkole muzycznej.

Gdybym miała zostać w mieście, to na pewno nie w Dobiegniewie, bo jest bardzo mały. Wolałabym mieszkać w Ługach, bo tu można sobie usiąść na podwórku, nikt nikomu nie przeszkadza, a w Dobiegniewie, jak usiądę na balkonie, to samochody jeżdżą, albo dzieciaki się drą.

W Legnickim Polu

Moja babcia życie w górach wspomina bardzo miło, ponieważ była jeszcze dzieckiem i bawiła się z rówieśnikami, jak wszystkie inne dzieci. Pewnego dnia, a było to w sierpniu 1947 roku, do Mochnaczki przyjechało polskie wojsko. Ludzie usłyszeli rozkaz, żeby za dwie godziny wszyscy opuścili wieś. Bardzo się wystraszyli i posmutnieli. Zaczęli

zbierać dobytek. W ciągu dwóch godzin niewiele dało się zabrać, zabrali więc przede wszystkim krowy, żywność, zboże, ziemniaki, mąkę, chleb i co mieli do chleba.

Ciężko było jechać w jednym wagonie ze zwierzętami. Babcia bardzo dobrze pamięta, jak wszyscy furmani z dobytkiem stali na drodze, a dzwony z cerkwi Łemkom ostatni raz żałośnie dzwoniły. Na drodze słychać było płacz i lament: *Co z nami teraz będzie?* Babcia chodziła do szkoły w Mochnaczce i właśnie zdała do drugiej klasy. Na zachodzie musiała jednak znów zacząć naukę od pierwszej, bo świadectwo i inne dokumenty zostały w domu.

Babcia brała ślub w kościele katolickim w Legnickim Polu 12 lipca 1959 roku. Wesele było dość uroczyste, jak na tamte czasy przystało.

Mój dziadek - Włodzimierz Hojniak osiedlony był w Ługach, więc moja babcia przyjechała tutaj z Legnicy z dziadkiem i pradiadkiem Jerzym Hojniakiem i zaczęli wspólnie prowadzić gospodarstwo.

Maria Hojniak spisała Magda Filak

Michał Filak

Chciałbym zostać w Ługach. Podoba mi się tutaj, bo jest blisko jezioro, wszędzie można jeździć rowerem i nie ma tyle aut, co w mieście. Chciałbym zostać rolnikiem, kierowcą, albo elektrykiem. Lubię historie o przeszłości.

Historie opowiedziane przez Michała

Jak powstała nazwa Dobiegniew?

Dawno temu były wyścigi i nagrodą dla tego, kto dobiegnie pierwszy była osada i przywilej nazwania jej. W biegu brał udział Dobiesław. Wszyscy krzyčili: Dobiegł (Dobiegnie) Sław. I on wygrał wyścig. Miasto nazwano Dobiegniew, a ostatnia litera w nazwie to pierwsza litera imienia jego żony - Wandy.

Legenda o wieży kościelnej

W czasie drugiej wojny podpalono wieżę kościoła. Miała dach dwuspadowy. Ludzie chcieli ratować kościół, ale każdy bał się wejść na

spiczasty dach - w tamtych czasach nie było windy, ani lin zabezpieczających. Po pożarze w jednej z knajp wybuchła bójka o to, jaki dach zrobić. I jeden mądry człowiek wyrzucił stół i powiedział: „Taki dach zrobimy”. Od tej pory dach kościoła w Dobiegniewie ma kształt stołu odwróconego do góry nogami.

Była sobi kobyła, szto do cerkwy chodyła.

Książd chtył na niu sisty,

Ona go chtyła zisty.

Oj lude, lude, szto z toj kobyły bude?

Z hołowy litarnia, z briha - szafarnia,

z reber - świczky, z nich - postałnyczky.

Oj lude, lude szto z toj kobyły bude?

Z dupy - kadyło, z chłosta - kropyło.

Adrian Jacenik

Nie do końca umiem sobie wyobrazić Łemkowynę

Urodziłem już tutaj. Cała wiedza o Łemkowynie nie została mi do końca przekazana, tak jak moim rodzicom. Częściowo tylko wiem, co to było. Jak tam ludzie mieszkali, jak się im żyło. Rodzice wiedzieli to dokładnie, a ja już nie potrafię tak do końca tego sobie wyobrazić. Z czym mi się kojarzy? Z górami, z pięknymi widokami, z długoletnią tradycją, to chyba tylko tyle. O tamtych stronach opowiadał raczej tata. Mama rzadziej. No i babcia. Dużo było opowieści na ten temat. O ich rozrywkach w tamtych czasach. Opowiadali np., że wtedy była modna ta kropka, eter. I też nie wiem o co tam chodziło. Babcia popiła raz eteru i miała halucynacje. Wydawało się jej, że idzie przez rowy. Kroki takie stawiała, jak zyrafa. Z tego najbardziej utrwaliła mi się ta opowieść.

Chciałbym poznać swoje korzenie

Jeszcze nigdy w życiu nie byłem na Łemkowynie. Chciałbym pojechać, ale nie wiem jak finansowo i czasowo byłbym w stanie się wyrobić. Za to na Watrze w Ługach byłem kilka razy. W tamtym roku byliśmy wszyscy z taty rodziną, z siostrą. Chciałbym poznać swoje korzenie.

wiane z drzewa, a teraz wszystko jest budowane. Chyba, że ktoś ma jakies zyczenia. Jest bogaty i stawia sobie nad jakims jeziorkiem.

Ciągle się uczę łemkowskiego

Pod łemkowsku raczej nie mówię, bo mi nie wychodzi za bardzo, ale dużo rozumiem. Rozmawiałem z rodzicami, ale nie wychodzi mi to tak, jak powinno być, dokładnie. I trochę się trenuję. Uczę się łemkowskiego non stop przebywając wśród osób, które postępują się tym językiem. Chciałbym, żeby moje dzieci mówily po łemkowsku. To już jest ich de-cyza, czy by chciały. Ale zainteresować, wprowadzić w temat - skąd pochodzi przykładowo ich ojciec, czyli ja, oczywiście jak to nastąpi, to chciałbym je zainteresować, a dalej same powinny dążyć do tego. Nie umiem czytać po łemkowsku. Mówi się czasem, że niewiedza jest błogosławieństwem. Nie w każdej dziedzinie. W tej chyba raczej nie. Z reguły, z natury raczej jestem niestety leniwy...

Na zachodzie

Z historii wiem, chyba z programu Wotzazanskiego, z historycznych programów, że mówiono, iż to było tylko chwilowe przesiedlenie na kilka dni. Tak było wiadomo dziadkom, że mogą wrócić. Ale tak się nie okazało i zostali. Niektórzy wrócili, ale nie wszyscy. Z mojej rodziny chyba nikt nie wrócił.

Wydaje mi się, że była taka sytuacja w Chomętowie, jeszcze nie było tutaj księdza greko-katolickiego, czy już był, nie wiem, ale ludzie chodzili do kościoła w Chomętowie. To był pontemicki kościół. Przyjeżdżali ksiądz z Dobiegniewa i odprawiał im tu mszę. A Łemkowie byli znani, że mają piękne głosy i śpiewają piosenki w swoim chórze, więc tam były też organizowane chóry, gdzie śpiewali. To im się spodobało. Ksiądz miał tylko Ukrainaska Armia Powstańcza. Zamordowali ich i od tamtego czasu powiedziani, że ci co zegnają się trzy razy nie mają wstępu do kościoła. I taka nieprzyjemna była sytuacja, ale początkowo nie było tak. Ale nie wiem - nie byłam, nie urodziłam się w tamtych czasach, więc trudno mi dokładnie się wypowiedzieć na temat stosunków społecznych.

Nie przeskadza to, kim jesteś

Mam kilku kolegów w szkole w klasie, którzy wiedzą jakiej jestem narodowości, to znaczy nie narodowości, tylko... nie wiem jak to powie-

jakim by mnie widzieli.

Mój wujek - jaś - to był człowiek ze stali. Jak jest człowiek z marmuru, to on był ze stali. Jak w górach mieszkałi jeszcze, to on nie potrafił chodzić po ziemi. Chodził po drzewach, tak jak wiewiórka skakał z drzewa na drzewo. Taką miał kondycję. No i tam go tak przeczawali. Miał stalowe zdrowie. Hodo-wał parę krów, to lepszą kondycję miał ode mnie. Ja się przy nim chowałem. To było dla mnie nie do pomyslenia. Raczef o tym, jak się obrabiało pole, to nie opowiadałi. Bo to było dla mnie normalne, do przewidzenia, jak to było kilkanaście lat temu. Praktycznie, który to był rok - Akcja Wisła - 47. Tam dużej mechanizacji nie było w tych sprawach. Był konik, albo byczek, który ciągnął jakiś plug. I na tym wszystko się kończyło. A hektary były do ob-robienia. Opowiadałi jak tam te strony wyglądały, ale to człowiek tego nie potrafił sobie wyobrazić. To trzeba zobaczyć samemu.

Wspominałi domy, w których mieszkałi. Opisywali dokładnie co gdzie się znajdowało, w którym miejscu, kto gdzie miał kacił swój. Tylko tak. Z tego co ja słyszałem, to babcia chciała bardzo wrócić w góry, bo tam miała wielkie majątki, dużo hektarów. A teraz te rejonny są już tuż-styczne i teraz są pieniadze z tego. Chciałbym pojechać zobaczyć, jak to teraz wygląda. Porównać z tym co sobie wyobrazałem w trakcie stu-chania opowieści. A wyobrazałem sobie różne. Przede wszystkim dużo lasów. Jakies stumyki małe, nad którym widzę jakiś postawiony budy-nek. Piękny widok na tereny niżej położone. Jakies górki. Nie, nie górki. Większe góry raczef. Tak to sobie wyobrazałem. Wyobrazałem sobie gór-rajskie domy. Jak tych bacoł, najczęściej w tych kategoriach myślałem. Chciałbym zobaczyć dom, w którym mieszkałi dziadkowie, ale przypusz-czalnie już to jest zburzone, z tego co wiem. Babcia była na swojej ziemi, na której się urodziła. Przyjechała i opowiadała, że zburzyli wszystko. Ja sobie nie wyobrazam co tam jest. Mój dom jest tutaj. Słyszef, jak babci trzęsie się głos, bo to jej dom rodzinny... Opowiadała, że to był bardzo potrzebny dom, ale raczef to było małe mieszkanko. Nie mieszkanie, ale budynek. Było kilka pomieszczeń. A życie tam w większości było dla nich ciężka praca. Nie było tych przyjemności życia, które są dzisiaj. Praca i jeszcze raz praca. Chociaż... Praca dla niektórych, a dla niektórych non stop przyjemności. Dużo się w górach zmieniło. Kiedyś było wszystko sta-

dzieci... Nie mają nic przeciwko temu, bo też przyjechali praktycznie z różnych części praktycznie Europy, mają domieszki krwi innych narodowości. No i im nie przeszkadza kim jesteś. Prawda dla nich jest jedna: jeżeli jesteś w porządku dla nich, to oni dla ciebie też są w porządku.

Nie ma między nami różnic

Dzisiejsi Łemkowie, którzy teraz mieszkają tutaj nie różnią się od tu-tejszych Polaków. Nie ma między nami żadnych różnic. Wszyscy wpadli w pęd zycia w Polsce, pęd za pieniędzmi, za wydatkami. Przynajmniej większość ludzi mieszkających na ziemiach odzyskanych. Pogoń za tymi pieniędzmi - tylko to się dla nich liczy. Nie tam rodzina, czy wiara chrześcijańska, postępowanie według przykazan.

Cerkiew

Chodziłem do cerkwi, ale nie od matęgo. O ile sobie przypominam, to było gdzieś w wieku osmiu dziewięciu lat, ale nie wcześniej. Rodzice nas zabierali z siostrą. Wtedy jeszcze mieliśmy bardzo mało do dowodzenia.

Nie ma co się mieszać do polityki

Sprzedawana była ziemia, na której były łemkowskie cmentarze. Sprzedawano ziemię, na której mieszkali ci dziadowie. Ale to jest polityka i nie ma co się mieszać. To są wpływy znacznie większe, niż które ja posiadam. To jest jak mafia.

Pamiętki

Tutaj co w domu jest... Taki wieszak kiedyś to było na ubrania. Na ścianie wisiał i jest napisane na nim - dla mnie to jest niezrozumiały język, tak wygląda jakby to był język rosyjski. Tata mówił, że tu napisane „Dasz Boh dobryj den” czy coś w tym stylu. A drugi przedmiot z tamtych czasów, który się tu znalazł, to jest taki wytłaczany w mostadzu talerz, na którym jest wizerunek jakiegoś świętego. Ciężko to opisać. To są rzeczy nie tylko z gór, ale też już wydają mi się starsze - z pięćdziesiątego któregoś tam roku. To dla mnie też jest pamiętka, ale pamiętka, które były tam w górach, to jest bardzo mało.

Praca

W okolicy, w której mieszkam nie podoba mi się praktycznie nic. Nie ma żadnych ciekawych miejsc. Praktycznie można powiedzieć, że to jest miasto zacofane, kilka lat wstecz. Nie widać tu żadnej perspektywy na życie w przyszłości. A dla mnie na razie są najważniejsze pieniądze, żeby zapewnić dobrobyt swojej rodzinie i swoim dzieciom. Dlatego najbardziej chciałbym mieszkać jednak w większym mieście, gdzie jest łatwiej o pracę. To prawda, żyje się tutaj normalnie - ani dobrze, ani źle. W sumie dużo jest pracy, ale marne wynagrodzenia. Jak ktoś ma pracę, to ciężko pracuje i robi to za marny grosz. Maksymalne wykorzystanie człowieka przez człowieka. Krwiożerczy kapitalizm.

Moja Ojczyzna jest w sumie nigdzie i wszędzie

Ojczyzna. Ojczyzna raczej to jest związane z przynależnością rodzinną, do miejsc, kraju, do miasta. Z których rodów pochodzimy, to jest ojczyzna. Nie, już się zaplątałem. Co to jest ojczyzna? Kraj, w którym mieszkali nasi przodkowie. Ojcowie, dziadkowie. Moja ojczyzna jest w sumie nigdzie i wszędzie. Ojciec się urodził już tutaj. Dziadek się urodził tam w górach. A ja to nie wiem. Ani tu ani tam. Po prostu. Kolo Wrocławia. Gdyby tata urodził się tam, w górach - w Krymicy, albo w okolicach to z pewnością mógłbym powiedzieć, że tam. Ale tutaj też nie, bo tam był dziadek urodzony, a tutaj tata. To raczej powinno iść w linii prostej. Nie od każdego z innego punktu. Tak mi się wydaje.

Watra w Ługach

Słowo „watra” oznaczające ogień, ognisko, palenisko znane jest wielu ludom karpackim, dla Łemków symbolizuje jednak coś znacznie więcej. Jest równoznaczne z trwaniem. Dopóty będzie płonął ogień, dopóki ktoś będzie dokładał drewno. Podobnie Łemkowie będą na tym świecie dopóty, dopóki będzie garmań się do siebie z ojczyzynom słowem i pieśnią. Dlatego ponad dwadzieścia lat temu w Beskidach zapłonęła pierwsza Łemkowska Watra ściągająca Łemków z całej Polski i z całego świata. Od iskier

gawędziarz z Katusza na Ukrainie, p. Wasyl Szkymba. Na wairzanej scenie wystąpiło pięć zespołów: „Chabry”, „Czeremcha”, „Okmel”, „Axel” i „Horpyna”, „Chabry” i „Czeremcha” z Wacza zaprezentowały pieśni polschodzące z Lemkowszczyzny, Nadsania oraz różnych regionów Polski. Zespół „Okmel”, muzykująca łemkowska rodzina z Przemkowa, zagrat i zaśpiewał najbardziej popularne łemkowskie pieśni. Dla niezorientowanych warto wspomnieć, iż aby zrozumieć sens nazwy grupy, należy czytać ją wspak. Duet „Axel” z Gromadki w legnickim natomiasz łemkowskie znają bardzo dobrze z zabaw i weseł, dlatego też przy muzyce zespołu uczestnicy Watry bawili się do białego rana. Niekwestionowaną gwiazdą była jednak folk-rockowa „Horpyna” z Olsztyna, która żywiołowym graniem rozgrzała młodzież, i nie tylko, niemal do białości.

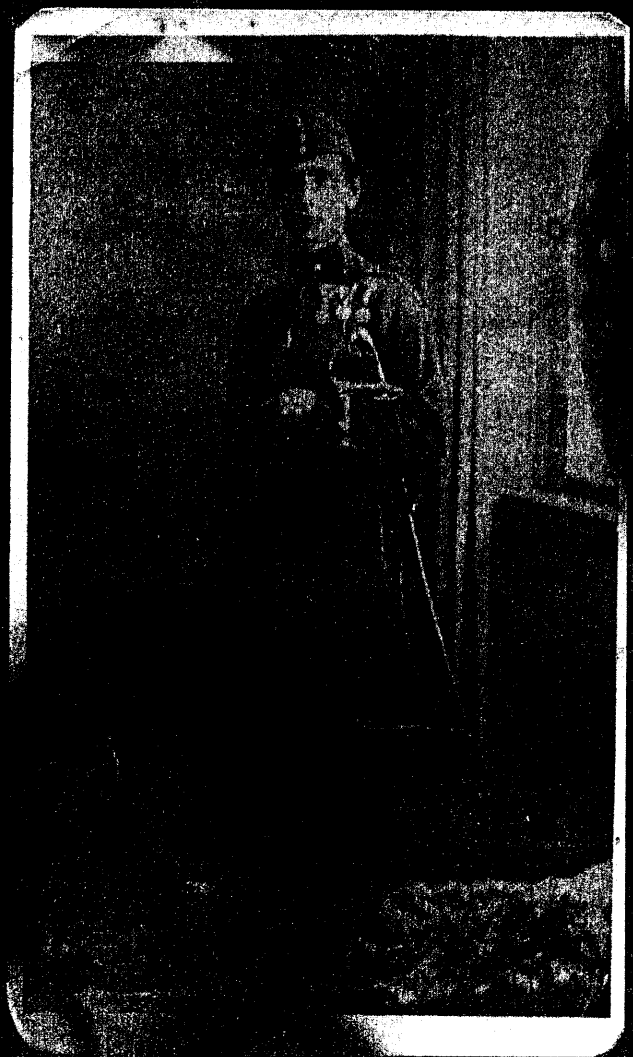
XIII Łemkowska Watra w Ługach pozostawała na uczestnikach dobre wrazenie i zachęcała wielu niezdecydowanych do wyjazdu w następny weekend na łemkowską Watę do Zdyńi na łemkowszczyźnie.

Łemkowie do Ługów trafiłi w 1947 r. w wyniku deportacyjnej akcji „Wista”. We wsi osiedlono wówczas 110 osób pochodzących z następujących zachodnioltemkowskich wiosek: Mochaczka Nizna i Wyzna – 13 rodzin, Wysowa – 7 rodzin i Zdyńia – 3 rodziny (w całym powiecie strzeleckim 1742 osoby, w lubuskim ok. 11 tys.). Po 1956 roku, w związku z umożliwieniem powrotu ludności wysiedlonej na dawne tereny zamieszkania (nie zezwolono jedynie na repatriację do dawnego województwa krakowskiego, pod którego administrację była m.in. Mochaczka), „wysowianie” i „zdynianie” opuścili Ługi i wrócili na łemkowszczyznę. Współczesni Łemkowie mieszkający w Ługach to przede wszystkim dawni mieszkający Mochaczki.

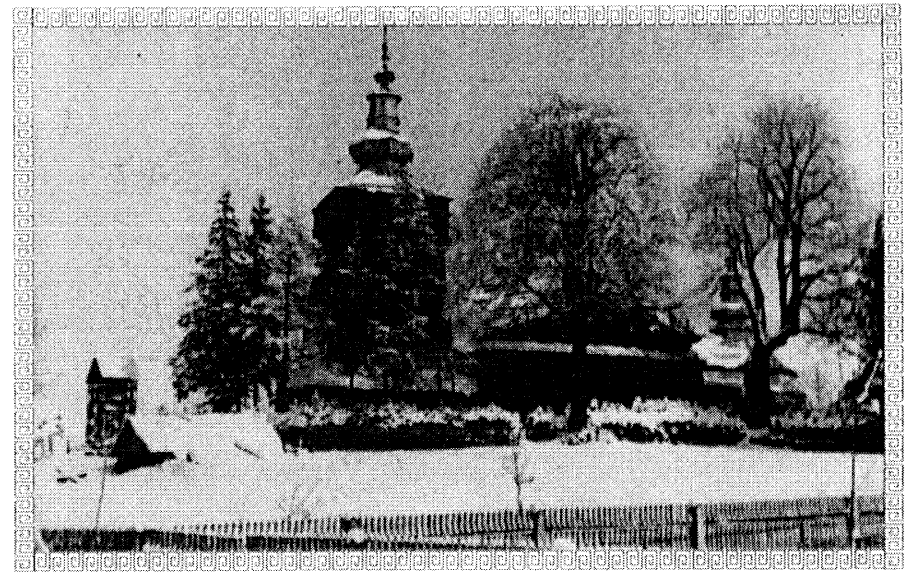
Po przesiedleniu na zachód Łemkom najbardziej brakowało cerkwi, miejsc, gdzie mogłiby się swobodnie modlić w swoim języku. Dlatego też, gdy tylko na omawianym terenie pojawił się ks. Mikołaj Polezczuk, Łemkowie niemal bez wahania zorganizowali prawosławne parafie w Ługach i Brzozie. Dawny kościół luterski w Ługach wznieziony w 1899 roku został konsekrowany na cerkiew 28 sierpnia 1952 roku. Świątynie oddano pod opiekę Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy.

W 1989 roku w Ługach z inicjatywy Piotra Świątkowskiego i Bogdana Siwca powstał Zespół Muzyki Ludowej Łemków „Chwylyna”. Zespół powstał przede wszystkim celem zaprezentowania się na Festiwalu Kultury Ukraińskiej w Sopocie. Miał być „zespołem jednego występu”. Stało się jednak inaczej – „Chwylyna” odniosła na Festiwalu sukces i stała się niejako animatorem aktywności kulturalnej Łemków w regionie. To właśnie „Chwylyna” była długoletnim gospodarzem Watry w Ługach. W 1993 roku w Ługach powołano Stowarzyszenie Miłośników Kultury Łemkowskiej będące przez długie lata współorganizatorem Spotkań z Kulturą Łemkowską w Gorzowie. Od 2003 roku Stowarzyszenie zmieniło nieco swoje oblicze, siedziba natomiasz została przeniesiona do Strzelec Krajeńskich.

Ale wróćmy do XIII Łemkowskiej Watry w Ługach, która odbyła się 13 lipca 2003 r. i świąteczne jezioro Osiek kilkunastu uczestników z bliska i daleka. Na imprezie można było spotkać ludzi ze Strzelca, z Gorzowa, Skwierzyny, Międzyrzecza, Świebodzina (i z okolic tych miast), a także ze Szczecina, Zielonej Góry, Legnicy, a nawet Warszawy i Przemysła. Watę tradycyjnie rozpalili najstarszy Łemko Ługów, p. Piotr Siwec, natomiasz konferansjerkę prowadził znany łemkowski humorysta i



1902



Cerkiew pw. św. Michała Archanioła w Mochnaczce Niżnej, wzniesiona 1846 r.



Parafianie - chórzyci z ks. Hlibczukiem i dyrygentem Jacenikiem



Jadłowska ... Budapeszt, 1914r.



Bazyli Brunarski, 1914r.



Męska część chóru - Mochnaczka, lata 40-te



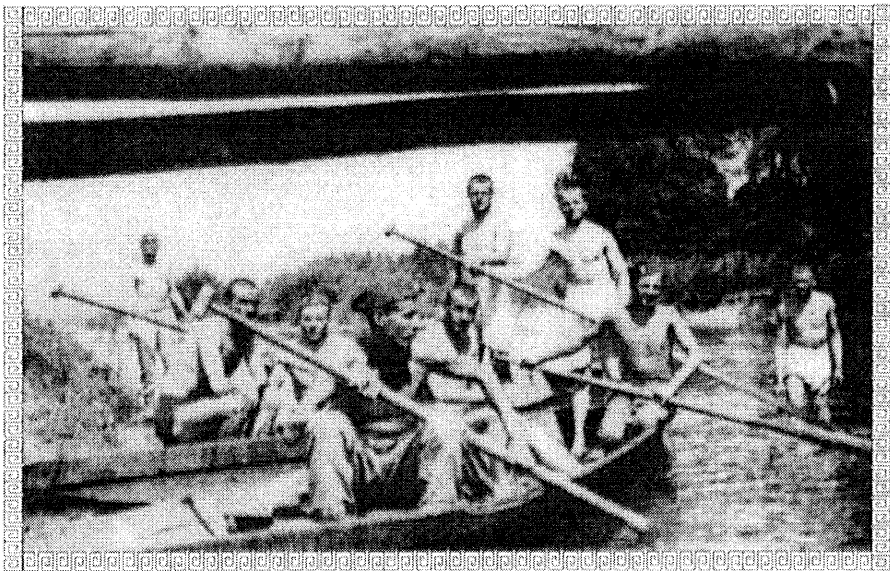
Justyna ... z Dukli, 02.01.1941r.



Marian i Lidia Jacenik



Żeńska część chóru - Mochnaczka, lata 40-te



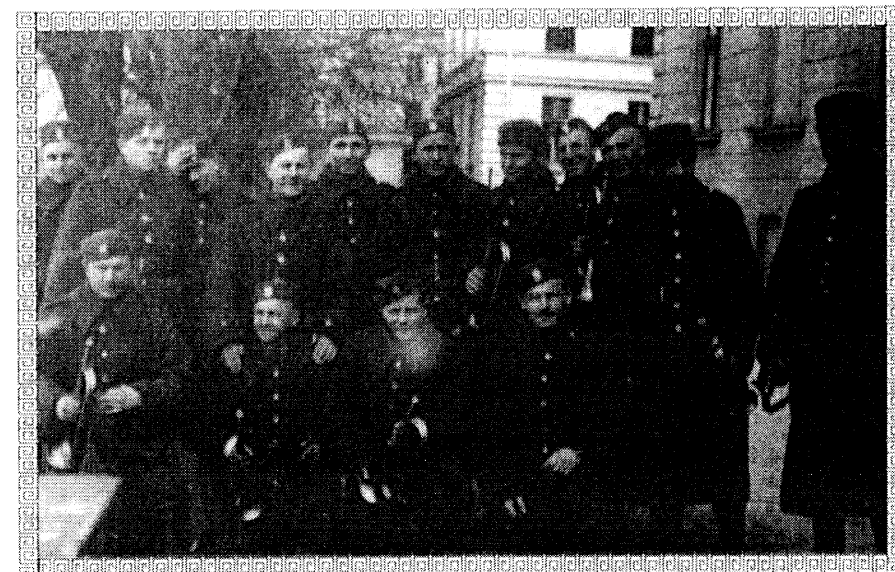
Drugi z wiosłem Wasyl Porucznik, lata 30-te



Rozdanie broni, Cieszyn - 08.04.1938r.



Z gitarą Wasyl Porucznik, lata 30-te



Cieszyn - 08.04.1938r.



Stoi z lewej Izidor Jacenik, siedzi z lewej Garbera



Jan Syniawa i Jan Garbera - Cieszyn



Anna Garbera



Joanna Garbera



Piotr Garbera - ur. 1910r.



Onufry Gybej - ur. 1869r.



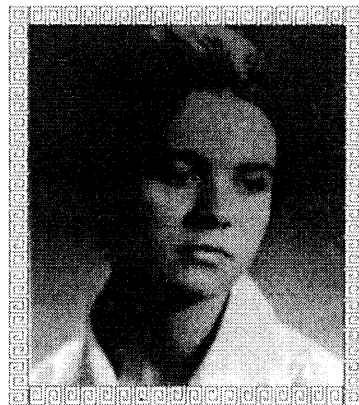
Nadia Hajac



Roman Gybej - 1937r.



Aleksandra Szkwarło - 1936r.



Wiera Królikowska



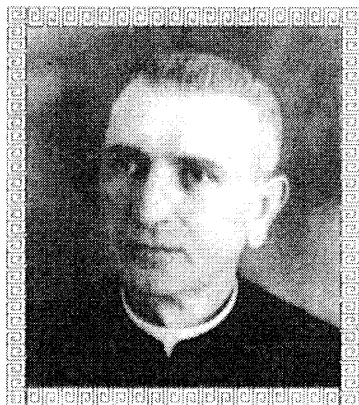
Piotr Pindrys



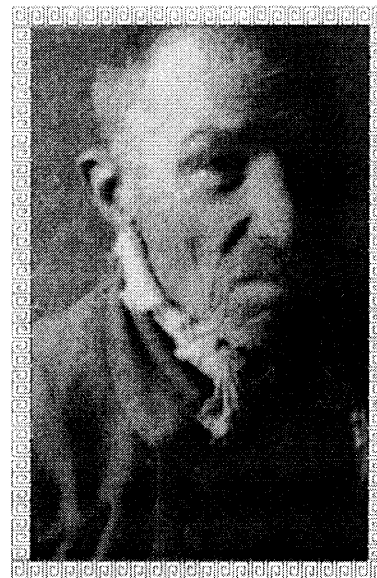
Maria Jadowska



Stefan Garbera



Ks. Emilian Wengrynowycz



Miron Rusyn, 1872-1952r.



Róża Rusyn, 1920-1938r.



Z lewej - Teodor Rusyn, Piotr Świątkowski,
Mochnaczka Wyżna



Z lewej - Teodor Rusyn, ur. 1910r.,
zdjęcie z roku 1932



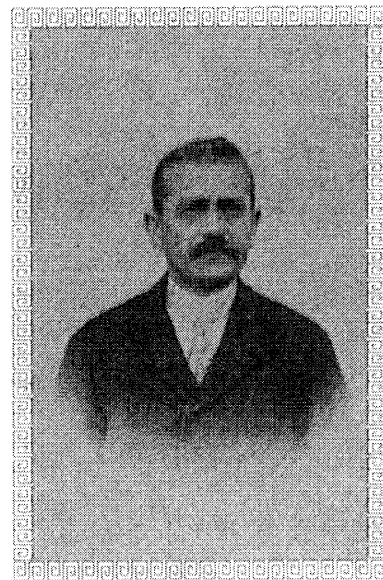
Maria Garbera i Anna Tutko - 1944r.



Michał Świątkowski - 1934r.



Anna Ropycka



Izydor Jacenik, zdjęcie z pocz. XX w.
(Dziadek Izydora)



Wasyl Dziubiński



Andrzej Semczyszak - 1941r.



Lubomir Horoszczak



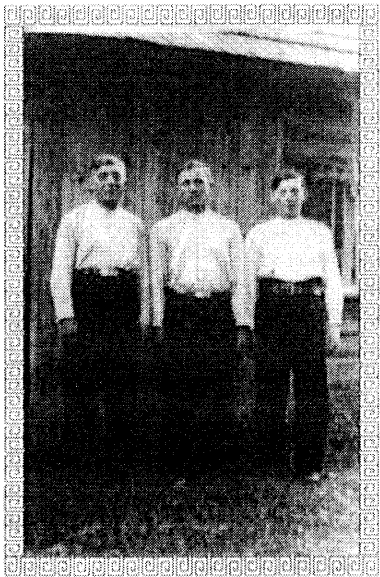
Izydor Jacenik - 1936r.



Piotr Sywec - ur. 1917r.



Konstanty Sywec - ur. 1913r.



Teodor Kluka, Michał Sucheniak
i Mikołaj Kuncik



Łemkinie z Nowego Jorku



Chór przed koncertem we Lwowie, 20.03.1936r.



Młodzież z Mochnaczki



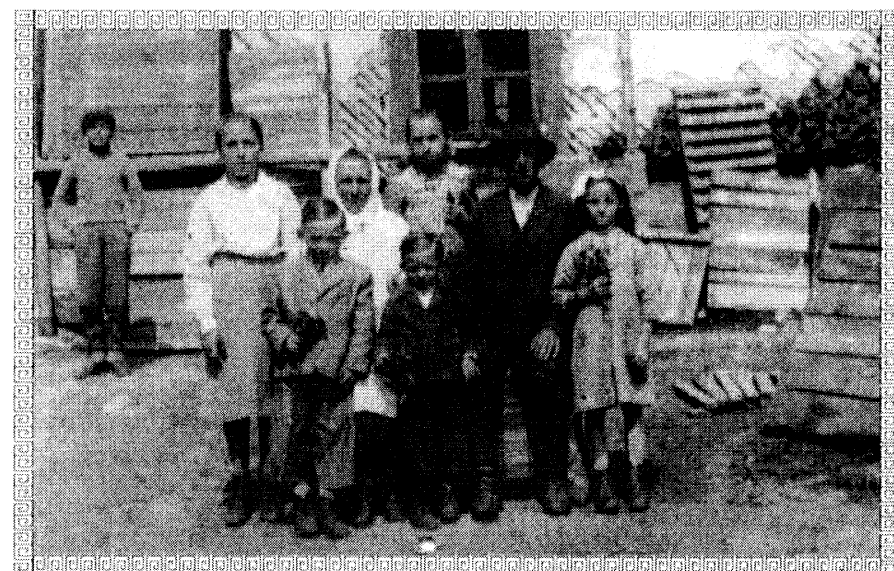
Maria Kostyszak i Lubomira Garbera



Dożynki gminne w Krynicy



Koncerty chórów, Lwów 1942r.



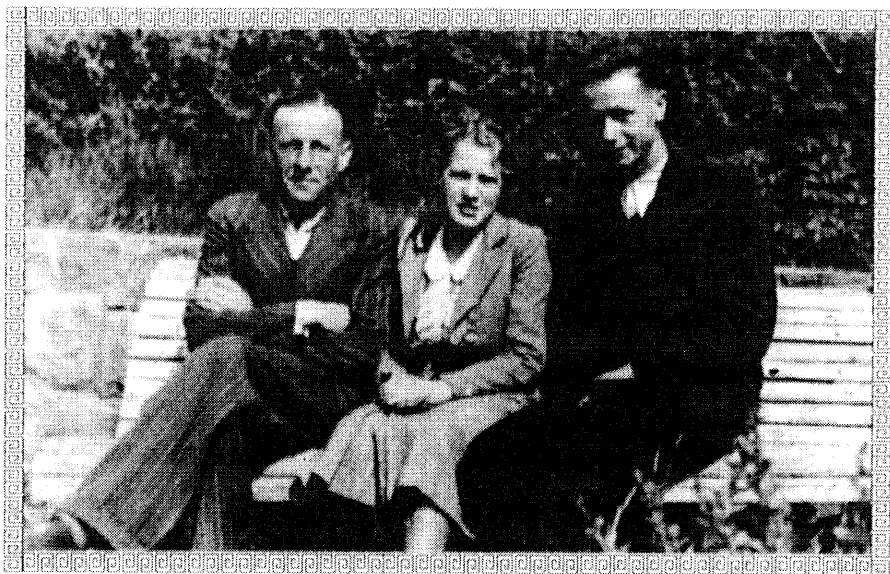
Rodzina Maliniaków przed wyjazdem do ZSRR, 1945r.



...przed krajowym koncertem chórów



Przed czytelnią w Mochnacze



W środku Stefania Hreniak, Krynica lata 30-te



Chór parafialny z Mochnaczki



Wesele Janiny Garbery i Michała Biszczaka, 1939r.



Księża gr-kat. w czasie internowania, Kielce 1941r.



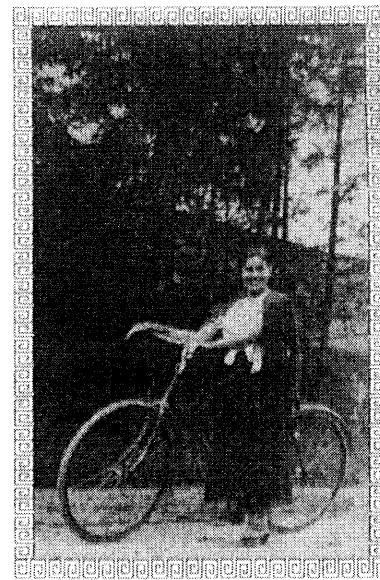
Wesele Anny i Piotra Garberów



Rodzice i bliscy z ks. Hlibczukiem



Anna Polańska i Maria Tutko - 1944r.



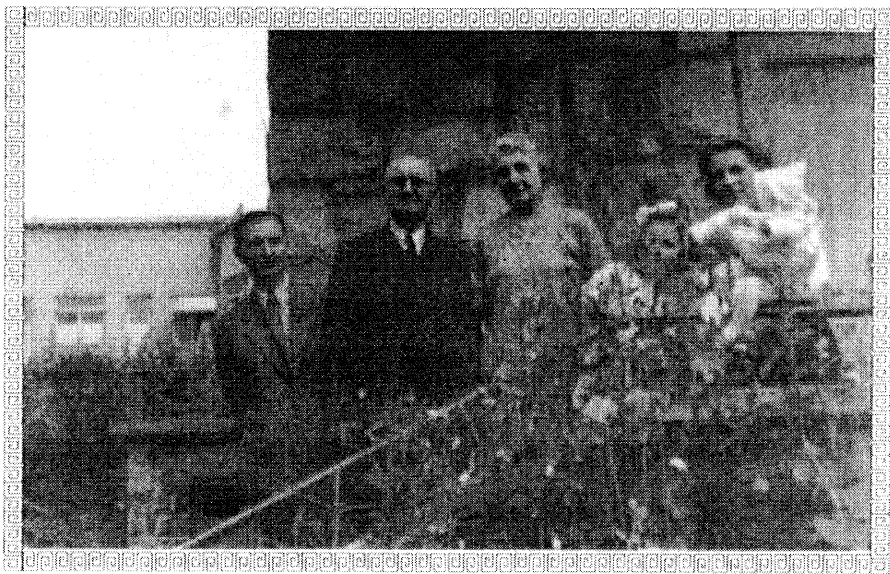
Helena Rydzanicz



Izby - Kermesz, chór z Mochnaczkki,
1942r.



Święto Pokrowy - Hyrowa



Pierwszy z lewej Stefan, jego ojciec ks. Emilian Węgrynowycz z rodziną w Krynicy



Wesele Eugenii Durniak i Andrzeja Krynickiego



Eufemia Hawran, Jan Garbera, Maria Sywec, Anna Wardzał



Wesele Marii Sywec i Piotra Krynickiego, 1952r.



Rodzina Pruczników wyjeżdża
do ZSRR



Dziewczyna z Wierchomli



Rodzina Świątkowskich w Ługach



Młodzież z Mochnaczki,
w środoku Wasyl Dziubiński



Stefania Szczawińska z Żegiestowa



Grupa parafian przed cerkwią w Ługach



Zespół z Ługów lata 50 – te prowadzony przez Marię i Jana Siwców (w środku)



Ługi lata 50-te od lewej Stefan Śpiak, Jan Śpiak, Wasyl Witko

PAŃSTWOWY URZĄD REPATRIACYJNY POW. ODDZIAŁ w Ługi

data 11.11.1947

Karta przesiedleńcza Nr. 30985

Ob. Daniel Sywiec urodz. w roku 1885

miesteczko miasta Ługi ul. ... Nr. d. ...

gmina Ługi powiat Ługi przesiedla się na inne miejsce zamieszkania. Wraz z nim przesiedlają się następujący członkowie jego rodziny.

Cp.	Imię i nazwisko	Rok ur.	Stosunek podr. do głowy rodziny	Uwaga
1.	<u>Daniel</u>	<u>1885</u>	<u>głowa</u>	
2.	<u>...</u>	<u>1875</u>	<u>syn</u>	
3.	<u>...</u>	<u>1890</u>	<u>syn</u>	
4.	<u>...</u>	<u>1892</u>	<u>syn</u>	
5.	<u>...</u>	<u>1874</u>	<u>syn</u>	
6.	<u>...</u>	<u>1877</u>	<u>syn</u>	
7.	<u>...</u>	<u>1884</u>	<u>syn</u>	
8.				

Przesiedlający się:

a) zabiera ze sobą: koni 1, krów 11, trzody chlewnej ..., kóz ..., owiec ... oraz następujący inwentarz martwy ...

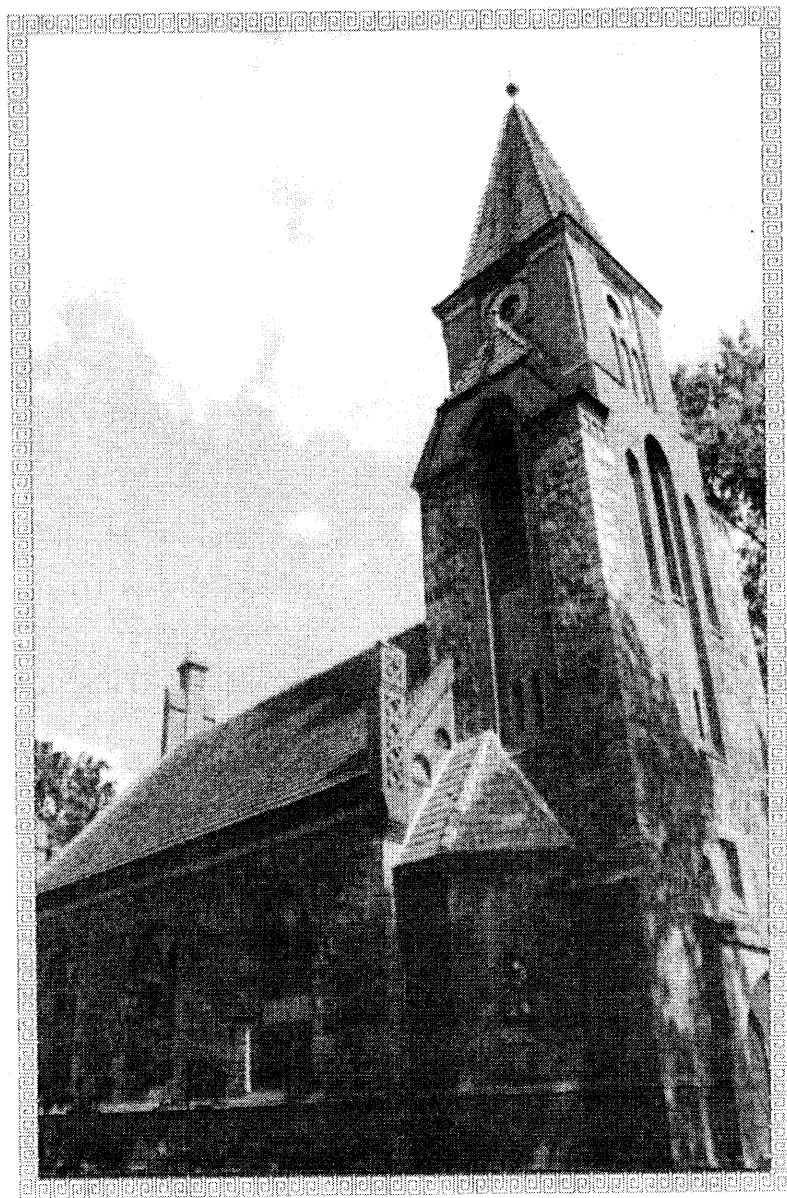
b) pozostawił: ziemi ogólną 1116 ha, w tym użytków rolnych 642 ha, dom mieszkalny (jakiej klasy) ..., stodołę ..., szopa ...

Podpis przesiedleńcy: Daniel Sywiec

Podpis przeznaczonego: ...

W Ługi dnia 11.11.1947

Karta przesiedleńcza na nazwisko Sywiec Daniel



Cerkiew pw. Zaśnięcia Przenajświętszej Bogarodzicy w Ługach

Spis relacji

Maria Krynicka	11
Melania Jacenik	17
Paraskiewia Garbera	25
Anna Świątkowska	30
Helena i Szymon Błaszczak	33
Szymon Siwec	41
Bazyli Oleśniewicz	47
ks. Włodzimierz Kochan	49
Włodzimierz Garbera	55
Michał Hawran	62
Anna Garbera	64
Maria Tutko	69
Piotr Świątkowski	71
Bogdan Siwec	79
Eugeniusz Siwec	83
Ola Jacenik	85
Maria Adamirowicz	87
Piotr Świątkowski	89
Stefan Filak	92
Irena Filak	97
Andrzej Adamirowicz	109
Beata Staszak, Monika i Iweta Siwec	111
Irmina, Maciek i Marcin Siwec	112
Ewelina Siwec, Ola Graban i Magda Filak	113
Michał Filak	114
Adrian Jacenik	115
Mirosław Pecuch	119
Stary album	124